Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron | Warszawa, 23 marca 1952 r. | Nr 12 (104) Rok III

W NUMERZE m.in.: **Henryk Korotyński** — Podróż pod ognistym parasolem; **Waldemar Kiwilszo** — Nad epopeją socjalizmu; **Jerzy Putrament** — Z nazwiskami śmielej, z utworami ostrożniej; **Wiktoria Dewitz** — Powieść o nowym harcerstwie; **Grzegorz Lasota** — Ogniwo w łańcuchu; **Marian Ruth-Buczkowski** — Początek choroby; **Kazimierz Koźniewski** — Wspólna rada; **Jerzy Skórnicki** — Nowe przekłady z literatury czechosłowackiej; **Jan Reychman** — Petöfi po polsku; **Stanisław Marczak-Oborski** — Odkrycie; **Jerzy Korczak** — Choynowski jako krytyk mieszczaństwa.

Powrót na miejsce zbrodni

Najpierw do katowskiej roboty zabrał się Heinrich Himmler. Wśród chmurnych październikowych nocy jego esesowscy podkomendni wymordowali jedenaście tysięcy polskich oficerów i żołnierzy. Coraz więcej i więcej przybywało żółtego piasku na katyńskiej leśnej polanie.

Działo się to w tych dniach i tygodniach, kiedy pancerne dywizje Hitlera próbowały szturmować Moskwę. Generałowie niemieccy przez swoje lunety dostrzegali już ponoć Kremlowskie wieże. Ale — jak piszą zgodnie w swych pamiętnikach ci z nich, którzy ocaleli z pogromu — spoglądali przy tym wokół okiem pełnym obawy.

Ze wszystkich stron huczało gniewne partyzanckie morze. Naród radziecki powstawał jak jeden mąż do ogólnonarodowej, sprawiedliwej walki. Na froncie tężała i krzepła siła oporu Armii Czerwonej.

Kiedy pod Stalingradem żołnierz radziecki powalił wroga na kolana — dla odmiany „doktorowi" Józefowi Goebbelsowi przypomniała się wstydliwa katyńska „wygrana". I rozpoczął drugi mord. Wygrzebano setki nadgniłych żołnierskich ciał — usunięto niemieckie łuski z katyńskiej polany. Nad groby spędzano wszystkich europejskich Quislingów, aby dali świadectwo hitlerowskiej prawdzie.

Nie zbrakło w tej zgrai Polaków. Faszysta Mossor, który słał memoriały do Hitlera, domagające się tworzenia polskiego Wehrmachtu, i faszysta Goetel, służący Trzeciej Rzeszy swym nikczemnym piórem w krakowskiej „gadzinówce" — przywlekli się jak kruki, czujące trupi odór. Do nich to dołączyli rychło i liczniejsi sprzymierzeńcy — Sosnkowscy i Raczkiewicze, Andersy i Mikołajczyki. Doktor Goebbels piał z zachwytu. Pisał w swych pamiętnikach: „Hitler jest bardzo zadowolony ze sprawy katyńskiej. Sprawa ta przekonała go, jak wielkie możliwości kryje dziś propaganda antybolszewicka...".

Tak to faszyści różnej maści, rozrzuceni w różnych strefach świata, próbowali zbić plugawy kapitał polityczny z krwi katyńskich męczenników. Wielu z nich poniosło sprawiedliwą karę. Himmler — największy morderca — okazał się największym tchórzem. Popełnił samobójstwo Goebbels, największy kłamca, uląkł się wielkiej prawdy naszej epoki, gdy ta w żołnierskim radzieckim mundurze — załomotała zbrojną pięścią do jego berlińskiego schronu.

W proch rozsypały się kości katyńskich ofiar. Ale imperializm amerykański próbuje ożywić hitlerowskiego upiora.

Na ziemi koreańskiej grasuje amerykański Himmler. Amerykańscy Goebbelsi — od studiowania dzieł swego duchowego ojca — przechodzą do czynów. Po raz trzeci próbują pastwić się choćby nad prochami, nad pamięcią tragicznych ofiar.

Wiemy dlaczego to robią. Bici i demaskowani na każdym kroku próbują osłabić, odwrócić gniew i nienawiść, wzbierające przeciwko nim na całym świecie.

Narody wiedzą dzisiaj dobrze, iż amerykański uczeń prześcignął już swego okrutnego hitlerowskiego mistrza: wiedzą, iż dzisiaj imperializm jest śmiertelnym wrogiem wszelkiego swobodnego i wolnego życia na ziemi. Jego generał i kupczyk reklamuje dzisiaj jako broń zarazki dżumy i cholery, „ponieważ nie niszczą drzew, maszyn, ale działają przeciwko samemu człowiekowi lub temu, co daje mu żywność, to znaczy przeciwko bydłu i zasiewom". Wiemy więc dobrze, z kim mamy do czynienia. Ale jest coś niesłychanie plugawego, nieludzkiego w tym chamskim deptaniu po popiołach hitlerowskich ofiar, w całej tej nikczemnej, na modłę hollywoodzką wyreżyserowanej komedii, granej na scence amerykańskiej izby reprezentantów businessu. Dlatego też chciałoby się powiedzieć amerykańskim Goebbelsom i Himmlerom, dobitnie i nienawistnie: — Miejcież choć cień tego onieśmielenia, jakie miewa zwykle pospolity oprawca, unikający zazwyczaj widoku mogił swoich ofiar...

Jerzy Piórkowski

Nagrody Stalinowskie w dziedzinie literatury i sztuki

Prasa radziecka opublikowała uchwałę Rady Ministrów ZSRR w sprawie przyznania Nagród Stalinowskich za rok 1951.

W dziedzinie literatury i sztuki przyznano przeszło sto nagród, które otrzymało ponad 300 pisarzy, kompozytorów i malarzy, aktorów, filmowców i architektów.

W dziale prozy Nagrody Stalinowskie przyznano 21 autorom. Nagrodę Stalinowską I stopnia otrzymali: **Stiepan Złobin** za powieść pt. „Stiepan Razin", pisarz łotewski **Wilis Łacis** za powieść pt. „Ku nowemu brzegowi".

Nagrody II stopnia otrzymali **Wanda Wasilewska** za trylogię pt. „Pieśń nad wodami", poświęconą walce narodu polskiego z faszyzmem, pisarz ukraiński **Jarosław Gałan** za pamflety wymierzone przeciwko reakcyjnej polityce Watykanu, pisarka chińska **Din Lin** za powieść pt. „Słońce nad rzeką Sangań", **Mikołaj Zadornow** za powieści „Nad Amurem", „Daleki kraj" i „W stronę Oceanu", **Orest Malcew** za powieść „Jugosłowiańska tragedia", demaskującą zdradziecką politykę Tito, oraz pisarz francuski **André Stil** za powieść „Pierwszy cios".

Nagrody III stopnia w dziale prozy przyznano 13 pisarzom. Są to **Włodzimierz Bielajew** (trylogia „Stara twierdza"), **Janko Bryl** (powieść „W Zabołociu świta"), **Jeremi Dmitrij** (powieść „Burza nad Rzymem"), **Georgij Markow** (powieść „Strogowy"), **Igor Muratow** (opowieść „Bukowińska wieś"), **Lew Nikulin** (powieść „Wierni synowie Rosji"), **Mikołaj Nosow** (powieść „Witia Malejew w szkole i w domu"), **Walentyna Osiejewa** (opowieść „Wasia Trubaczow i towarzysze"), **Wiktor Połtoracki** (zbiór reportaży „W drodze i w domu"), **Eugeniusz Popowkin** (powieść „Rodzina Rubaniuk"), pisarz chiński **Czżou Li-bo** (powieść „Huragan") oraz dwaj pisarze węgierscy **Tamas Acel** (powieść „W cieniu wolności") i **Sandor Nagy** (nowela „Pojednanie").

W dziedzinie poezji nagrodę I stopnia otrzymał **Mikołaj Tichonow** za cykle wierszy „Dwa strumienie" i „Na II Światowym Kongresie Pokoju"; nagrody II stopnia poeta litewski **Antanas Wenclowa** za zbiór „Wiersze wybrane", poeta ormiański **Silva Kaputikian** — za zbiór „Moi najbliżsi", poeta gruziński **Georgij Leonidze** za poematy „Berszauła" i „Portochała"; nagrody III stopnia — **Rasuł Gamzatow, Włodzimierz Zamiatin, Mikołaj Nagnibieda** i **Szmuuł Juchan.**

W dziale dramaturgii nagrodę II stopnia otrzymali autorzy chińscy **Che Czin-czżi** i **Din Ni** za sztukę „Dziewczyna o białych włosach"; nagrody III stopnia dramaturg uzbecki — **Abdułła Kahhar** za sztukę z życia kołchoźników „Na nowej ziemi" oraz **Paweł Maliarewski** za sztukę „Przed burzą".

W dziale krytyki i teorii sztuki nagrody III stopnia otrzymali **Berta Brajnina** za książkę „Konstanty Fiedin" oraz zasłużony działacz kulturalny **Mikołaj Gorczakow** za książkę „Reżyserskie zadania K. S. Stanisławskiego" (Wyd. II).

W dziale sztuki filmowej odznaczono 12 filmów fabularnych i dokumentarnych, m. in. filmy — „Taras Szewczenko", „Kawaler Złotej Gwiazdy", „Górnicy Donieccy", „Światło w Koordii" oraz „W dni pokoju".

Wśród kompozytorów radzieckich, którzy otrzymali Nagrody Stalinowskie, znajduje się **Dymitr Szostakowicz**, kompozytor estoński **Eugeniusz Kapp** — autor opery pt. „Piewca wolności", kompozytor gruziński **Otar Taktakiszwili**, kompozytorzy **Wiktor Biełyj, Michał Starokadomski** i inni.

Nagrody Stalinowskie I stopnia przyznano Państwowemu Rosyjskiemu Chórowi Ludowemu im. Piatnickiego oraz Państwowemu Zespołowi Tańca Ludowego ZSRR.

Nagrodą Stalinowską I stopnia wyróżniono obraz leningradzkiego malarza — **Jurija Nieprincewa** pt. „Odpoczynek po walce".

Wśród rzeźbiarzy odznaczonych Nagrodami Stalinowskimi znajdują się twórcy pomnika Gorkiego — **Wiera Muchina, Nina Zieleńska, Zinaida Iwanowa** i **Iwan Szadr**. Pomnik ten odsłonięty został w Moskwie w 1951 r.

W dziale architektury Nagrodę Stalinowską II stopnia przyznano architektowi — **Aleksiejowi Szczusiewowi** oraz malarzowi — **Pawłowi Norynowi** za architekturę stacji metra moskiewskiego — „Komsomolska Okrężna".

Liczne nagrody przyznano w dziedzinie teatru, opery, baletu i muzyki reżyserom, aktorom i wirtuozom.

ROMAN BRATNY

„GŁOS BOMBY ISHI"

W tych dniach doniosło nasze radio o idącej w tysiące liczbie dzieci japońskich, sprzedanych w ostatnich miesiącach do domów publicznych. Rodzice otrzymują od 12—100 dolarów. W tym czasie „Głos Ameryki" systematycznie nadaje audycje „młodzieżowe" „Razem młodzi przyjaciele". W dniach, gdy nad lądem Korei rozpoczyna się Katyń bakteriologiczny, „Głos Ameryki" zachłystuje się inscenizowaną przez Kongres Amerykański szopką z „autentycznym świadkiem z Katynia". W parze z remilitaryzacją Wehrmachtu maszeruje remilitaryzacja goebbelsowskiego kłamstwa. W ciemnych praktykach faszyzacji na każdym jej odcinku obowiązuje prawo naczyń połączonych.

Lata okupacji spędziłem wśród ludzi, którzy choć nie ulękli się hitlerowskiego terroru zbrojnego, dali się sterroryzować hitlerowskiej propagandzie. Może dlatego bardziej jeszcze niż wymierzonego w tył głowy karabinu nienawidzę kłamstwa wymierzonego w czystość ludzkiej myśli.

Niedawno powiedział Erenburg o wojnie bakteriologicznej: „To co czynią obecnie, jest zbrodnią i szaleństwem. Straciwszy nadzieję w możliwość zwycięstwa mszczą się ohydnie. Odwróciły się od nich wszystkie narody. Nie mogą więcej liczyć na poparcie ludzi. Cóż im więc pozostaje? — insekty..."

To samo działo się z nimi na polu bitewnym, gdzie orężem było słowo, gdzie walka szła o prawdę — przegrywali ją zawsze. Na plenum ONZ, w oszczerczych, inspirowanych przez FBI procesach w Ameryce i Europie. Wypuścili jak gryzące pchły, zatrute hitlerowską dżumą kłamstwa i prowokacje. Dobre są dla nich wszystkie metody. Każdy sojusznik, od mahometańskiego królika po władców Watykanu. Dobry jest każdy argument, i ten który trafia do gangsterskich instynktów bikiniarzy, i ten którym chcą podejść wierzącego katolika. „Dzięki Bogu za Koreę" — powiedział głównodowodzący VIII Armii Amerykańskiej, generał Van Fleet. Nie jestem wierzący, ale takie bluźnierstwo poruszyło mnie do głębi. Widzę naokoło wierzących l u d z i, a chyba tylko w księgach etnologów można by może, cofnąwszy się do opisu obyczajów plemion kanibalskich, znaleźć boga godnego generała i jego żołnierzy.

Piszemy o pokoju, piszemy wciąż, ale zawsze za mało w czasach, gdy jedna tylko z północno - niemieckich wytwórni płyt gramofonowych sprzedała w ciągu tygodnia 50 tysięcy płyt z hymnem partii hitlerowskiej Horst Wessel-Lied — gdy greckie sądy mordują pisarzy-patriotów, gdy w Ameryce przy akompaniamencie jazgotu przekupnej prasy powstaje trumanowski program zagłady — pięcioletni program rozbudowy broni atomowej.

Z uporem szaleńca kapitalizm zmierza do swego końca. Wytworzywszy mistykę zagłady, zawsze złudną w swym adresie, gdy wskazuje ona poza własną, rzeczywiście skazaną na zagładę, klasę. Nowa jest tylko odmiana tej mistyki, świeża jest tylko jej skala techniczna, lecz odkąd kapitalizm rozpoczął swą niebezpieczną dla otoczenia agonię, świat zna samo zjawisko wiary w magiczną moc uniwersalnych środków zagłady. Po raz pierwszy po Ypres w 1917 roku imperializm podniósł tak wysokim zamachem ludobójcze ramię, że zdawało się, iż twarz ludzka zmieni się w ryj przeciwgazowej maski. Wprowadzony przez hitleryzm system spopielania narodów bliski był ubrania całej ludzkości w więzienny pasiak. Historyk zanotował zryw ludów i mizerny koniec Kaisera, drwala z Doorn, a potem szczurzy koniec Fuehrera. Grzyb wybuchu nad Hiroshimą zdawał się stawiać znak zapytania nad egzystencją ludzkości. Potęga tych sił, które kilkakrotnie już w naszym wieku odpowiedziały „nie" na wydawany na ludzkość wyrok śmierci, i tym razem z tym większą pewnością gwarantuje taką samą odpowiedź.

Mimo wszelkich wysiłków nie da się długo trzymać ludu w ciemnocie. Wprawdzie Kongres Państwa Ciemnogrodu wyeliminował z budżetu „rozrzutności" w postaci zasiłków na szkolnictwo, ale nawet analfabeci potrafią odczytać wymowę faktów. Kiedyś, w czasie, gdy w Polsce rządzili ludzie zmierzchającej klasy, o stanie umysłu podobnym do dzisiejszych władców Ameryki, sprytny preceptor magnata Radziwiłła — Panie Kochanku uczył go czytać za pomocą strzelania z łuku: „Cel w A" — brzmiała bawiąca panka komenda, i uczeń dokumentował swoją orientację w sprawach alfabetu Obecnie spekulanci propagandowi podchwycili tę metodę w USA i obowiązuje dziś: „Cel w ZSRR". Krótkie nogi ma takie „wychowywanie społeczeństwa".

Cóż z tego? Fakty są czytelne. Początek ofensywy bakteriologicznej u nich zbiega się z Nagrodami Stalinowskimi. Nawet głuchy usłyszy wymowę tych faktów. Przecież „ich" Miczurin, to byłby uczony, który wyhodował najbardziej trujące rośliny, który jabłko zmieniłby w kułak dżumy, każde ziarno zboża — w epidemiczne krosty. „Oni" z nauki uczynili oręż zbrodniarza. Oni z ludzkiej śmierci uczynili przedmiot spekulanckiej kalkulacji.

Zapewne zdarzają się i u nas ludzie, których oczy zalane ropą śmiertelnej nienawiści klasowej do nowego świata, nie chcą ujrzeć zbrodniczości świata amerykańskiego. Może są i tacy, dla których rzucone zwyczajne ludzkie przywitanie „co słychać" jest formułą indagacji na temat ostatnich wiadomości „Głosu Ameryki". Jeśli są tacy, nie podejmuję się im wytłumaczyć, że słychać zawsze urąganie godności człowieka, że w każdym słowie słychać głos bomby Ishi, której imię dał japoński zbrodniarz wojenny. Tak jak bakteriologiczny „wynalazek" grozi życiu, tak każde słowo stamtąd grozi naszej godności i prawu, by czuć się człowiekiem.

Nasza Konstytucja mówi na wstępie o „zacieśnianiu przyjaźni i współpracy między narodami, opartej na sojuszu i braterstwie, które łączą dziś naród Polski z miłującymi pokój narodami świata". Zmaganiu o pokój na arenie światowej towarzyszy więc nowe prawo naszego kraju, którego wielkość wykracza tym samym poza jego granice. Obywatele naszego państwa mają więc o b o w i ą z e k być ludźmi, działać dla ludzkości — „tam obywatel ujarzmionych przez imperializm krajów nie ma p r a w a być człowiekiem.

Wszystko co robimy, przeciw nim robimy. Nie tylko budujemy i dźwigamy się z ruin przeciw nim. Dziewczyna śpiewająca o miłości, przeciw nim śpiewa. Nie będzie miała twarzy upstrzonej plamami oparzelin i pooranej różnobarwnymi smugami, jak jej ludzka siostra z Hiroshimy. Pisarz, który tworzy dzieło, choćby o sprawach zamierzchłych epok historycznych, przeciw nim tworzy. Kształt, w jaki oni oprawiają książki, to kupka popiołu. Traktorzysta, który wyrusza na siew, przeciw nim wyrusza. Oni znają tylko siew śmierci i zagłady. Słychać u nas śpiew. Dziennie tyle nowych książek ogląda u nas światło, ile dawniej rodziło się w ciągu miesiąca. Huczą na polach traktory.

Gdy ostatnio dziedzice hitleryzmu, dzisiejsi katyńscy prowokatorzy czynili swój skrytobójczy proceder, mordując Stefana Martykę, którego głos prawdą zagłuszał ich propagandową bombę Ishi, przeżyłem chwile największego wzruszenia w najmniej spodziewanych okolicznościach. Było to w czasie przerwy na przedstawieniu sztuki teatralnej, o której napisał ktoś w programie, że jest jeszcze jednym drobnym dowodem, iż socjalizm to prawo do radości. Wyszedłszy w czasie przerwy na balkon, skąd widać było panoramę świateł nowej Warszawy, usłyszałem dochodzący zza kulis głos megafonu. Wzywał aktorów na jutrzejszą zbiórkę na pogrzeb zamordowanego towarzysza. Aktorzy wrócili na scenę dawać radość ludziom, chociaż wśród żywych nie było ich zamordowanego kolegi. Kazał im tak może najtrudniejszy w tej chwili obowiązek wobec żywych. Wszystko co czyni człowiek, przeciw nim czyni.

Ludzi jest więcej niż ludobójców. Każdy dzień potwierdza słuszność słów: „Pokój będzie uratowany, jeśli narody wezmą sprawę obrony pokoju w swoje ręce". Niedawno, w okresie szóstej rocznicy istnienia ONZ, dzienniki syryjskie zamieściły artykuły wstępne, pisane z tej okazji w żałobnych obwódkach. Walczący o narodowe wyzwolenie świat arabski przekonał się, że ONZ trzyma się postanowień Karty tylko wtedy, gdy leży to w interesie wielkich mocarstw imperialistycznych. W tym samym czasie przybyły Egiptowi dziesiątki klepsydr, mieszczących nazwiska ludzi, poległych w walkach wyzwoleńczych. Kolor tej żałoby jest czerwony, bo na niej robotnicza krew.

Cóż z tego, że potrafią w lud, jak strzał w tył głowy, wymierzyć zbrodniczą prowokację. Świadomość ludu zgniecie ją, jak dezynfekcja zarażoną dżumą pchłę, rozsianą przez ludobójców. Mieliśmy już faszystów, którzy próbowali tych sposobów. Ślad po nich zaginął, chociaż byli tu, deptali naszą ziemię przez lata okupacji. „Oni" zatruwają tylko powietrze falami eteru, głosem bomby Ishi.

Jeśli jesteś człowiekiem, będziesz imperializmem pogardzać i nienawidzić imperializmu z tą siłą, która wzmacnia pracujące ramię, wyostrza myślący mózg. Dopiero gdy jesteś tak silny, możesz sobie pozwolić na radość życia. I jego bezpieczeństwo jest chronione przez twoją czujną świadomość. Gdy tłumisz propagandowy głos bomby Ishi, nie spadnie na głowy twoich najbliższych „ich" wojna.

Roman Bratny

Norymberga, Chabarowsk i Phenian

W pierwszym tylko tygodniu marca 448 samolotów amerykańskich przedarło się nad terytorium Chin północno-wschodnich, by zrzucić na spokojne wsie i pracowite miasta ładunek czarnej śmierci. Nad ziemią Korei północnej te same ręce od wielu już dni systematycznie i masowo wysiewają bakcyle dżumy i wibriony cholery, zarazki najgroźniejszych chorób, jakie nieraz już w dziejach bezlitośnie dziesiątkowały ludzkość i w niwecz obracały plony żmudnej pracy pokoleń. Wyzwolenie od tych klęsk stanowiło miernik i niezbędny warunek postępu. Ponowne i świadome ich rozpętanie jest nie tylko szaleńczym zamachem na plony i nadzieje cywilizacji, ale zagraża wprost bytowi fizycznemu całego rodzaju ludzkiego. Nieszczęścia, które imperializm na świat sprowadza, pomnożone zostały przez wojnę bakteriologiczną. Ludobójcy amerykańscy dwa już prawie lata próbując ujarzmić wielki naród maleńkiej Korei, osaczyć zwycięskie wyzwolone nareszcie Chiny i powstrzymać bieg własnych przeznaczeń — sięgnęli oto do środków nieludzkich.

Jeszcze pół roku temu w Pentagonie i Białym Domu, w bonnskim Kurhauzie, Watykanie i knajpie pod „Białym Orłem" odmawiano litanię do bomby atomowej. Wystarczyło kilku słów Stalina i jednego meldunku stacji sejsmograficznej, aby okazało się, że niebo ludobójców jest puste, że ostatnią nadzieją i ucieczką jest mór i zaraza. Od 100 prawie już lat, w każdym razie od czasów Pasteure'a, Miecznikowa i Kocha, dokładnie już wiadomo, że zaraza nie jest ani dopustem bożym, ani tajemniczym zrządzeniem przypadku. Sekret jest prosty — jeśli mór wybucha tam, gdzie go nie było, to znaczy, że go przyniesiono. Amerykańskich złoczyńców oskarżają nie tylko bomby bakteryjne i zmarłe w męczarni ofiary. Nic nie wykreśli z bilansów dwunastu milionów dolarów, które przeszło rok temu otrzymał gen. Anthony C. Macauliffe, szef służby chemicznej armii Stanów Zjednoczonych, by wydać je — wedle własnego oświadczenia — „na badania w dziedzinie prowadzenia wojny bakteriologicznej i chemicznej". Raz jeszcze okazuje się, że łączność przyczyn i skutków nie jest wymysłem filozofów. Nie trzeba też odwoływać się do autorytetu medycyny, aby rozpoznać przyczynę śmierci, zagrażającej dziś naszym braciom w Chinach i Korei: to faszyzm podniósł znów rękę na życie ludzkości. Znamy tę pogardę człowieka, nienawiść do kultury, znamy też to zaślepienie i awanturnictwo, wiemy, że tylko tonący chwyta się brzytwy.

Japończyk Kitazato odkrył bakcyl dżumy pod koniec zeszłego stulecia. Japońscy imperialiści pod koniec minionej wojny próbowali w laboratoriach wojskowych obrócić to odkrycie przeciwko życiu. Nie przeszkodziło to ich klęsce i ręka sprawiedliwości dosięgła na rozprawie w radzieckim Chabarowsku sprawców zbrodniczego eksperymentu. Ci, którzy pozostali w Japonii, miast kary doczekali się od amerykańskich okupantów uznania i stypendiów. Oskarżony zaocznie w Chabarowsku o przeraźliwą zbrodnię ludobójstwa gen. Isii Siro w towarzystwie zdrajców nauki i człowieczeństwa — bakteriologów Wakamoto i Kitano, został przez Amerykanów wysłany do Korei jeszcze w początkach 1951 roku.

Nie po to narody napiętnowały ludobójstwo jako najcięższą ze zbrodni, aby pozwolić imperialistom na rozpętanie wojny bakteriologicznej. Kto liczył na przerażenie, ten doczeka się tylko tym potężniejszego oporu. Siły ruchu obrońców pokoju zostaną umocnione o udział tych nawet, którzy dotąd mieli oczy zamknięte. My nie wierzymy w koniec świata. Nam nie jest wszystko jedno, co się stanie z ludźmi: z niemowlętami w kołyskach i starcami przy modlitwie, których amerykański senator po to chciał skazać na śmierć, aby mu nic nie przeszkadzało pobierać dywidendy i sławić rozkosze demokracji.

Odpowiedzialność zbrodniarzy amerykańskich powiększa jeszcze flaga Narodów Zjednoczonych. Przez haniebne nadużycie zdobyczy nauki demaskują i beznadziejnie kompromitują najistotniejsze podstawy własnego systemu i światopoglądu. Stosowanie przez Amerykanów broni tak nieludzkiej i okrutnej zwróci przeciwko nim gniew i nienawiść narodów.

Trzeba doprowadzić do natychmiastowego przerwania wojny bakteriologicznej, do ukarania wszystkich jej sprawców — od amerykańskich lotników aż do ich mocodawców w Waszyngtonie. Trzeba przepędzić widmo masowej zagłady. Najpierwsze i najważniejsze to dzisiaj zadanie.

Oto co zapamięta historia: podczas gdy amerykańscy faszyści sieją dżumę, minister zdrowia ludowej Korei składa na ręce polskiego dziennikarza podziękowania dla naszego ludu za pomoc w szczepionkach. Za solidarność w najcięższej, w najważniejszej walce — o prawo do postępu, do wolności, do ludzkiego życia.

Jerzy Pomianowski

HENRYK KOROTYŃSKI

PODRÓŻ POD OGNISTYM PARASOLEM

Dwie duże ciężarówki są już gotowe do drogi — dalekiej drogi. W bakach i karnistrach zapas benzyny, skrzynki z żywnością załadowane, nasze plecaki i podręczna apteczka również. Czekamy tylko na zmierzch.

Ale że w letni, sierpniowy dzień słońce w Korei również nie spieszy się z zachodem, jest więc jeszcze trochę czasu, aby zawrzeć znajomość z tymi, którzy będą towarzyszami naszej podróży od rzeki Jalu do Phenianu. Jest ich kilkunastu ochotników chińskich i drugie tyle chińskich dziennikarzy — korespondentów wojennych. Wszyscy jednolicie umundurowani w zielone drelichy, na głowach mają płócienne czapki, przypominające nasze cyklistówki, na nogach lekkie pantofle o gumowej podeszwie, przez plecy przerzucone automaty. Dowódca naszego małego transportu prócz automatu ma jeszcze przy pasie potężny nagan.

Ten dowódca, młody 23-letni oficer, z niejednego już pieca wojennego chleb jadał. Był jako kilkunastoletni chłopiec w komunistycznej partyzantce, która wojowała z Japończykami. Walczył w armii Mao Tse-tunga przeciw Czang Kaiszekowi, a na wojnę koreańską też udaje się nie po raz pierwszy; bił się już w zeszłym roku w szeregach ochotniczych oddziałów chińskich. Zna więc dobrze i tę drogę, w którą się wypuszczamy, i Koreańczyków, i Amerykanów.

A przecież Czia So-lin (tak się nasz dowódca nazywa), jest wyraźnie podniecony, niemal jak my, nowicjusze w Korei.

W toku rozmowy*) wychodzi szydło z worka, a tym szydłem to jesteśmy właśnie my. Otrzaskany w bojach partyzant i żołnierz w różnych już bywał opałach, ale mu się jeszcze nie zdarzyło, by na wojnie miał powierzonych swojej pieczy cywilów, i to na dodatek — cudzoziemców. Chodzi więc wielkimi krokami po szosie, co chwila zatrzymuje się, siada (a raczej chińskim i koreańskim zwyczajem robi półprzysiad), ujmuje głowę w dłonie — i duma.

— Komendant rozmyśla — objaśnia tłumacz, młodziutki, 18-letni Li. — Ma rozkaz dowieźć was całych i zdrowych do celu, więc zastanawia się, jak to zrobić. Rozkaz trzeba wykonać, a sprawa trudna...

— A niechże cię gęś kopnie! — odpowiadam. — Nam i tak wczorajsze bombardowanie napędziło strachu, a ty nas tak pocieszasz!

Wszyscy się śmieją, naprężenie mija, gawędzimy kurząc dobre pekińskie papierosy.

Opowiadamy sobie wzajem o Chinach i o Polsce, o hitlerowcach i o Amerykanach, pociągamy dla kurażu potężny łyk wódki i śpiewamy razem pieśń ochotników chińskich, przekraczających rzekę Jalu**) — tę właśnie, która toczy się wolno przed naszymi oczyma.

Śmiało i radośnie przejdźmy rzekę Jalu,
Aby bronić pokoju i bronić ojczyzny,
To znaczy bronić własnego domu.
Hej, najlepsze dzieci Chin,
Idźmy razem jak jeden mąż
Przeciw amerykańskim najeźdźcom
Pomagać Korei!

Mrok już zapada, więc Czia So-lin sprawdza jeszcze raz maszyny, każe dorzucić nową porcję gałęzi dla zamaskowania wozów i przypomina:

— Jedziemy tylko nocą ze względu na lotnictwo wroga. Nie wolno palić świateł. Na okrzyk „Piengi!" (samoloty) albo „Hango!" (alarm)— samochody stają, wyskakujemy jak najszybciej, kryjemy się jak najdalej od drogi. W dzień śpimy i odpoczywamy w lesie albo w górach.. A teraz — w drogę!

KOREAŃSKIE NOCE

23 sierpnia

...Opiszę Wam najpierw noce koreańskie.

Nie ma chyba takich nocy na całym świecie. Senna, pusta niemal za dnia szosa, zaczyna żyć pełnym życiem o zmierzchu. Coraz gęściej ukazują się wielkie ładowne ciężarówki i chłopskie dwukołowe wozy, zaprzężone w woły. Po brzegach drogi idą zbrojne żołnierskie szeregi. Jedna fala ciągnie z północy na południe — ku 38 równoleżnikowi, ku frontowi; druga — z południa na północ, ku chińskiej granicy. Obie fale gęstnieją z godziny na godzinę i szosa gra hukiem motorów, zgrzytem łańcuchów, wołaniem ludzi. Raz po raz rozbłyska światło samochodowego reflektora, ale gaśnie szybko na głos strzałów. To posterunki drogowe przypominają: świecić nie wolno, wróg blisko. Z oddali dochodzą jakieś głuche dudnienia i widać jaskrawe czerwone błyski.

...Już pierwsze kwadranse podróży napełniają podziwem dla szoferów koreańskich i chińskich. Cała szosa składa się przecież z głębokich dziur, i z objazdów przez pole, w tym miejscu, gdzie wielki lej po bombie rozciął drogę jak rowem. Na szosie jest tłok, niczym na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich — a szoferzy nasi jadą czterdzieści kilometrów na godzinę. Raz po raz wyłania się naprzeciw z ciemności wielka masa ciężarówki, już — już zdawałoby się wpadniemy na siebie, ale obaj kierowcy, lekko tylko zwalniając, mijają się na samym brzegu szosy i znów zmiana biegu, znów więcej gazu i znów przed siebie.

...Nie tylko na szosach noc staje się dniem.

Mijamy pola, na których bieleją ubrane w płótno postaci. To chłopi i chłopki zaczęli pracę, która w ciemności jest bezpieczniejsza niż w jasny pogodny dzień letni, kiedy lotnicy amerykańscy polują na oraczy, na woły, na dzieci idące do szkoły.

Ożyły także martwe tory kolejowe. Gdyby ktoś tylko za dnia poznawał Koreę czasu wojny, doszedłby do wniosku, że pociągi nie chodzą w tym kraju, a linie kolejowe to chyba jakiś rekwizyt. Ale nocą i tu zaczyna się ruch. Doganiają nas i mijają pociągi towarowe — krótkie (nie więcej niż dziesięć wagonów), szybkie, niemal niewidoczne, bo z przysłoniętego paleniska i komina nie wydobywa się ani jedna iskra. Śpieszą pociągi z bronią na front, a z frontu wiozą rannych żołnierzy.

Widok na to co niegdyś było ulicą w Phenianie.

Na trzy mijane w drodze wsie, jedna to tylko czarne, osmolone ślady po osiedlu ludzkim. Niektóre chałupy starte zostały z powierzchni ziemi i tylko fragment okna czy drzwi świadczy, że tu, na zrytym wybuchami gruncie, stały budynki. Leje po bombach, głębokie na 6—7 metrów, podeszły wodą, brudną i szklistą. Niedawny musiał być nalot, który spopielił tę wioskę, bo wokół leżą jeszcze zniekształcone trupy zwierząt, rozbite szafy i stoi ocalała jakimś przypadkiem kuchnia — samotna, odkryta, bo ściany chaty rozpadły się od podmuchu.

Widziałem tej nocy dwa miasteczka i jedno spore niegdyś miasto, a raczej coś, co było miastem. Dziś są to kilkukilometrowe cmentarzyska — dokładnie zrównane z ziemią czarno-szare pola śmierci. Nie sterczą tu nawet ruiny wypalonych domów, bo rozłupane podczas pierwszych nalotów budynki zostały przez następne bombardowania starte do cna. Od strony cmentarzyska idzie dwoje ludzi z blaszankami na wodę, mija szosę i kieruje się ku strumykowi.

— To żyją tu jeszcze ludzie?

— A żyją, chociaż niewielu. Zdrowi i młodzi poszli na front, sporo zginęło podczas nalotów, sporo przeniosło się w góry. Niektórzy zostali. Mieszkają w piwnicach albo w głęboko wykopanych podziemnych norach.

...Już ze dwie godziny jesteśmy w drodze od błękitnej rzeki Jalu. Szosa szumi i huczy jak wodospad, sapią pociągi, słychać nawoływania żołnierzy, raz po raz to zapalają się, to gasną latarnie samochodów, i raz po raz strzały karabinowe przypominają, że palić świateł nie wolno.

...Nagle szosę wypełnia grzechot już nie pojedynczych wystrzałów, ale całych salw karabinowych. Zgrzytają hamulce samochodów, jakby żelazem przejechał po szkle, gasną wszystkie światła, przeciągłe wołanie „Hango-o-o! hango-o-o!" idzie wzdłuż całej szosy.

Już słychać brzęczenie, szum, głośny warkot — już są! Raz po raz smugi świetlnych kul przebiegają przez pole, przecinają szosę — za nami, przed nami.

Jakby mi skrzydła urosły u ramion, leciutko i niewiarygodnie szybko wyskakuję z wysokiej ciężarówki, dobiegam do rowu, chlup w wodę, znów na wierzch i w pole. Znalazłem zagłębienie, przytulam się do matki-ziemi i patrzę:

Niebem suną wysoko czarne drapieżne cienie i co chwila zapalają się jak lampiony. To serie z karabinów maszynowych oświetlają na ułamek sekundy samoloty i długimi pasmami mkną ku ziemi. Potem idą bomby: świstu nie słychać, tylko od razu ogłuszający huk i ogień. Palą się tu i tam, o kilkaset metrów od szosy, krzaki, krzewy bawełny na polach, jakaś chałupa. Ale już do koncertu przyłączyły się nasze instrumenty: gra różnymi tonami ukryta na wzgórzach artyleria przeciwlotnicza i paski świetlnych pocisków biegną przez rozgwieżdżone niebo. Skutek jest natychmiastowy: amerykańskie samoloty, które i tak trzymały się przyzwoitej wysokości, wznoszą się jeszcze wyżej i odlatują na południe.

I oto zastygła w milczeniu szosa w jednej chwili ożyła na nowo: zagrały motory, ruszyły żołnierskie szeregi i jak triumfalny sygnał ludzi nieustraszonych rozległo się w pobliżu miarowe paf-paf-paf parowozu. Transporty szły dalej ku linii frontu — z bronią, z żywnością, z odzieżą dla walczących braci.

Policzyliśmy się: są wszyscy. Spojrzeliśmy na szosę: ani jeden z setek samochodów nie zapalony, nie trafiony. Dogasała tylko chałupa i krzaki w polu.

— Tak jest najczęściej — mówi nasz dowódca Czia So-lin. — Latają wysoko, bomby zrzucają byle jak, gdzie popadło. Nie lubią ryzykować.

25 sierpnia

...Pierwsza noc koreańska była urozmaicona, ale jeszcze względnie spokojna. Dopiero następne, dalej od chińskiej granicy, dały się we znaki. Piraci amerykańscy latali nieustannie: uszy były pełne huku, oczy pełne ognistych blasków.

Kilkakrotnie mijamy płonące samochody, trafione o parę kilometrów przed nami. Żołnierze i kierowcy, nie zważając na to, że w oświetlonym skrawku szosy są wystawieni na cel, wyciągają z palących się wozów worki z ryżem i i zanoszą do pobliskiego zagajnika. Jutro załaduje się worki na inne ciężarówki.

...Około północy i nasz samochód miał szansę stać się płonącym fajerwerkiem. Ledwieśmy usłyszeli huk nadlatujących maszyn, ledwieśmy zdążyli krzyknąć sakramentalne „Piengi!" (samoloty) i postawić nogi na krawędzi samochodu — a już bomba rozerwała się na szosie, 30—40 mtr. od naszego wozu. Podmuch wymiótł nas z auta, rzucił na drogę, pokaleczył — ale któż wtedy zważa na takie drobiazgi? Człowiek się zrywa jak sprężyna, biegnie jak chart, tratuje po drodze krzaki, chlupie w błotnistym polu ryżowym — aby dalej od szosy, aby się skryć.

Gdy cisza nastaje, powrót do samochodu, który stoi cały, i do szofera, który ani na chwilę nie opuścił swojej maszyny, a teraz patrząc na nas, śmieje się pobłażliwie. Opatrujemy sobie wzajemnie pościerane dłonie i potłuczone nogi, gramolimy się do wozu — i jazda dalej. Pierwszy chrzest bojowy mamy już za sobą, i jakoś nam raźniej: dało się radę teraz, to i później przebrniemy.

Tak każda noc hartowała, a wiecie, co najbardziej przydawało nam odwagi i spokoju? Odwaga i spokój naszych koreańskich i chińskich szoferów. Pomyśleliśmy sobie, że oni ciągle, co noc, są w takiej podróży: od rzeki Jalu do linii frontu, i od linii frontu do rzeki Jalu. Przypomniało mi się, co Wiera Inber pisała w „Oblężonym mieście" o radzieckich szoferach, którzy przez zamarznięte jezioro Ładoga — jedyną drogę łączącą zablokowany Leningrad ze światem — zaopatrywali w żywność głodujące, bohaterskie miasto Lenina. Wziąłem ze sobą tę książkę do Korei i czytam w niej na postoju, tłumacząc naszym szoferom:

„Praca szoferów na Ładodze — to święta praca.

Wystarczy przyjrzeć się drodze, tej stratowanej, zjeżdżonej, nie znającej ani dniem, ani nocą spokoju, drodze. Pokrywający ją śnieg zamienił się w piasek. Wszędzie — na wybojach, na wąwozach, koleinach, dołach, rowach, wyrwach i lejach — leżą martwe samochody lub ich części.

A przecież szoferzy, jeżdżący przez Ładogę pod pociskami i bombami, przebywają tę trasę czterokrotnie w ciągu jednego dnia. Do nich skierowane są widniejące wszędzie, czerwone napisy na transparentach: „Kierowco! Czy zrobiłeś dzisiaj dwa kursy?" I kierowcy robią te dwa kursy.

Korea mówi także do swoich szoferów: „Frontowi potrzeba broni, sprzętu, żywności. Wasz obowiązek — to wszystko przywieźć". I kierowcy w Korei swój obowiązek spełniają.

Każdy dzień i każdą noc uczyliśmy się coraz lepiej panować nad nerwami i zwykłą ludzką trwogą. A uczyli nas swoim przykładem koreańscy i chińscy towarzysze.

„Męstwo jest tak samo zaraźliwe jak tchórzostwo".

26 sierpnia

...Czy wiecie, co się określa w Korei mianem „parasoli"? Otóż są to zrzucone nocą z samolotów rakiety oświetlające, umocowane do małych spadochronów. Gdy czereda samolotów amerykańskich wyrusza na nocny rozbój i krąży szukając celu, który gdzieś tu, według mapy, powinien się znajdować, a jest niewidoczny — lotnicy oświetlają teren tymi „parasolami".

Bardzo to niemiłe uczucie, gdy jedziesz skryty w ciemnościach nocy, a tu oświetlają ci całą drogę jak latarniami. Ma się wrażenie, jakby się było na scenie przy podniesionej kurtynie, a na widowni siedzieli sami gangsterzy z rozpylaczami i rewolwerami w rękach.

27 sierpnia

...Już kilka razy widzieliśmy na lesistych zboczach górskich ciemne plamy: to wypalone przez amerykańskich lotników kawały lasu. Dziś w nocy zobaczyliśmy, z odległości około 2 km., jak las płonął. Objaśniono nam, że „Miku" niedawno zrzucili na ten las kilka beczek z benzyną i bomby zapalające.

— Dlaczego to robią? — zapytałem.

— Ano po to, żeby brakło budulca i opału na zimę. U nas zima ostra, a węgla trudno teraz dostarczyć całemu krajowi. Chcą, żeby ludzie marzli i umierali z zimna.

— Czy to prawda, że podpalają także dojrzały ryż na polu?

— Prawda, robią tak, ale bezskutecznie, bo ryż rośnie na błocie i szybko gaśnie.

...Gdyśmy dziś wieczorem gotowali się do dalszej podróży, w wiosce zrobił się wielki ruch. Pod drzewami chłopi ustawiali się w szeregi i parami brali na plecy jakieś skrzynie i paki. Potem cała ta karawana ruszyła w drogę, w kierunku południowym.

Wyjaśniono nam, że ci chłopi niosą amunicję i żywność dla żołnierzy na froncie. Ponieważ samochodów i pociągów nie starcza, organizuje się piesze chłopskie sztafety w ten sposób, że jedna wieś zanosi ładunek do drugiej, ta przejmuje go i dostarcza dalej. W ten sposób zaopatrzenie dociera przez strome góry i gęste lasy aż do frontu (nieraz 500 km. i więcej). Tych chłopów nie odstraszą ani bomby, ani pożary.

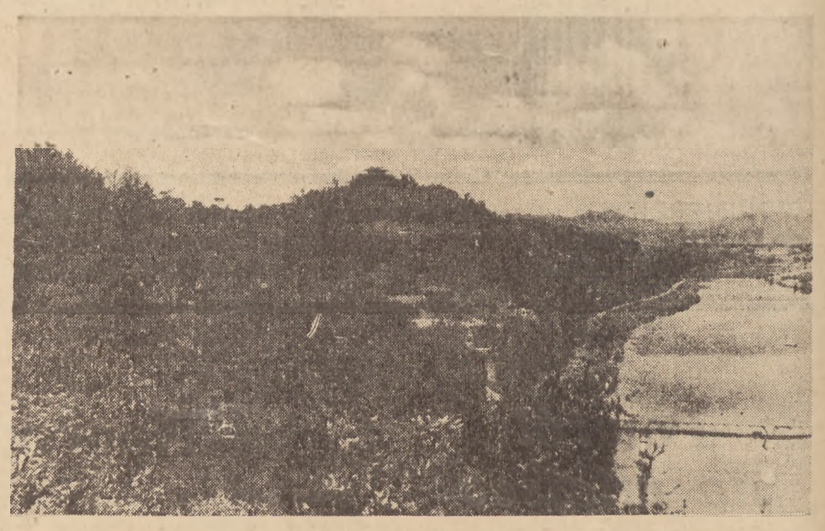

Typowy krajobraz koreański

KOREAŃSKIE DNI

24 sierpnia

...Czas opisać, jak spędzamy dnie podczas podróży przez Koreę.

Gdy wstaje ranek, mamy tu krótkie kwadranse, czasem godziny ciszy i spokoju. Samoloty nocne już odleciały do swoich baz w Japonii, a dzienni rozbójnicy jeszcze nie przybyli. Kolumny samochodowe, które tej nocy nie osiągnęły jeszcze celu podróży, zjeżdżają na boczne drogi, zatrzymują się, a żołnierze, przykrywszy zielonymi gałęziami swoje wozy, idą na spoczynek.

I nasz wóz przedostaje się polną, piaszczystą drogą ku wzgórzom, porosłym gęstem lasem. W dole wioska, łagodny wiatr kołysze zielonym jeszcze ryżem i żółtymi już wysokimi na 3 metry łodygami kaolianu*). Małe kwiatki mukunhua — ulubione kwiaty Koreańczyków — kwitną na polach i wzgórzach i wyglądają jak fiołkowe kobierce, rzucone na zielone tło. Jest ciepło, sennie, błogo. Kraj piękny jak marzenie, falujący górami i górkami, kolorowy bogatą, soczystą roślinnością, zdobny niezliczonym mnóstwem strumyków, rzeczek i rzek. Wydaje się, że minione noce były tylko złym snem o wojnie, a nie wojną. Że jest pokój i błogość w tym hojnie obdarzonym przez naturę kraju, w tej ojczyźnie dzielnych, pracowitych ludzi, którzy nie tak dawno, po półwiekowej niewoli, rozprostowali zgięte ramiona.

Rozkładamy na ziemi płaszcze, zarzucamy na siebie moskitory**) — i spać.

25 sierpnia

...Tym razem nasz anioł - stróż zgodził się, byśmy (oczywiście z nim razem) powłóczyli się trochę po polach i zobaczyli, jak wygląda za dnia szosa wiodąca do Phenianu.

Szosa, tak pełna życia w nocnej porze, rzeczywiście opustoszała. Z rzadka tylko przemyka zamaskowany starannie gałęziami wóz chłopski, jeszcze rzadziej — samotny „gazik". Kilka kobiet z dziećmi na plecach i jednocześnie z koszykiem na głowie idzie pod drzewami i ogląda się ciekawie na „blade twarze". To wszystko.

Ale na bocznych drogach większy ruch: więcej kobiet z koszykami, więcej chłopskich wózków, naładowanych jakimś towarem. Wszystko to zmierza w kierunku lasu.

Idziemy tam i my.

Ze sto kroków w głębi lasu polana, a na polanie — jarmark! Kobiety wiejskie z koszykami, w koszykach jajka, ryby, owoce. Wozy chłopskie z warzywami, woreczkami ryżu i liśćmi tytoniu. U innych sprzedawców w walizkach: mydło, papierosy, grzebienie, używane obuwie, bielizna, żelastwo. Trafia się także płaszcz i wiatrówka.

To jarmark leśny, zwyczajny już w Korei. Rząd zabronił urządzać jarmarki po wsiach i miasteczkach, bo każde większe skupisko ludzi to przynęta dla powietrznych zbójów. I zalecił jarmarki w lasach.

I tak się odbywa w Korei wymiana towarowa między wsią a miastem, w ten czas amerykańskiej wojny totalnej.

...Już w drodze powrotnej do naszego miejsca postoju napotkaliśmy na polnej drodze grupę dziewczynek. Szły urządzać szkołę. Zbliżał się wrzesień i po całorocznej przerwie nauka szkolna, przerwana najazdem, miała być wznowiona. Budynek szkoły, nieduży drewniak, jakoś szczęśliwie ocalał, ale trzeba zrobić nowe ławki (bo te, co były, porąbał na opał amerykański okupant), zalepić drzwi i okna nowym przezroczystym papierem, wyszorować do czysta podłogi. I uczennice szły do szkoły, żeby pomóc nauczycielom i rodzicom — miłe, skośnookie, czarnowłose, pyzate dzieciaki.

Gdyśmy z nimi o tym gawędzili, częstując polską czekoladą, nadleciały trzy samoloty. Spostrzegły, zawróciły i z niskiego lotu — jedna, druga, trzecia seria z ka-emów. Rozproszyły się dzieci jak stado piskląt, skryły, gdzie które mogło — pod drzewa, w ryż, między krzaki, przywarły do ziemi i z biciem maleńkich serc czekały nowego ataku. Ale samoloty poleciały dalej, po nowy żer. Na placu boju została dziesięcioletnia dziewczynka koreańska, której nóżki przeszyły mordercze kule. Przekleństwa same cisną się na usta i pięści wznoszą w górę ku dzieciobójcom.

26 sierpnia

...Dni koreańskie składają się nie tylko ze zdarzeń bieżących, ale także ze wspomnień. W wioskach, podczas postojów, dużo rozmawiamy z chłopami o tych dniach, kiedy tu byli okupanci amerykańscy jesienią 1950 roku. W każdej niemal wiosce zostało wspomnienie o tym okresie jako o jakimś potwornym koszmarze.

Słyszeliśmy opowieści:

— W naszej wsi zakopali żywcem 20 ludzi... Zgwałcili wszystkie dziewczęta, które nie zdołały w porę umknąć do lasu...

— U nas zakłuwali bagnetem małe dzieci i rozpruwali brzuchy brzemiennych kobiet...

— Któregoś dnia wyprowadzili 12 ludzi nad rzekę i z wysokiego brzegu strącili do wody. Do tych, którzy umieli pływać i chcieli się ratować, strzelali. Potem wrócili do wsi i oświadczyli: Tak zrobimy z wszystkimi Koreańczykami, jeżeli będziecie stawiali opór.

Nienawiść do zbrodniarzy amerykańskich jest powszechna i tak silna, jak potworne są ich zbrodnie. Mówiła nam 65-letnia staruszka, której całą rodzinę wymordowali okupanci, a ocalało tylko dwoje nieletnich wnucząt: „Moja krew jest już zimna, ale tych chłopców nauczę nienawiści i oni — gdy dorosną — pomszczą swoich rodziców i swoich braci.

We wsi Sogan opowiadają nam, że któregoś dnia ukazał się nad polami wielki amerykański bombowiec B-29. Lot miał nierówny, chwiał się to w jedną, to w drugą stronę, widać, że był trafiony. Po chwili 8 lotników wyskoczyło na spadochronach, a maszyna runęła w dół i rozbiła się w pobliżu szosy. Ze wszystkich wsi wokół zbiegli się chłopi, a każdy chwytał, co miał pod ręką: widły, drągi, siekiery. Na tych lotników, na tych podpalaczy i morderców. Ale ochroniła ich ochotnicza milicja ludowa, która jest w każdej gminie dla wyłapywania zrzuconych na spadochronach dywersantów.

Trzeba wam wiedzieć, że połowa tej wsi była spalona przez samoloty amerykańskie, ponad 30 ludzi w niej zginęło.

*

Po pięciu dniach podróży jesteśmy u celu. W Phenianie

Henryk Korotyński

Ostatnia „pamiątkowa" fotografia przed wyruszeniem w drogę z Chin do Korei. Trzeci od lewej autor reportażu.

*) Rozmawiamy za pośrednictwem Chińczyka-tłumacza, który zna rosyjski.

**) Jalu — chińska nazwa rzeki, oddzielającej Koreę od Chin. Koreańska nazwa brzmi: Amnogan.

*) rodzaj prosa.

**) cienka siatka, zabezpieczająca przed ukąszeniem komarów - moskitów, które są rozsadnikami malarii

HENRYK LUKREC

W dniu 14 marca 1952 r. zmarł w Warszawie Henryk Lukrec, wybitny działacz społeczny i publicysta, poseł na Sejm, wiceprzewodniczący Rady Naczelnej Stronnictwa Demokratycznego.

Henryk Lukrec urodził się 29 września 1884 roku w Warszawie. Po ukończeniu studiów w dziedzinie filozofii i nauk społecznych Henryk Lukrec poświęca się pracy społecznej. Władze carskie dwukrotnie osadzają go w więzieniu. Pracę publicysty rozpoczyna w redakcji „Głosu" jako współpracownik znanego, postępowego uczonego, Jana Dawida. Po śmierci Dawida, Lukrec obejmuje kierownictwo redakcji „Głosu". Oprócz pracy w redakcji „Głosu" Lukrec współpracuje stale z pismami „Prawda", „Odrodzenie", „Ster", „Widnokręgi" i inne.

W okresie międzywojennym Lukrec walcząc czynnie z reżimem faszystowskim staje na czele pisma „Epoka", grupującego w owym czasie elementy radykalne od lewicy robotniczej i chłopskiej do postępowej inteligencji. W czasie najazdu hitlerowskiego na Polskę bierze aktywny udział w obronie Warszawy.

Natychmiast po wyzwoleniu Polski przez Armię Radziecką Lukrec przystępuje do pracy w Polskim Radiu, redaguje „Nową Epokę" i jest czołowym działaczem Stronnictwa Demokratycznego. W latach 1948 — 51 Lukrec pełni funkcję prezesa Związku Zawodowego Dziennikarzy. Za swoje zasługi odznaczony zostaje Krzyżem Grunwaldu, orderem „Zwycięstwo i Wolność" oraz (pośmiertnie) Orderem Odrodzenia Polski III klasy.

WALDEMAR KIWILSZO

NAD EPOPEJĄ SOCJALIZMU

1. SŁÓWKO O KRYTYCE

Jeżeli rozważania nad powieścią Fiodora Panfierowa „Bruski"*) chciałoby się zacząć w tonie nieco zaczepnym w stosunku do naszej krytyki, to dlatego, że przy lekturze tego czterotomowego cyklu łatwo jest sobie uprzytomnić pewien istotny jej brak. Sformułowanie jego będzie się już zawierać w stwierdzeniu, że krytykę naszą cechuje jakaś „łagodność", przyciszenie, powiedziałbym zbyt dobre ułożenie, które aż niepokoi czasem swą poprawnością i niczym więcej. Aby nie narazić się na zarzut niedookreślenia nazwę rzecz w dalszym ciągu z jej imienia.

Dla większej poręczności dowodu warto rzucić spojrzeniem wstecz, do niedawnej przeszłości literackiej. Pamiętamy, jak rozogniła namiętności krytyków naszych, nie wolna od swoistych uroków „Dziwna zabawa" Roger Vaillanda. Dyskusja wybuchła jak gdyby dla zadokumentowania tego, że w centrum najżywszych zainteresowań pozostają stale jeszcze „losy inteligenta"— problem „przeżywany" i bliski. Fakt nie miał o to pretensji — dyskusja była ciekawa, żywa, jak sam problem. Ale takich dyskusji później już prawie nie mieliśmy. Wygasały. Czyżby dlatego, że wreszcie odwróciliśmy się od poznawania zachodnich nowalijek do rzetelnego studiowania bogactw radzieckiej literatury?

Tak już się działo i dzieje nadal, że przyjęcie przez naszą krytykę dzieł radzieckiej literatury pięknej dokonywało się utartym trybem recenzenckim, nie przerodziło się ani w jednym przypadku w otwartą dyskusję. Nie da się chyba tego wytłumaczyć tym, że książki te niewiele dostarczały materiału do twórczej dyskusji. Nic bardziej fałszywego nad takie stwierdzenie.

Zresztą dyskusje takie odbywały się, istniały wśród pisarzy, nawet więcej, nieraz istniały namiętne spory. Ale wyładowania atmosfery szły bokami, dokonywały się w kręgach zacieśnionych do niewielkiej garstki znawców. Tam powstawały opinie niejednokrotnie bardzo kłócące się ze sobą, spierano się o bohaterów, ich charaktery, losy. Wszystko to jednak nie przedostawało się do pism, gdzieby naturalnym porządkiem rzeczy mogło się stać zarzewiem otwartej dyskusji.

Czym tłumaczyć fakt, że dotychczas nie miała u nas miejsca dyskusja nad żadną z radzieckich powieści? Nie spowodowały jej ani „Zorany ugór" Szołochowa, ani „Młoda gwardia" Fadiejewa, ani „Burza" Erenburga, ani „Daleko od Moskwy" Ażajewa, ani wreszcie Nikołajewej „Żniwa".

Jestem spokojny, dyskusji takiej nie wywołają również „Bruski". Pewną gwarancję tego mam w tym, że krytyka nasza nie dostrzegła ich w przeciągu bez mała dwóch lat od chwili wydania przekładu znakomitego dzieła.

„Bruski" czekały długo i cierpliwie na uwagę krytyki. Los innych powieści radzieckich był pomyślniejszy. Zaraz po ukazaniu się przekładów zostały skomentowane w recenzjach, na ogół poprawnych, i to tak dalece, że kiedy ktoś się zwracał do redakcji pism z propozycją napisania o tej samej książce, redakcje odpowiadały z reguły: „dziękujemy, już pisaliśmy o tym". W praktyce wytworzył się zwyczaj, który by nazwać można bez żadnych uchybień „spłacaniem długu" wobec książki, no i oczywiście wobec czytelnika, zwyczaj — powiedzmy sobie szczerze — wynikający z mechanicznego przejęcia się postulatem poznawania literatury radzieckiej. „Bo o literaturze radzieckiej należy i trzeba pisać — ale wystarczy, jeśli recenzent wszystko zgrabnie uporządkuje w swojej wypowiedzi, i sprawa załatwiona". A co robić, jeżeli nie zostaje załatwiona, a recenzja właśnie dopiero ją otwiera?

Przecież krytyk może się mylić w swoich sądach, może nieraz w ocenie dzieła wychodzić z błędnych przesłanek, może dzieło przecenić lub nie docenić. Ktoś kto się nie zgadza z krytykami, powinien by się ująć wówczas za książką, albo wreszcie już choćby tylko za własnym odmiennym zdaniem. U nas jest inaczej — po prostu milczy się. A nieporozumienia w krytyce zdarzają się nierzadko.

Oto przykład. Wyszła stosunkowo niedawno powieść Wadima Sobka „Rękojmia pokoju". Powieść na tyle interesująca i o takiej wadze problemu, że zdawałoby się powinna zainteresować krytykę jak najszerzej. Owszem, zainteresowała. Była nawet w „Nowej Kulturze" jej recenzja — poprawna... Nie. Otóż właśnie, że nie całkiem. Powieść Wadima Sobka, jak potwierdziła to również krytyka radziecka, grzeszy szkicowością sytuacji, wizerunku postaci, jednym słowem nie legitymuje się pełnym walorem artystycznym, albo inaczej—jak może chciałby Flaszen—jest „tknięta anemią schematyzmu". Recenzent w jak najlepszej intencji chciał wybronić literacki, artystyczny walor tej powieści i dlatego uciekł się do zręcznego wybiegu, rozważał ją w ramach teorii skonstruowanego przez siebie gatunku powieści publicystycznej. Chyba jest to pewnym nieporozumieniem, mogącym później mącić. Chyba można było ze spokojnym sumieniem ukazać i zanalizować te braki powieści, tym bardziej, że „Rękojmia pokoju" broni się doskonale innymi swoimi stronami: gorącą aktualnością problematyki i jej znaczeniem politycznym.

Powieść radziecka domaga się niejednokrotnie szerokiej, twórczej i krytycznej dyskusji. Tylko takie żywe jej spotkanie może się stać rzeczywistą pomocą w rozwoju naszej nowej literatury.

I tak na przykład „Bruski" dopraszają się niemal same o wielogłos.

2. POMYSŁ I REALIZACJA

Jeżeli prawdą jest, że krytykowi winno wystarczyć kilka spięć myślowych dla ukazania widonkręgu tematycznego i ideowo - artystycznej wartości dzieła, to prawda ta, należy mniemać, odnosi się do praktyki spotkań z utworami miernymi albo wręcz przeciętnymi. Prawda ta na pewno przestaje obowiązywać w zastosowaniu do dzieł takich, w których materiale spoczywają świadectwa całej epoki. Wiadomo, że dzieła takie trafiają się rzadko, ale trafiają się, i często stają za całość obfitej nieraz twórczości niejednego pisarza. Tak też rzecz się ma z cyklem powieściowym Fiodora Panfierowa.

Ktoś komu wypadłoby zwyczajne recenzyjne omówienie tej epopei urzeczywistniania socjalizmu znalazłby się w niemałym kłopocie. Trudność bowiem pisania o „Bruskach" polega między innymi na tym, że o tej powieści należałoby właściwie napisać cały tom. Niepodobieństwem prawie jest przekazanie czytelnikowi w ramach popularnego recenzyjnego omówienia wszystkich zagadnień i spraw dotyczących zarówno samej problematyki dzieła, jak i sposobów jej artystycznego transponowania, chociażbyśmy ustalając ścisłą hierarchię ważności tych problemów pragnęli ograniczyć się do omówienia najważniejszych. Trudno jest jednak zdecydować się „bez bólu" na taki rygor ograniczania terenu operacyjnego dla swego pióra. Niestety w przypadku „Brusków" zmusza nas do tego bogactwo materiału będącego przecież żywą kroniką jedenastu lat porywającego okresu dziejów tworzenia doskonalszego społeczeństwa.

Nad czterema tomami swojej powieści pracował Panfierow z górą dziesięć lat (1926 — 1937). Przedtem dał się poznać jako autor dramatów o tematyce wiejskiej: „Dzieci ziemi" („Dieti ziemli"), „Poczwara" („Urod"), „Bunt ziemi" („Bunt ziemli"), „Chłopi" („Mużiki"), „Stalowy rumak" („Stalnoj koń") oraz dwóch tomów reportaży: „Z wsiowych pól" („Ot dierewienskich polej") i „W brzask poranny" („W pradutiemniuju rań")

Pierwszy zamysł autorski był o wiele mniej ambitny niż późniejsze jego wykonanie. Nagromadzony zapas doświadczeń i obserwacyj pragnął Panfierow wykorzystać w powieści o zmaganiach komuny rolnej, zorganizowanej przez uświadomiony kolektyw biedniacki z frontem rozdrażnionego tym, a zuchwałego, kułactwa. Pierwszy tom „Brusków" ukazywał się więc w intencji pisarza jako zamknięta powieściowa całość. Gdyby później autor nie zdecydował się na napisanie dalszych dziejów walki klasowej, ogniskującej się w Szerokim Bujeraku wokół komuny organizowanej upartym wysiłkiem „komisarza" — jak go na wsi nazywano — Stiepana Ogniowa, to i dzisiaj ten jeden tom „Brusków" odczytywalibyśmy jako samodzielną, pełną i zamkniętą konstrukcyjnie powieść.

Historia powstania „Brusków" pozostanie dla nas jednym z dowodów potwierdzających niezwykły talent pisarza, który uformowaną już powieść potrafił później kontynuować, przemieniając ją w rezultacie w kształt wielkiej epopei socjalizmu. Ta zadziwiająca prężność twórcza pochodzi może stąd, że Panfierow miał też z czego rozwinąć tę epopeję, bo już w pierwszym tomie „Brusków" łapie szeroki epicki oddech. Kiedy się w tej chwili zastanawiam nad możliwością wyciągnięcia np. powieści Bartelskiego w taki powiększony i poszerzony plan epicki, zdaję sobie tym lepiej sprawę ze szkicowości, z ubóstwa realistycznej faktury „Ludzi zza rzeki". Tej powieści nie dałoby się pisać dalej, nie podołałby temu autor, gdyby mu nawet chciał przyjść z pomocą sam Panfierow. „Dzieje zwyciężającej gromady" należałoby pisać od początku i na nowo.

3. WALKA O NIEUŻYTKI

Do Szerokiego Bujeraku wkraczamy w 1926 roku. Jest marzec. W taki niebezpieczny czas ruszania lodów na Wołdze przeprawia się przez rzekę w stronę Szerokiego Stiepan Ogniow. Zapewne chodził znowu w sprawie ziemi. Zebranie gromadzkie postanowiło oddać Ogniowowi i jeszcze paru chłopom, idącym pospólnie, leżący na uboczu kawał nieużytku — Bruski. Był tam niegdyś stary dwór i folwark pana Sutiagina, potomka hrabiego Uwarowa (ministra oświaty za czasów Mikołaja I-go, tego samego, którego Bieliński nazywał „ministrem zgaszenia oświaty"). „Bruskami"*) nazwano go, „gdyż było tam bardzo dużo czerwonego kamienia, nadającego się na osełki do ostrzenia kos". Służył niegdyś u hrabiego Sutiagina chłop Jegor Czuchlaw. „Gdy sparaliżowany dziedzic pozostał sam jeden we dworze, Czuchlaw wśliznął się doń pod pretekstem opiekowania się panem". „Za opiekę pan mu obiecał podarować Bruski na wieczystą własność". Odtąd Jegor Stiepanowicz czuł się już prawie panem na Bruskach. Ale Sutiagin nie zdążył uczynić zapisu. Kiedyś w sprzeczce Czuchlaw „tak jakoś lekuchno przydusił pana, że Sutiagin drgnął i wyciągnął nogi". Czuchlaw nie mógł tego sobie darować: „A tom się spisał. Bruski—fiut przeszły koło nosa". Podtrzymały go jednak w tej udręce znalezione u pana złote rubelki. Jegor Stiepanowicz pobudował się, przykupił ziemi i lasek, najmował też do pracy Stiepana Ogniowa. I właśnie teraz ten dawny wyrobnik Ogniow lezie wraz z gromadą „golców" na Bruski. A już myśleli tej zimy wydzierżawić Bruski razem z Ilią Płakuszczewem, dawnym wójtem.

Umyślnie zarysowałem dokładnie tę wyjściową sytuację „Brusków", poprzez którą Panfierow ukazuje od razu „strony" konfliktu, z miejsca skupiając uwagę czytelnika na sprawie zasadniczej: jak się zorganizuje kolektyw biedniacki na Bruskach, i jak się wobec niego zachowa zawiedzione w swych planach i pożądaniach miejscowe kułactwo. Sprawa Brusków od pierwszych stron powieści przestaje być sprawą jednostkowo-prywatną, mającą w powieści swój genetyczny sens istnienia jedynie w płaszczyźnie niezaspokojonej żądzy posiadania, która od dawna kierowała łakomy wzrok Jegora Czuchława w stronę kamiennego ugoru. Następujące po tym zdarzenia w Szerokim Bujeraku i na Bruskach ukażą głębszą zasadę tego konfliktu, przeistaczającego się w miarę narastania wypadków w świadomy, kierowany przez partię bolszewików proces kruszenia kapitalistycznej struktury wsi.

Na wsi co prawda nie panuje już cień pańskiego dworu. Ostatni majętni potomkowie hrabiów Uwarowych odeszli w przeszłość odkomenderowani jednym dekretem władzy radzieckiej w niepowrotne dzieje. Był to pierwszy zdecydowany krok na drodze rewolucji socjalistycznej na wsi, wyzwolonej tym samym spod popowsko-pańskiego ucisku. Ale w życiu wsi wciąż jeszcze rolę pierwszorzędną grał kułak, w którego osobistym, klasowym interesie leżała walka z postępem rewolucji, opór przed jej rozporządzeniami. Tendencja ta, gdyby nie była surowo kontrolowana i ograniczana przez władzę radziecką, groziła w każdej chwili przerodzeniem się w żywiołowość procesu regeneracji kapitalizmu.

W rozgorzałej na tym tle walce o Bruski, coraz to ostrzej zacznie się rysować linia podziału gromady według opowiedzenia się w walce po tej czy innej stronie. Przy tym nie zawsze będzie w tym decydowała ilość posiadanych włók. W obozie Płakuszczewa, Czuchlawa, Marcela Bykowa i Gurianowów znajdą się również zwyczajni „podkułacznicy", rekrutujący się z biedoty wiejskiej: Mitka Spiryn czy Szlonka. Pójdą oni na lep kułackiej propagandy, odziaływającej umiejętnie na instynkty własnościowe szerokich mas chłopstwa i na ich tradycyjne, zatęchłe, „lerygijne" przeświadczenia. A Bruski właśnie stają się groźnym rozsadnikiem nowych idei i zasad gospodarowania, będących stanowczą negacją archaicznej, indywidualno - własnościowej gospodarki.

Kolektyw na Bruskach pokonuje w pierwszym okresie nadludzkie niemal trudności. „Na Bruskach, w pobliżu Wołgi, oderwani od społeczności gminnej, mozolą się artelczycy, orzą krowami lub sami ciągną pługi. Na przedzie Ogniow, Dawidek Panow i Stiosza — idą w pługu własnej roboty; za płużkiem ściele się wąski pas kudłatej darni. Za nimi, ze swoją Burką zaprzągniętą do sochy, wznosząc łapciami kurz, kroczy Mikołaj Pyrnin". Kułacy są niemal pewni, że artelczycy wyjdą pokonani z tego pojedynku z ziemią. To jednak nie uspokaja ich na tyle, aby mieli poniechać różnych możliwych sposobów i form otwartej walki. Wszelkimi siłami starają się odciągać ludzi od Ogniowa; uciekają się do przekupstwa. Z drugiej strony usiłują obsadzić swoimi ludźmi radę gminną. Jeżeli tego dokonają, cała biedota ucieknie z Brusków, zaduszą ją podatkami.

Na tę walkę przyzwolił Aleksander Jakowlewicz Żarkow — sekretarz Komitetu Gubernialnego partii. Żarkow nie orientuje się wcale w dialektyce walki klasowej na wsi. Jest typem zbiurokratyzowanego funkcjonariusza partyjnego. Wieś zna jedynie ze sprawozdań, ze zjazdów, z przygodnych rozmów. Ma trzy ustalone poprawnie formułki, które orientują go w obrazie klasowym wsi: biedacy, średniorolni i bogacze. Jednakże w zetknięciu z prawdziwą wsią, pojęcia te przewracają mu się w głowie kompletnie, bo jak tu pojąć biedniaka Szlomkę, który trzyma z kułactwem, a znowuż kułak Płakuszczew tak wiele pięknych i tchnących prawdziwą mądrością słów wypowiada na temat władzy radzieckiej. Drogowskazy orientacji praktycznych tego „działacza" partyjnego mogłyby się ubiegać o lepsze z najprymitywniej skomponowanym plakatem. „Bogacz ma wielką głowę i lakierowane buty; średniak w kaftanie i zwykłych butach, biedota — w łapciach".

Postać Żarkowa od razu budzi czujność czytelnika. Kiedy Żarkow ułatwiając sytuację kułakom wysyła ze wsi Ogniowa w przededniu wyborów do rady gminnej, czytelnik, który zdążył już dostatecznie związać swe sympatie ze sprawą Brusków, jest bliski rozpaczy. Autor w bardzo powściągliwym komentarzu zapowiada przyszłe zdemaskowanie Żarkowa. Ogniow „nie mógł przecież przewidzieć, co później stanie się z Żarkowem, jakim człowiekiem okaże się on za parę lat, i jaki cios wymierzy krajowi". Lektura całości czterech tomów pozwala nam na rozszerzenie i ukonkretnienie tego komentarza. Okaże się później, że Żarkow był jednym z przywódców grupy trockistowsko-bucharinowskiej w łonie partii. To dopiero odsłoni w pełni ideologiczne korzenie działalności Żarkowa, która poprzez bratanie się z niedobitkami białogwardyjskiej „góry" oficerskiej będzie prowadzić do wywołania zbrojnego powstania kułackiego w Połdomasowie i wypaczenia, sabotowania wszelkich uchwał i instrukcyj partii w sprawie prowadzenia polityki na wsi.

Jest w „Bruskach" scena, która daje czytelnikowi pełne zadośćuczynienie za przeżyty przedtem niepokój — to scena rozprawienia się z trockistami i bucharinowcami na XVII Zjeździe Partii Bolszewików. Podziwu godna jest precyzja, z jaką Panfierow zdołał powiązać nićmi fabularnymi sprawy wymiaru terenowego ze sprawami dziejącymi się w skali ogólnopaństwowej. Na kartach „Brusków" pojawią się w momentach zasadniczych spięć postacie Kalinina, Mołotowa i Stalina. I te sceny nadadzą dopiero pełny patos dziejowy zdobyczom zapoczątkowanym zmaganiami kolektywu na Bruskach.

W końcu lat dwudziestych zagadnieniem węzłowym dalszego pomyślnego prowadzenia rewolucji stała się konieczność utworzenia jednolitej socjalistycznej bazy dla całości narodowej gospodarki radzieckiej. To oznaczało konieczność dokonania zdecydowanego przewrotu w stosunkach wiejskich. Przed wsią radziecką stanęło zadanie przejścia od indywidualnej, drobnokapitalistycznej gospodarki do gospodarki kolektywnej, socjalistycznej, pozwalającej na zastosowanie nowych metod i sposobów uprawy, na zmechanizowanie prac polnych. Po kraju wraz z hasłem kolektywizacji przeleciało inne: „Rewolucja orze traktorami".

Ale traktorami można orać tylko na obszarach niepociętych na skrawki miedzami. Po polach Szerokiego poszły tego roku traktory. Na Bruski przeniosły się siedemdziesiąt trzy zagrody. Dokonała tego usilna agitacja Ogniowa, a i widome oznaki rozwoju komuny (traktor, maszyny żniwne), nad którą przejęła teraz patronat cementownia „Bolszewik". Po zatwierdzeniu

Fiodor Panfierow

*) Fiodor Panfierow — Bruski, tomów 4, Książka i Wiedza, r. 1950.

*) po polsku „bruski" znaczy osełki.

*) Członek faszystowskiej, na pół wojskowej organizacji w burżuazyjnej Łotwie.

Życie przeciwko schematowi

List do redakcji dziennika „Prawda" w sprawie krytyki powieści W. Łacisa

25 lutego b. r. centralny organ KC WKP(b) „Prawda" opublikował korespondencję grupy czytelników w sprawie odznaczonej ostatnio Stalinowską Nagrodą I stopnia powieści wybitnego pisarza łotewskiego, Wilisa Łacisa, pt. „Ku nowemu brzegowi". Grupa czytelników zaprotestowała w nim przeciwko błędnej ocenie nowej powieści Łacisa w korespodencji Zorina z Rygi dla „Literaturnej Gazety". List grupy korespondentów budzi szczególne zainteresowanie dzięki temu, że jest ostrym protestem przeciwko lewackiemu wulgaryzowaniu tez marksizmu-leninizmu odnośnie sprawy chłopskiej.

Jeden z ważnych wątków powieści „Ku nowemu brzegowi" stanowią dzieje Ajwara, przybranego syna 90-hektarowego kułaka — Taurinia. Kułak ma ambicję wychowania Ajwara na gospodarskiego syna, sączy w jego młodą duszę przekonanie o wyższości wobec biedniaków, jad szowinizmu narodowego. W duszy chłopca walczy solidarność z jego dawnym środowiskiem, z wpajanym przez Taurinia poczuciem własności i zachłannością kułacką. Wojna z faszyzmem, w czasie której Ajwar zostaje żołnierzem łotewskiej dywizji Armii Czerwonej, zetknięcie ze środowiskiem ideowych komunistów wyrywa ostatecznie Ajwara z objęć kułackich.

Po powrocie w rodzinne strony Ajwar angażuje się w walce o socjalistyczną przebudowę wsi łotewskiej. Kiedy Tauriń próbuje przeciągnąć go na stronę wyzyskiwaczy, Ajwar oburza się: „Za kogo mnie Tauriń bierzę? Myśli, że jeśli człowiek wskutek niezależnych od niego warunków znajdował się w ich środowisku i nosił mundur ajsargów*), to już na całe życie pozostanie... nierozerwalnie z nimi związany. Tak myśleć mogą tylko beznadziejni idioci!"

Nie od razu Ajwar zdobywa zaufanie towarzyszy. Zaufanie to ugruntuje dopiero wytrwała praca w kołchozie i bezkompromisowa postawa Ajwara w rozbiciu kułackiej kliki, której przewodził Tauriń. Walka klasowa obróciła przybranego syna przeciw swemu „dobrodziejowi" — ojcu.

I oto dogmatyczny sprawozdawca ryskiej dyskusji nad powieścią „Ku nowemu brzegowi" tendencyjnie uznając dzieje Ajwara za główny wątek powieści zarzuca pisarzowi odstępstwo od prawdy życiowej, od typowości procesów społecznych i na zasadzie tych „braków ideowych" określa powieść Łacisa jako „poważne niepowodzenie pisarza". Zorin zasłania swe wywody scholastycznymi formułami, praktykę nagina sztywno do teorii. Prawem życia określa grupa czytelników zjawisko, że rewolucja ludowa łamie stare porządki, starą obyczajowość, że nie potrafi się wobec jej naporu ostać nawet rodzina kułacka.

Wypowiedź grupy czytelników jest przykładem twórczego zastosowania marksizmu-leninizmu w ocenie problemów ideowych literatury. W aktualnej dyskusji o schematyzmie w naszym pisarstwie i krytyce głos grupy czytelników ma znaczenie wskazówki i przestrogi. Wskazówki dla pisarza, żeby bacznie obserwował prawa żywego życia, przestrogi dla krytyka, żeby nie posługiwał się dogmatycznie — zamykając oczy na prawdę życia — literą teoretycznych formuł.

Warto, żeby problemy, jakie przynosi korespondencja grupy czytelników, przemyśleli pisarze i krytycy w związku z rewolucją ogarniającą wieś polską oraz jej odbiciem i oceną w literaturze i krytyce u nas.

* * *

Niedawno ukazał się w „Literaturnej Gazecie" (z 15 grudnia 1951 roku) artykuł - korespondencja M. Zorina z Rygi pt. „Omówienie powieści W. Łacisa „Ku nowemu brzegowi".

Jak wiadomo, powieść W. Łacisa ukazała się w 1951 roku w rosyjskim przekładzie w trzech numerach czasopisma „Zwiezda".

W swojej korespondencji M. Zorin informuje o dyskusji zorganizowanej przez Radę Artystyczną Łotewskiego Wydawnictwa Państwowego w Rydze, w czasie której powieść poddana została ostrej krytyce. Korespondent przytacza negatywne wypowiedzi uczestników dyskusji. Sam autor korespondencji pozornie wstrzymuje się od wdawania się w dyskusję. Ale to tylko przebiegłość autora korespondencji. W rzeczywistości, sądząc według doboru faktów i podkreślenia pewnych momentów dyskusji, korespondent wyraża swoje własne negatywne poglądy na powieść Łacisa. Dyskusja jest tylko pretekstem do tego. Ta groszowa chytrość potrzebna była M. Zorinowi po to, by uchylić się od odpowiedzialności.

M. Zorin twierdzi, że głównym bohaterem powieści jest Ajwar, przybrany syn kułaka Taurinia, który zrywa później z rodziną Taurinia i przechodzi na stronę ludu, że osią powieści jest Ajwar. To nie jest słuszne.

Z którejkolwiek strony przystąpimy do sprawy, czy to z punktu widzenia ilości stron, poświęconych Ajwarowi, czy z punktu widzenia roli, wyznaczonej Ajwarowi w powieści — nie wychodzi z Ajwara w żaden sposób główny bohater. Jeśli już mówić o głównym bohaterze powieści, to można byłoby uważać za takiego raczej Jana Liduma, starego bolszewika wywodzącego się z fornali, który znacznie przewyższa Ajwara zarówno zrozumieniem zagadnień społecznych i autorytetem wśród ludu, jak znaczeniem w kołach partyjnych. Zaufanie aktywu do Ajwara wcale nie jest pełne. Wyznaczają mu różne zadania, lecz cały czas pracuje on pod badawczym nadzorem aktywu. Jedynie potem, kiedy Ajwar pomyślnie wykonuje zadanie osuszenia bagien i rozprawia się ze swym byłym przybranym ojcem kułakiem, Tauriniem, który podwinął mu się pod rękę — dopiero potem staje wśród aktywu sprawa przyjęcia Ajwara do partii.

Ale główna zaleta powieści Łacisa polega nie na ukazaniu poszczególnych bohaterów, lecz na tym, że głównym i rzeczywistym bohaterem powieści jest naród łotewski, prości ludzie pracy z narodu, wczoraj jeszcze zastraszeni i zahukani, a dziś podniesieni na duchu i tworzący nowe życie. Powieść Łacisa jest epopeją narodu łotewskiego, który zerwał ze starymi burżuazyjnymi porządkami i buduje nowy, socjalistyczny ustrój.

M. Zorin twierdzi dalej, że rozdźwięk w rodzinie kułaka Taurinia i zerwanie Ajwara z Tauriniem jest zjawiskiem przypadkowym, nieznacznym epizodem, że takiego epizodu nie można przekształcać w zasadniczy wątek powieści. To również nie jest słuszne.

Po pierwsze, jak już zostało powiedziane wyżej, zerwanie Ajwara z kułakiem Tauriniem nie jest ani zasadniczym wątkiem, ani istotnym momentem powieści Łacisa. Zerwanie Ajwara z Tauriniem jest tylko jednym z momentów powieści. Zasadniczym wątkiem powieści jest ruch ludowy łotewskiego chłopstwa w kierunku ustroju kołchozowego na wsi.

Po drugie — zupełnie niesłuszne jest, jakoby rozdźwięk w rodzinie kułaka Taurinia i zerwanie Ajwara z tą rodziną miały być zjawiskiem przypadkowym, nieznacznym epizodem. W. Łacis przedstawia w swojej powieści okres przejściowy od władzy burżuazyjno-nacjonalistycznej na Łotwie do ustroju radzieckiego, od indywidualnego gospodarstwa chłopskiego do ustroju kołchozowego na wsi. Charakterystyczna cecha tego okresu polega na tym, że łamie on stare porządki, stare zasady, stare zwyczaje i obyczaje, podnosi brata przeciw bratu, dzieci przeciw ojcom, rozkłada i rozbija rodziny, w tej liczbie także i kułackie rodziny. Dlatego nie ma nic przypadkowego w tym, że burza nowego ruchu ludowego wdarła się i do rodziny kułaka Taurinia i rozłożyła ją. I nie tylko do rodziny kułaka Taurinia. Wdarła się ona także do rodziny średniaka Paceplisa — poplecznika kułackiego, oderwała od niej syna Żana i córkę Annę i wciągnęła ich do ruchu ludowego. Tylko ludzie, którzy nie znają życia i wierzą we wszechpotęgę kułaków mogą myśleć, że rodziny kułaków i ich popleczników mogą ostać się przeciw uderzeniom ruchu ludowego, że w okresie łamania wszelkiej starzyzny, rodziny kułaków i ich popleczników mogą jakoby zachować się w całości. Nie, rozkład życia rodzinnego kułaków i ich popleczników jest w okresie wzrostu ruchu kołchozowego nie przypadkowym zjawiskiem i nie zwykłym epizodem, lecz prawem życia. Właśnie dlatego W. Łacis, jako dobry znawca życia i wielki artysta nie mógł nie ukazać w powieści procesu rozpadu życia rodzinnego kułaków i ich popleczników.

Po tym co się rzekło staje się jasne całe pustosłowie relacji M. Zorina o „ideowych brakach" i „ideowym załamaniu" powieści „Ku nowemu brzegowi". Aby przekonać kogokolwiek o słuszności takich oskarżeń, trzeba mieć w swym arsenale cośkolwiek poważniejszego niż powierzchowna i dwuznaczna korespondencja z Rygi. Lewackich naskoków na W. Łacisa nie możemy uważać za argumeunty. Przeciwnie, takie naskoki mówią o braku jakichkolwiek argumentów.

Uważamy, że powieść W. Łacisa „Ku nowemu brzegowi" jest wielkim osiągnięciem radzieckiej literatury pięknej, utrzymanym od początku do końca na właściwym poziomie ideowym i politycznym.

Pragnęlibyśmy, aby „Prawda" wyraziła swoje zdanie o powieści W. Łacisa.

GRUPA CZYTELNIKÓW

Pod powyższym listem, opublikowanym w „Prawdzie", znajdujemy dopisek redakcji następujący treści:

„Redakcja „Prawdy" uważa stanowisko grupy czytelników za słuszne".

pierwszego planu pięcioletniego, który stał się również wielkim planem kolektywizacji kraju, kułacy w Szerokim Bujeraku nie widzą innej możliwości ochrony swych interesów — zrzeszają się, tworząc swój odrębny kolektyw. Z całej wsi został poza kolektywem tylko jeden Ilja Gurianow, kułak o najbardziej zapiekłej duszy.

4. KU WIELKIEJ EPICE

Od tej chwili wypadki w Szerokim Bujeraku potoczą się wartko naprzód. Przy skupie zboża objawi się oportunizm Ogniowa, który stanie się tu powodem jego rychłej „śmierci cywilnej". Na wiosnę chłopi będą musieli ratować pola przed zalewem powodzi. W akcji tej Ogniow załamie się duchowo całkowicie, co stanie się też pośrednią przyczyną jego choroby i utraty sił. Bruski pozbawione sprężystej ręki kierowniczej zaczną się rozprzęgać, zapoczątkuje się rozpad komuny. Cyryl Żdarkin wraz z Bogdanowem dostają z okręgowego komitetu partii zlecenie służbowe wyjazdu do Szerokiego w celu odbudowy gospodarstwa komuny Bruski. Ci dwaj przychodzą na zmianę Ogniowa i opanowują na miejscu sytuację. Energia Cyryla w połączeniu z wielką wiedzą i doświadczeniem Bogdanowa gwarantują teraz pomyślny rozwój Brusków.

Przyjazd Żdarkina nie zlikwiduje jednak automatycznie wszystkich trudności. Ludzie nie nadążają za zmianami, ich rozwój jest zapóźniony w stosunku do rozwoju ekonomiki. Dominującym rysem w psychice przeciętnego chłopa pozostawały od dawna przyswojone tradycje i nawyki indywidualnego panowania na własnym gospodarskim podwórku. I już w pierwszym etapie wdzierania się nowego życia w pogrążoną w zacofaniu i obskuranckiej atmosferze wieś nie chodziło jedynie o przerwanie wspólnego zagona. Cóż łatwiejszego bowiem jak przeprowadzenie na powrót zaoranej miedzy. Chodziło przecież o przebudzenie ludzi, o przeoranie ich świadomości klasowej. „Zorany ugór" Szołochowa, będący literacko opracowaną kroniką roku wielkiego przełomu w życiu wsi, kiedy to „średniak ruszył ławą do kołchozów", świadomy tego, że tylko nowy typ gospodarowania może zapewnić mu prawdziwą niezależność ekonomiczną i życiową — bodaj w najlapidarniejszym symbolu tytułu — zamyka sens tych dokonań władzy radzieckiej.

Teraz należało umocnić te zdobycze w ludziach, aby zapobiec recydywom kapitalizmu.

Współmierność dążeń osobistych i społecznych staje się kwestią, którą rozstrzygać muszą teraz w sobie prawie wszyscy bohaterowie „Brusków". Zagadnienie to nie jest łatwe do rozstrzygnięcia w praktyce życiowej. Wielką zasługą Panfierowa jest właśnie to, że czuje realną wagę zwykłych, powszednich spraw życiowych, codziennych, osobistych przeżyć i trudności łamania się wewnętrznego ludzi. Przez to „Bruski" uzyskują ton najzupełniej szczery i głęboki. Chwile potknięć będzie miał nawet Cyryl Żdarkin, kiedy opadną mu ręce wobec ogromu trudu wychowania nowych ludzi, kiedy zorientuje się, że to, co pcha Iwana Sztyrkina, a za nim i innych, do wielkich czynów współzawodnictwa przy wydobywaniu torfu, to nic innego, jak stare motywy chęci zysku. Cyryl na moment zwątpił w tych ludzi, gorzej, że zwątpił też w siebie. Odezwie się w nim samym na powrót dawna dusza — dawne narowy. Skończy się to na szczęście na interwencji partii. Partia pomogła Żdarkinowi wrócić na właściwą drogę polecając mu organizację wielkiego ośrodka maszynowo - traktorowego w rejonie Bujeraku. Jednocześnie na uroczysku Czarci Kąt rozpoczęto prace przy zakładaniu olbrzymiej fabryki metalurgicznej, która ma dawać krajowi rocznie milion dwieście tysięcy ton surówki żelaza. W tym miejscu powieść przestaje już być epopeją kolektywizacji wsi, a przerasta w epikę całego Związku Rad, w epikę socjalizmu. Budowa fabryki metalurgicznej rozwinie się w budowę całego kombinatu metalurgicznego. Nie opodal Bujeraku powstanie nowe miasto — Czapajewsk. Kołchozy zaczną się łączyć w całe zespoły, powstaną wielkie kombinaty rolne — fabryki chleba. Wcześniej zahamuje jeszcze w pewnym momencie ten rozwój działalność kontrrewolucyjnej grupy bucharinowców, w której zdemaskuje się ostatecznie Żarkow.

Tyle można wyczytać na kartach powieści nazwanej przez nas w tytule „epopeją socjalizmu". Bo „Bruski" istotnie zasługują na to miano, ponieważ w temacie swym — jak widzieliśmy — wybiegają daleko poza artystycznie wąsko określony krąg zagadnień wiejskich.

Rewolucja socjalistyczna w jakiejkolwiek bądź dziedzinie gospodarki radzieckiej tym się charakteryzowała, że jej dynamika i rozmach wpływały na rozwój innych dziedzin życia, towarzyszyły, w sposób dający się wyraźnie zanotować, jego przemianom, przyspieszały je, były więc, ujmując rzecz najbardziej syntetycznie — elementami zgodnego rytmu najbardziej porywających dziejów urzeczywistniania socjalizmu. Gdyby Panfierow kreśląc przeszło dziesięcioletnie dzieje kołchozu „Bruski" ograniczył materiał epicki do ścisłego przedstawiania obrazu przemian wsi, do ukazywania tylko tych dni życia z biografii swoich bohaterów, które dokonują się na ściśle wyznaczonym terenie wiejskim, byłby się niezawodnie naraził na zarzut zwężania perspektyw rewolucji.

W „Bruskach" ludzie nie są skrępowani geograficznie, poruszają się swobodnie. Cyryl Żdarkin najpierw w mieście jako robotnik fabryczny przechodzi swój wzrost do poziomu świadomego działacza rewolucji. Później wraz z Bogdanowem stanie się duszą rosnącego wśród nagiego stepu miasta - kombinatu metalurgicznego. Tu przy budowie spotkamy wielu dawniej poznanych przez nas mieszkańców Szerokiego. Bohaterzy powieści przestają już być mieszkańcami jednej wsi, stają się naprawdę obywatelami wielkiego Kraju Rad. Cyryla zobaczymy nawet na Kremlu w rozmowie z Towarzyszem Stalinem. Brygadziści kołchozu „Bruski" Stiosza Ogniowa i Nikita Gurianow będą zasiadali w prezydium ogólnokrajowego zjazdu „mistrzów" rolnictwa w Moskwie.

Już dawno nazwano powieść kompozycją biografii ludzkich. Znajduje to pokrycie w tym, że czytelnik zwykle nie śledzi ciągu i wynikania samych zdarzeń, lecz interesują go przede wszystkim losy — perypetie bohaterów, co się ujawnia w stawianiu sobie najpierwszych pytań i „co dalej będzie z nim czy też z nią? — jak się zachowa? — co postanowi zrobić?". W „Bruskach" musielibyśmy stawiać takich pytań zbyt wiele, bo są one bezsprzecznie jedną z najbardziej zaludnionych powieści, jakie znamy. Zadecydowały o tym ramy tematu, dla wypełnienia których autor podjął się przeprowadzenia bohaterów poprzez wiele konfliktów rozgrywanych na różnych terenach i w wielu środowiskach zawsze kipiących życiem, nie izolowanych, nie zamkniętych.

Ale nie jest to tłum bez oblicza, nie ludzie jeden w drugiego podobni do siebie jak wysokopienne sosny w lesie. Zawsze to są ludzie starannie przez pisarza indywidualizowani i żywi. Nie znajdziemy też w tej powieści „stalowych serc". Gdyby były, czytelnik niezawodnie dopatrzyłby się w nich tylko nakręconych zręczną ręką mechanizmów. Bohaterowie Panfierowa są jak najbardziej ludzcy. Drogi rozwoju tych ludzi są skomplikowane na miarę ich trudnego życia i dziejów, które tworzą. Życie ich nie jest jedynie spełnieniem czynów politycznie ważnych i znaczących. Postępowanie człowieka wynika u Panfierowa również z tego, że bohater kocha, nienawidzi, zazdrości, dochowuje wierności albo też nie, przeżywa stany entuzjazmu, radości, bojaźni i rozpaczy.

5. KUŁACKA UTOPIA ANTYSOCJALISTYCZNA

Są w tej powieści rozdziały wielkie i małe. Są też niektóre prawie nienapisane, ledwie skreślone gdzieś na uboczu spraw i zdarzeń bardziej zasadniczych dla toku akcji powieściowej, ale jakże poszerzające niejednokrotnie naszą historyczną wiedzę o człowieku. Nie stanowią one w powieści wyodrębnionych przez autora i wyraźnie skomponowanych fragmentów. Zawierają się niekiedy w paru rzuconych przez narrację zdaniach, w krótkim, niedokształconym nawet obrazie. Do rozmiarów rozdziału urastają one dopiero w intencji krytyka w trakcie refleksji nad utworem.

Krótki, nierozwinięty epizod „podróży" Nikity Gurianowa do Murawii jest jak gdyby w wielkiej syntezie jedyną w swoim rodzaju utopią antysocjalistyczną, a zarazem jednym z najciekawszych, bo zaskakujących nas swą głębią historyczną, rozdziałów tej powieści. Odczytać w nim można konsekwencję i kierunek całowiekowej ewolucji myśli społecznej.

Średni posiadacz ziemski o mentalności kułaka w swoim subiektywnym odczuciu ocenia ustrój radziecki jako niedoskonały, bo dążący do zniesienia prywatnej własności środków produkcji. To każe mu potępić bez reszty nowe wdzierające się na wieś burzliwym potokiem życie. Pokonany w walce klasowej, widząc swoją bezsiłę wobec niedających się odwrócić wydarzeń, w rozgoryczeniu ostatecznym porzuca rodzinne strony i udaje się w niewiadome, byle dalej od kraju, gdzie zaprowadzają kołchozy. Gna go przed siebie święta wiara w burżuazyjną sprawiedliwość na ziemi i żądza posiadania. Ale, gdziekolwiek się obrócił Nikita, wszędzie chłopstwo rusza do kołchozów. Zjeździł kawał świata, a Murawii nie znalazł.

Wiek dziewiętnasty, zanim został nazwany wiekiem narodzin naukowego socjalizmu, był wcześniej w swej pierwszej połowie wiekiem socjalistycznych utopii. Historię tej połowy stulecia można wymierzać również całą litanią nazwisk pisarzy i myślicieli kolportujących w swych pismach myśli Babeufa, Mablyego, Saint-Simona, Fouriera.

Bohaterowie tych utopii, jak na przykład w „Podróży do Ikarii" Etenna Cabeta, puszczają się w świat na poszukiwania lepszych, doskonalszych form życia, na poszukiwania nowego świata, zorganizowanego na zasadach pełnej równości i wolności wszystkich ludzi.

W naszym wieku, w momencie kiedy utopie — płody marzenia wielu pokoleń postępowych myślicieli przestają być utopiami i nabierają kształtów życia, zrodził się w głowie obywatela starego świata obraz chimerycznej Murawii, gdzie czas wstrzymał swój bieg, aby pozwolić działać ewangelii wolnej konkurencji i posiadania włók. Agresywność kułacka w obliczu całkowiej klęski przemieniła się w bezdziejową chimerę.

Gdyby w całej historii Gurianowa pozostała w powieści tylko jego podróż do mitycznej Murawii, klasowość tej postaci i jej życiowe ideały przed momentem wewnętrznego przełomu byłyby i tak świetnie udokumentowane tym jednym epizodem. Czytając parokrotnie „Bruski" i podziwiając za każdym razem bez fałszywego uniesienia mistrzostwo Panfierowa w wiązaniu fabuły, prowadzeniu akcji, wplataniu postaci w tok zdarzeń, a przede wszystkim nienaciąganą psychologię zachowania się każdej z wielkiej galerii postaci, kiedy dochodziliśmy do epizodu, w którym Nikita Gurianow wyrusza na poszukiwania nowej ziemi obiecanej, kraju, gdzie nie ma kolektywizacji, nie mogłem się powstrzymać przed głośnym wymówieniem na własny użytek tych słów: „Bruski" są dziełem znakomitego pisarza". W spotkaniu z tym kapitalnie odrestaurowanym na kułacką modłę mitem kraju wielkiej szczęśliwości nawet najbardziej powściągliwy krytyk czy czytelnik nie ukryje swego podziwu i pełnej satysfakcji.

6. W KONSTRUKCJI PRZEGLĄDA SIĘ HISTORIA

Redaktorzy pism wiedzą doskonale, co znaczy klejenie makiety. Jest to operacja mająca na celu najtrafniejszy, najbardziej poprawny ze względu na ogólną „koncepcję numeru" układ materiału. Jest to niejako „misterium" redakcyjne, o którym nie zawsze może wie zwykły czytelnik pisma. Natomiast i bez tego wie on bezbłędnie, że o atrakcyjności numeru decyduje najczęściej sam gatunek materiału, nie zaś jego mniej lub bardziej trafne rozłożenie w piśmie. I tą swoją wiedzą naiwną panuje niekiedy nad niejednym z redaktorów sprzysiężonych z magią samej koncepcji.

Kiedy pozwalaliśmy sobie na głębszą refleksję nad poniektórą z wydanych u nas książek, zawsze atakowała natrętnie naszą świadomość analogia z gazetową makietą. Wszystko poprawnie umieszczone, dobrze odważone, wymierzone—jednym słowem makieta powieściowa. Tylko że ta zbliżająca się do doskonałości organizacja materiału powieściowego stanowiła często zarazem o martwocie książki.

Jeżeli notujemy to przy okazji omawiania „Brusków" Panfierowa, to jedynie po to, aby wylegitymować się pochodzeniem tego terminu, którym pragniemy się dalej posłużyć. Otóż „Bruski" nie mają w sobie nic z makietowości, z klejenia materiału w porządku z góry ustalonego schematu. Przy lekturze tych prawie tysiąca trzystu stron nie odczuwa się ani razu przemocy autora nad materiałem, wtłaczania go w system powziętych uprzednio założeń, tak dyskretnie kryje Panfierow swoje władztwo nad życiem postaci powieściowych, ich zachowaniem, myślami, pragnieniami i uczuciami. To maksymalne usamodzielnienie bohaterów w toku dokonujących się zdarzeń o rozmiarach małych, wielkich i największych tworzy tak sugestywną aurę prawdy życiowej, że czytając „Bruski" wierzymy we wszystkim książce i pisarzowi.

„Bruski" są dalekie od ideału makietowości i w tym, że mają pewne kompozycyjne usterki. Ale cóż z tego, że przy precyzyjnej analizie planu kompozycyjnego dostrzeżemy, iż pisarz wprowadza postać malarza Arnoldowa, który przybywa do kołchozu „Bruski" w poszukiwaniu „tematu naszych dni", dopiero w połowie ostatniego tomu, kiedy akcja powieści mogłaby się skończyć z powodzeniem i bez udziału Arnoldowa. Cóż z takiego zarzutu, którego wcale nie formułujemy, jeśli i te partie powieści są napisane dobrze. „Plan kompozycyjny" wydaje się być niekiedy terminem powołanym przez krytyków przede wszystkim po to, aby nie zabrakło im ofiar literackich. Cóż z tego, że pod adresem Lwa Tołstoja jako autora „Wojny i pokoju" wypisano setki arkuszy papieru i morze atramentu z utyskiwaniami na kompozycyjne niedobory. Wielka epopeja narodu rosyjskiego pozostaje do dzisiaj arcydziełem wzorowym.

Czas, w którym się dokonują wypadki przedstawiane w powieści — to jedenaście lat, w których historycy notują całkowite przejście wsi radzieckiej na nowy, kolektywny system gospodarowania — to lata szybkiej mechanizacji i rozwoju rolnictwa, to lata wielkich sukcesów rekonstrukcji i rozbudowy wszystkich podstawowych gałęzi przemysłu, ujętych genialnym harmonogramem pierwszych stalinowskich pięcioratek — to wreszcie lata rozbrojenia i likwidacji dywersji ideowej, prowadzonej wśród robotników i chłopów, wśród pracowników aparatu władzy radzieckiej i w szeregach partii przez antystalinowski, antybolszewicki blok trockistowsko - bucharinowsko - zinowjewowski.

W ten sposób zakreślone horyzonty czasowe pozwoliły pisarzowi na swobodne prowadzenie akcji bez widomego w jej biegu pośpiechu, pozwoliły na zenitalne dojrzenie ludzi i rozegranie konfliktów bez ich stężania do granic nieprawdopodobieństwa.

Taka rozpiętość czasu akcji powieściowej nakładała na pisarza-realistę, przedstawiającego rzeczywistość w jej dialektycznym rozwoju, obowiązek odnotowania rozwoju ludzi aż do punktów szczytowych, w których prezentują się nam już jako ludzie o nowym socjalistycznym obliczu duchowym, o nowej wykrystalizowanej moralności. Stąd też musiały płynąć konsekwencje dla samych sposobów ukazywania spraw ludzkich w okresie coraz wyraźniej socjalistycznym, przedstawianym w powieści już w trzecim, a przede wszystkim w czwartym tomie. Nie będzie to żadnym wymysłem, kiedy powiemy, że „Bruski" są chyba jedynym w swoim rodzaju dziełem, w którym zwycięstwo socjalizmu przegląda nawet poprzez samą konstrukcję powieściową. Daje się ono dostrzec w zmienionym typie konfliktów, przeniesionych już teraz prawie wyłącznie w sferę psychiki bohaterów — poza antagonistyczne, klasowe przeciwieństwa. W strukturze dramatycznej utworu zaznacza się to również w zwolnionym jak gdyby biegu akcji, powieść zaczyna wzbierać rozważaniami bohaterów; dramatyczność akcji traci na sile po scenach przedstawiających kulminacyjny punkt walki sił antagonistycznych (zbrojne powstanie kułackie w Połdomasowie).

Wszystko to można by w nieuwadze podjąć jako jeszcze jedną ze skaz, jako wyraźne załamanie w sposobie komponowania obrazu. Byłaby to niewątpliwie rażąca pomyłka. To, z czego moglibyśmy ukuć zarzut, świadczy wielce na korzyść czujności realistycznej Panfierowa.

Ludzie żyjący na kartach „Brusków" przeszli, od chwili kiedy ich poznaliśmy w Szerokim Bujeraku i na Bruskach, dziesięcioletnią szkołę socjalistycznego wychowania. W ostatnim tomie Cyryl Żdarkin, Stiosza Ogniowa, Jepicha Czancew a przede wszystkim Nikita Gurianow to zupełnie nowi, odmienni ludzie, obcy i dalecy tamtym, dawniejszym swoim „osobowościom". To ludzie, których myśli i świadomie kierowane postępowanie wynikają z przyjęcia nowych, socjalistycznych zasad etycznych. Nie są oni oczywiście wolni od wad i ułomności ludzkich. Często też ciążą na nich relikty dawnego myślenia, stąd ich postępowanie w wielu jeszcze wypadkach pozostaje w sprzeczności z socjalistycznymi zadaniami moralności. Przecież „bunt małżeński" Stioszyna, który obserwujemy w ostatnim tomie, to zwrócenie się przeciw fałszywym, po nowemu nieprzemyślanym poglądom Cyryla na sprawę pożycia małżeńskiego i rodziny. Cyryl poprzez bolesne doświadczenia osobiste dochodzi wreszcie do rozstrzygnięcia sprawy, nad którą się dotąd niewiele zastanawiał, że socjalizm — to również pełne wyzwolenie kobiety z labiryntu mieszczańskich przesądów przeznaczających ją na „muzę domową" i skazujących ją na potulny przedmiot męskich uciech i rolę „dodatku do pościeli". Istotne konflikty tych nowych ludzi sprowadzają się obecnie do świadomego wysiłku przezwyciężania, wykorzeniania tamtych ułomności drogą krytyki i samokrytyki, tzn. wysiłku poznania i zrozumienia samych siebie.

7. „BRUSKI" POMAGAŁY PRZY KOLEKTYWIZACJI

„Bruski" nie w jednym miejscu skłaniają do refleksji (cóż na to poradzić, że na ogół negatywnych) na temat naszej powieści. Prowokują do tego, jak żadne inne dzieło, ponieważ mogą być wzorem literatury doskonałej nie tylko przez to, że odnajdziemy w nich poprawną interpretację praw rozwoju rzeczywistości. Są przykładem literatury doskonałej ze względu na sposób obrazowania tej rzeczywistości, są jak najdalsze od prymitywu, szkicowości i od biegu na łeb, na szyję, byle szybciej rozwiązać zadany sobie temat, są dalekie od gorączkowego zdążania ku końcowi, które powoduje upraszczanie sytuacji i konfliktów, a przeżycia ludzkie redukuje często do przeżyć jednego określonego typu.

Jedną z najsłabszych stron naszej literatury widzę w bardzo słabej znajomości materiału, którym ona operuje, w niedostatecznej znajomości życia i tego środowiska, skąd czerpie tematykę oraz swe natchnienie twórcze.

Na czym polega siła „Brusków" poza jej znakomitymi często literackimi wartościami? Na tym, że Panfierow przedstawia życie wsi od wewnątrz, ze stanowiska jego współuczestniczenia, nie zaś z pozycji mniej lub bardziej przygodnego obserwatora (warto zauważyć, że w technice powieści odnajduje to swój wyraz również w unikaniu odautorskiego komentarza). Pisarz zna doskonale swych bohaterów, wie co myślą i co czują, zna doskonale swego Cyryla Żdarkina, zna świetnie Stiepana Ogniowa, podobnie Płakuszczewa czy Żarkowa. Przechodził i przeżył wraz z nimi wszystkie ich niepowodzenia, wahania, załamania, wzloty i upadki, i właśnie dlatego umie im dać w powieści żywot pełny i niepodrobiony.

Tu jest miejsce na kilka informacyj typu biograficznego. Fiodor Panfierow jest dzieckiem wsi, od dziecka znał wieś, jej życie nędzne i ponure, drapieżne i bardzo ludzkie, od dziecka znał wszystkie myśli i uczucia chłopa nadwołżańskiego, tego kochającego jak nikt ziemię, której prawie nie posiadał i tego, któremu ziemia sama rodziła bogactwa. Po rewolucji Panfierow pracował przez wiele lat na wsi, z początku jako agitator partyjny, potem przeszedł na robotę do Czeki, wreszcie został redaktorem gazety wiejskiej, pracował jako sekretarz powiatowego komitetu partii i jako członek prezydium komitetu obwodowego Komsomołu.

Na tej podstawie możemy stwierdzić zdecydowanie, że wspaniała twórczość pisarza zrodziła się z zespolenia wielkiego talentu z olbrzymim doświadczeniem życiowym i społecznym. Twórczość powstała z takiego doświadczenia będzie zawsze wielka i prawdziwa. Literatura radziecka dostarcza nam wiele materiału dla przeprowadzenia dowo-

(Dokończenie na str. 11-ej)

WAŻNY GŁOS W DYSKUSJI O REALIZMIE SOCJALISTYCZNYM

W dniu 11 b. m. w Domu Literatury odbyło się połączone zebranie wszystkich sekcji twórczych ZLP z referatem przebywającego w Polsce w związku z obchodem rocznicy Gogola wybitnego historyka i teoretyka literatury, profesora Akademii Nauk Społecznych w Moskwie, *Aleksandra Miasnikowa*. Na zebraniu była obecna i zabierała głos w dyskusji po referacie bawiąca wraz z prof. Miasnikowem znana powieściopisarka radziecka, laureatka Nagrody Stalinowskiej, *Anna Karawajewa*.

Referat prof. Miasnikowa pt. „Niektóre zagadnienia realizmu socjalistycznego był niezmiernie ważnym wydarzeniem w życiu ZLP, poruszył wiele istotnych momentów, wiążących się z przebiegiem toczonych u nas ostatnio dyskusji na temat rozwoju realizmu socjalistycznego, jego stosunku do realizmu krytycznego, typu konfliktów występujących w nowej literaturze, zagadnienia pozytywnego bohatera oraz walki o mistrzostwo artystyczne w nowej twórczości socjalistycznej.

Prof. Miasnikow określił jako wysoce niesłuszne poglądy tych krytyków i teoretyków, którzy, przeciwstawiając realizm socjalistyczny realizmowi krytycznemu, głosili tezę o całkowitej nieprzydatności tego ostatniego dla literatury socjalistycznej. Spotykamy się niekiedy ze zwulgaryzowanym pojmowaniem różnicy między realizmem krytycznym a socjalistycznym, sprowadzającej się według owego fałszywego mniemania do tego, że realizm krytyczny — krytykuje rzeczywistość, a realizm socjalistyczny pozbawiony jest momentu krytyki. W rzeczywistości z krytyką poszczególnych stron życia spotykamy się zarówno w realizmie krytycznym jak socjalistycznym, odmienna jest tylko w jednym i drugim wypadku jej funkcja. Krytyka rzeczywistości w realizmie krytycznym służy zwalczaniu istniejącego, starego ustroju, podczas gdy krytyka w realizmie socjalistycznym służy budowie, wzmocnieniu, utwierdzeniu ustroju nowego. Podobnie jak błędnym byłoby mniemanie, że literatura realizmu socjalistycznego pozbawiona jest elementu krytyki, tak niesłuszna jest również teza o tym, że realizm krytyczny ogranicza się do krytyki, że z reguły nie występuje w nim np. bohater pozytywny. Przeczą temu takie postacie jak Czacki w „Gorie ot uma".

W realizmie krytycznym występuje — zdaniem prof. Miasnikowa — określony ideał postępowania. Często, na przykład w twórczości Puszkina, którego prof. Miasnikow uważa również za przedstawiciela realizmu krytycznego, wyrażony on jest przez liryczne „ja" poety. Można w związku z tym — jeśli chodzi o poezję — mówić z powodzeniem o lirycznym bohaterze pozytywnym, którym jest w tym wypadku sam autor Oniegina.

Cechą każdej literatury realistycznej jest konflikt, konflikt rzeczywisty między tym, do czego się dąży, a tym, co się zwalcza. Literatura realizmu socjalistycznego nie może unikać rzeczywistych, życiowych konfliktów. Znamiennym błędem niektórych utworów, jakie pojawiły się w Związku Radzieckim w latach ostatnich, było fałszywe mniemanie o rzekomym zaniknięciu konfliktów między dobrym a złym w radzieckiej rzeczywistości i zajmowanie się pozornie jedynymi konfliktami między *dobrym* a *lepszym*. Odbiło się to — zdaniem prof. Miasnikowa — m. in. na tak najsilniej zależnym od wydobycia istotnych konfliktów gatunku literackim, jak dramat, wyraziło się w zmniejszonej — w ciągu ostatniego roku — liczbie wybitnych osiągnięć dramaturgii radzieckiej. Na błąd ten zwróciła uwagę radziecka krytyka, co niewątpliwie — zdaniem prof. Miasnikowa — stanowi zapowiedź pomyślnych zmian w tej dziedzinie twórczości socjalistycznej.

Ucieczką od rzeczywistych konfliktów w literaturze realizmu socjalistycznego byłoby też mechaniczne zwężanie ich do zakresu tzw. zagadnień produkcyjnych. Zadaniem literatury realizmu socjalistycznego jest ukazanie pełnego człowieka we wszystkich przejawach jego życia, w pracy i poza nią, w życiu codziennym, osobistym. Oddzielanie tych rzeczy od siebie daje najzupełniej fałszywy, jednostronny obraz rzeczywistości, z którym zdecydowanie walczy się dziś w nowej radzieckiej literaturze.

Jednym z najważniejszych problemów, dyskutowanym dziś wśród pisarzy Związku Radzieckiego, jest problem walki o jak najwyższy poziom artystycznego mistrzostwa w dziele literackim. Zagadnień formy artystycznej w utworze nie można oddzielać od zagadnień treści, gdyż są one związane w sposób nierozłączny. Prof. Miasnikow powołał się tu — jako na jedno z najtrafniejszych ujęć tego zagadnienia — na wypowiedź Lwa Tołstoja, zawartą w dziele „Czto takoje isskustwo". Istotą sztuki jest — według Tołstoja — po pierwsze: odkrywanie prawd nowych, jeszcze przez nikogo nie odkrytych, ale wszystkim potrzebnych, dla wszystkich interesujących. Cel ten osiąga artysta wtedy, kiedy w twórczości swej potrafi dać obraz swojego czasu. Po drugie — artysta winien opanować swoje rzemiosło w sposób taki, aby tworząc nie musiał myśleć o problemach rzemiosła, tak jak człowiek, który chodzi, nie rozmyśla o prawach fizyki, które pozwalają mu utrzymać równowagę. Po trzecie — artysta pisząc musi nie tylko wyrażać sam siebie, ale znaleźć krąg ludzi współprzeżywających jego dzieło, wyjść z kręgu zagadnień indywidualnych, a służyć określonym potrzebom społecznym. Te trzy formuły, określające *co, jak* i *po co* tworzy artysta, są — zdaniem prof. Miasnikowa — najlepszym ujęciem zadań pisarza w zakresie rzemiosła artystycznego. Sztuka jest zaprzeczeniem nudy, musi być interesująca, atrakcyjna, musi na ludzi oddziaływać, jedną z najistotniejszych jej funkcji jest to, co nazwać byśmy mogli „zaraźliwością sztuki".

Podjęcie dyskusji na temat zagadnień formy artystycznej w Związku Radzieckim nie stanowi bynajmniej nawrotu do problemów, jakie stawiali swego czasu przed literaturą formaliści. Ich wywody w tym rodzaju jak określenie „Anny Kareniny" jako mieszaniny wpływów sentymentalnego romansu francuskiego z angielskim i temu podobne przykłady bezwartościowej „wpływologii" nie są do niczego przydatne. Jakiekolwiek twierdzenia formalistów o nawrocie krytyki na ich pozycje są z gruntu fałszywe i śmieszne. Nie od formalistów będziemy uczyć się zasad artystycznego mistrzostwa — stwierdził prof. Miasnikow — lecz od przedstawicieli naszej wielkiej literatury i wielkiej postępowej krytyki: od Puszkina, Gogola, Tołstoja i Gorkiego, od Bielińskiego, Czernyszewskiego i Dobrolubowa.

Po referacie prof. Miasnikowa wywiązała się żywa dyskusja, w której udział wzięła znaczna liczba pisarzy. Zabrała też w niej głos Anna Karawajewa, która podkreślając, że przemawia jako pisarz praktyk, a nie teoretyk literatury, podzieliła się z zebranymi swymi wrażeniami z pobytu w Polsce. Zdaniem Anny Karawajewej Polska stanowi w tej chwili pasjonujący dla pisarza obraz kraju, w którym współistnieją jeszcze obok siebie, ścierają się ze sobą dwa światy — dawny, obrócony ku przeszłości, znajdujący oparcie w jej reliktach, oraz nowy, pełen zwycięskiej wiary w realizację lepszego jutra — socjalizmu. Symbolem tych dwóch światów było dla pisarki radzieckiej m. in. przeciwstawienie klimatu klerykalnego Krakowa i budującej się Nowej Huty. Literatura polska ma przed sobą piękne zadanie pokazania w całej pełni artystycznej komplikacji — dwóch światów, dawnego i nowego, oraz ich walki, która w Polsce ma jeszcze oblicze walki klasowej. Zadaniem literatury jest nie zacieranie konfliktów, ale ich wydobycie i przedstawienie środkami artystycznymi. Sprawa tematu i jego ujęcia, treści i formy — nie da się od siebie w literaturze oddzielić, jak nie da się oddzielić „spraw duszy" od „spraw ciała", kiedy się chce dać pełny obraz człowieka.

W wypowiedziach dyskusyjnych naszych pisarzy podkreślono zgodnie, że zagadnienia poruszone w referacie prof. Miasnikowa wiążą się najściślej z najaktualniejszymi problemami, dyskutowanymi w chwili obecnej w naszej literaturze i krytyce. W związku z zagadnieniem realizmu krytycznego poruszono problem właściwego stosunku do twórczości pisarzy naszych z okresu dwudziestolecia międzywojennego, w którym kierunek ten miał swoich wybitnych przedstawicieli, jak M. Dąbrowska, Z. Nałkowska i in. Podkreślano ścisły związek problemów nurtujących naszą współczesność literacką z problemami, które zostały już w sposób twórczy rozwiązane w ZSRR, i akcentowano konieczność głębszego, bardziej twórczego korzystania z doświadczeń radzieckich dyskusji o literaturze, co pozwoli naszym pisarzom uniknąć wielu niepotrzebnych pomyłek ideowych i porażek artystycznych.

W dyskusji bynajmniej nie wyczerpano szerokiego kręgu zagadnień poruszonych w niezwykle ciekawym, zapładniającym myślowo referacie prof. Miasnikowa. Problemy realizmu socjalistycznego nie dadzą się — jak stwierdził referent w podsumowaniu, odpowiadając na wyłonione w toku dyskusji pytania — zamknąć w szeregu gotowych recept. Przed naszymi pisarzami i naszą krytyką stoi poważne zadanie dalszej dyskusji oraz samodzielnego przemyślenia tych problemów w powiązaniu z naszą praktyką twórczą.

rm.

JERZY PUTRAMENT

Z nazwiskami śmielej, z utworami ostrożniej

Mówi się u nas i pisze o potrzebie współpracy literata z prasą. Myślę, że zasady tej nie trzeba ani bronić, ani rozwijać. Znakomita większość naszych literatów uważa ją za całkiem słuszną. Natomiast należałoby po pierwsze rozważyć formy tej współpracy, po drugie zastanowić się nad przyczynami, ktore ją utrudniają.

Zapewne są tacy literaci, którym etatowa praca w redakcji codziennego pisma pomaga w rozwoju politycznym i nawet artystycznym. Historia naszej literatury — że poprzestanę na Prusie — obfituje w przykłady dochodzenia do literatury właśnie od pracy gazetowej. I dzisiaj nie trudno byłoby wymienić pisarzy, którzy zaczynali swą działalność w redakcji. Nie należy jednak w naszych warunkach wyciągać z tego daleko idących wniosków. Wzajemna zależność tych dwóch zawodów jest dosyć jednokierunkowa. Wielu dziennikarzy może i powinno próbować swych sił w beletrystyce, dla ukształtowanego jednak pisarza przejście na pracę etatową w redakcji pisma codziennego jest niebezpieczne. Pośpiech, typowy dla takiej pracy i przewaga czynności administracyjnych, nie sprzyjają na ogół tworzeniu dzieł literackich.

Trzy są płaszczyzny współpracy literata z gazetą. Sam literat często widzi gazetę jako dodatkowe miejsce dla publikowania swojej produkcji literackiej, czasem takiej, której gdzie indziej umieścić nie potrafi. W miastach, gdzie istnieją oddziały Związku Literatów, gazety miejscowe wydają często wyodrębnione dodatki literackie. Trudno wydać o nich sąd uogólniony, Zarząd Główny ZLP nie zdołał jeszcze zorganizować stałej i planowej oceny działalności terenowych ośrodków literackich. Tu i ówdzie jednak literaci, naciskani o współpracę z prasą, odpowiadają żądaniem takich autonomicznych dodatków literackich i skłonni są uważać, że na tym ich rola się kończy.

Oczywiście, nic błędniejszego. Jednokolumnowy tygodniowy dodatek do gazety może być czasem dla pisma uciążliwym serwitutem — jeśli środowisko literackie w danym mieście jest słabe, albo nie umie w prowadzeniu takiego dodatku myśleć przede wszystkim o czytelniku gazety, a nie o bywalcu lokalnych literackich kawiarń Rozmiary dodatku utrudniają publikowanie tego, co dla masowego czytelnika jest najcenniejsze — dobrej prozy beletrystycznej. Uznając w zasadzie istnienie dodatków za rzecz pożyteczną — w żadnym wypadku nie możemy na nich poprzestać.

Druga płaszczyzna — to wykorzystanie literatów dla rozwiązywania zadań dziennikarskich. Czasem używa się materiału literackiego dla podkreślenia odświętności danego tematu czy numeru. Wiersze okolicznościowe podpierają niejako artykuły publicystyczne, fragmenty prozy nadają numerowi „wagę". Inną, ważniejszą odmianą tej formy współpracy jest wysyłanie literatów na reportaże. Wreszcie niesposób pominąć jeszcze jednej funkcji, ostatnio dość szeroko powierzanej literatom w Warszawie: odpowiadania na fakty z korespondencji czytelniczej w formie satyrycznych felietonów.

Wykorzystanie literata jako dziennikarza o specjalnej kwalifikacji i do poruczeń specjalnych jest najważniejszą — moim zdaniem — formą współpracy jego z gazetą. Ale nie wolno nam zapominać o jeszcze jednej.

Literat w prasie może i powinien głos zabierać nie tylko jako literat czy dziennikarz. Wzrost powagi zawodu literackiego w Polsce Ludowej sprawia, że staje się ważny jego głos także jako obywatela. Dlatego należy uznać za szczęśliwe i słuszne, że w sprawach obchodzących cały nasz naród, w dyskusji konstytucyjnej, w sprawie remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, dziesięciolecia PPR, Planu Sześcioletniego, walki o pokój itp. zabierają głos w prasie codziennej nasi najwybitniejsi pisarze. Tego rodzaju praca publicystyczna jest najściślej związana z zawodem pisarskim w szlachetnym słowa tego znaczeniu. Jeśli chcemy mieć „rządy dusz", jeśli mamy stać się „inżynierami dusz ludzkich", musimy umieć głos zabierać we wszystkich palących sprawach dnia dzisiejszego. I taka praca nie przeszkadza nam w podstawowej naszej działalności— tworzeniu dzieł literackich. Na odwrót, przyśpiesza ona nasze dojrzewanie ideowe, bez czego nic trwałego jako literaci nie stworzymy.

Czy współpraca pisarza z prasą jest już dziś dostatecznie rozwinięta i harmonijna? Bezsprzecznie, na ogół uczyniono w tej dziedzinie poważne postępy. Możemy wymienić szereg gazet, zarówno centralnych, jak i wojewódzkich, które by w tym względzie można uznać za wzorowe. Jest jednak dosyć jeszcze zgrzytów i potknięć, które by warto było zanalizować.

Pewni redaktorzy gazet skłonni są uważać, że literaci lekceważą pracę dziennikarską, patrzą z góry na pisma codzienne, wykręcają się od zamówień albo dają „na odczepnego" artykuły i reportaże niedopracowane, niechlujne, byle jakie.

Zapewne, można znaleźć przykłady konkretne wszystkich takich błędów ze strony literatów.

Pewni literaci, na odwrót, zarzucają redakcjom gazet odrzucanie materiału literackiego bez dostatecznych powodów, wprowadzanie nieuzasadnionych zmian w tekście itd.

I takie wypadki z pewnością się zdarzają.

Wobec tego znajdują się tacy, którzy są zdania, że nie trzeba roztrząsać tych wzajemnych pretensyj, że obie strony są winne i że wystarczy zaapelować do dobrej woli jednych i drugich, by wszystko poszło jak należy.

Oczywiście jest to niesłuszne.

Zważywszy, że z jednej strony mamy do czynienia z tymi, którzy pracę winni organizować, a z drugiej z tymi, którzy swej pracy osobistej dostarczają — z góry możemy powiedzieć, że decydującym ogniwem tego zagadnienia są redakcje.

Bo nikt chyba nie zarzuci literatom polskim jako całości, że pracy pisma codziennego nie doceniają. Jeżeli są pojedynczy literaci, którzy cierpią na takie urojenie — można się bez nich obejść.

Podkreślając, że w całym szeregu pism codziennych współpraca z literatami układa się normalnie, chciałbym zanalizować dwa powody spotykanych najczęściej niedomagań w tej dziedzinie.

Po pierwsze — *nieznajomość lokalnego środowiska literackiego.*

Po drugie — *nierozumienie specyfiki oddziaływania utworu literackiego.*

Pierwszym obowiązkiem organizatora jest zapoznanie się jak najlepsze z tymi, których chce do współpracy wciągnąć. Tymczasem wydaje się, że poszczególni redaktorzy słyszeli zaledwie o jednym — dwóch tuzinach współczesnych literatów polskich, reszty zaś nie znają, co gorsza — znać nie chcą. Skutek tego jest oczywisty: te dwa tuziny są zasypywane zamówieniami, których lwią część muszą odrzucać, narażając się na złe humory prasowego mocarstwa.

A przecież w takiej np. Warszawie mamy ok. 400 członków Związku Literatów. Jeżeli przyjmiemy najbardziej niechętną i niesłuszną kalkulację, że trzy czwarte tej liczby do współpracy z gazetami się nie nadaje — pozostanie jeszcze setka takich, którzy by pracować mogli. Czy użalający się na literatów redaktorzy mogą uczciwie powiedzieć, że czynili starania, aby wyjść poza magię nazwisk „dwóch tuzinów" i sięgnąć do tej setki?

Można zrozumieć jeszcze, że gazety chcąc wypowiedzi na wielkie tematy polityczne — szukają ludzi „z nazwiskiem". Niestety, tę samą skłonność wykazują one i wtedy, gdy chodzi po prostu o stałą współpracę, o reportaże czy felietony.

Należy z całym naciskiem oświadczyć: *bez sięgnięcia do szerokiego aktywu literackiego stałej i skutecznej współpracy literatów z prasą nie będzie.*

Redakcje pism codziennych winny iść w tej sprawie na eksperymenty, ryzykować nawet jedno czy więcej niepowodzeń, szukać współpracowników wśród wszystkich literatów, a nie poprzestawać na laureatach nagród państwowych, jak to jest najczęściej teraz.

Nieznajomość literackiego środowiska przybiera czasem znamiona złośliwe i groźne. Znalazła się u nas pewna gazeta prowincjonalna, która umieściła artykuł o własnym środowisku literackim, zarzucając mu niebywałe błędy i opóźnienia. Artykuł składał się z zarzutów wyolbrzymionych lub po prostu nieprawdziwych. Okazuje się, że autor artykułu nie zadał sobie trudu, żeby porozmawiać z kimkolwiek z Zarządu Oddziału ZLP i całą swoją filipikę napisał „na oko".

Nierozumienie specyfiki oddziaływania utworu literackiego jest równie groźną słabością jak poprzednia. Żaden rozsądny literat nie będzie negował prawa redakcji do wysuwania zastrzeżeń politycznych czy innych do utworu literackiego, który ma być umieszczony w gazecie. Ale jest rzeczą słuszną, żeby, po pierwsze troskliwie zachowywać w utworze jego cechy literackie, po drugie, żeby z autorem uzgadniać niezbędne zmiany, po trzecie — wyjaśniać autorowi, dlaczego jego materiał zostaje odrzucony.

Najlepsze nasze gazety skrupulatnie tych zasad przestrzegają. Są jednak i takie, gdzie się roi od najbardziej elementarnych błędów.

Ustalmy więc, że specyficzność utworu literackiego polega na uogólnionym i konkretnym zarazem obrazie — czy to będzie pejzaż czy postać ludzka, czy konflikt, czy ludzkie uczucie, czy pewna prawda ideowa. Istotnym elementem prawdziwego dzieła literackiego jest pełna jedność tzw. treści i formy. W dobrym wierszu wyrzucenie jednego słowa burzy czasem cały utwór. Dzieło literackie, ideologicznie fałszywe, nie może budzić zachwytu swoją „piękną formą". I na odwrót, niechlujność formalna wypacza słuszność ideową utworu, a przynajmniej pozbawia go siły oddziaływania. To znaczy — pozbawia go sensu. Bo przecież utwory literackie winno się drukować nie dlatego, że „wypada" je dawać, tylko dlatego, że mają one silniejszy, szerszy i trwalszy zasięg niż zwykły artykuł czy reportaż dziennikarski.

Zdarzają się jednak u nas tacy, którzy potrafią utwór kastrować z jego cech literackich, myśląc, że ratują w ten sposób jego treść polityczną. Biedacy, łudzą się przy tym, że są marksistami.

Pozwolę sobie przytoczyć drobniutki przykład z własnej praktyki. Nadesłałem przed paru laty do pewnej redakcji pisma literackiego wiersz pt. „List do Józefa Stalina". Wiersz ten został zamieszczony z pewną poprawką.

Napisałem:

Ten wyklął nas i potępił
tamten bombą w y g r a ż a ł...

Nieznany „redaktor" „poprawił":

Ten wyklął nas i potępił
tamten bombą z a g r a ż a ł.

Zdawałoby się, głupstwo, zmienił tylko dwie litery. Ale „wygrażać" nosi w sobie pewien ładunek obrazowości. Wygraża się pięścią. Wsadzenie do tej pięści bomby — moim zdaniem — uzmysławia tę groźbę, czyni ją niejako widzialną. Natomiast — zagrażać — jest czasownikiem czysto pojęciowym i nie wywołuje żadnego konkretnego obrazu.

Zdawałoby się, głupstwo. Ale większa ilość takich głupstw powoduje osłabienie literackiego oddziaływania utworu. Zniechęca literatów do współpracy z gazetą. I, koniec końców, powoduje żale tego czy innego redaktora, że literaci „stawiają się".

W pewnym piśmie prowincjonalnym nieznajomość specyfiki literackiej doszła do paroksyzmu. Odrzucono tam pewną fraszkę, motywując to brakiem nazwiska i adresu opisanego w utworze kułaka. Powiecie: głupia anegdota. Cóż, kiedy przy mnie redakcji zarzut taki postawiono, i przy mnie przedstawicielka redakcji broniła (tak, broniła...) tej decyzji. Dodajmy, że cała sprawa wypłynęła przy okazji zarzutu ze strony gazety, że literaci nie chcą z nią współpracować.

Umówmy się więc:

Po pierwsze — trzeba śmielej eksperymentować, wciągać do współpracy z pismami nie dwa, ale osiem czy dziesięć tuzinów literatów, np. warszawskich.

Po drugie — trzeba ostrożnie obchodzić się z utworem literackim, sugerować autorowi poprawki, których sam winien dokonywać, uzgadniać z nimi skróty, wyjaśniać powody odrzucenia.

Innymi słowy: *z literatami śmielej, z utworami ostrożniej* Wprost przeciwnie niż to bywa u pewnych redaktorów, którzy boją się nowych nazwisk, za to chlastają utwory z góry na doł, z lewa na prawo.

Jeśli przyjmiemy te zasady, łatwo nam będzie poradzić z tymi literatami, którym woda sodowa uderzyła do głowy. W najgorszym razie, pozostawi się ich z tą wodą sam na sam.

Dwa słowa na temat redaktora Ludkiewicza. Zaatakował on Zarząd Główny ZLP, że przeciąża literatów pracą organizacyjną. Całkowicie się z nim zgadzam. Należałoby jednak przeciwstawić Zarządowi Głównemu jakiś program pozytywny. My, komuniści, jesteśmy ludzie konkretni. Zwolnić literatów z obowiązków społecznych w ZLP i co? Urzędników dać na ich miejsce? Albo może zredukować działalność społeczną Związku? Ograniczyć się tylko do nawoływań literaci piszcie to, literaci współpracujcie tam? Ale my z wami, towarzyszu Ludkiewicz, wiemy, że tylko gadaniem, nawet słusznym, nikogo się jeszcze nie wychowało. Ludzi przerabia praca.

Są u nas ludzie przeciążeni pracą społeczną, to prawda. Temu czy owemu należałoby jakoś ulżyć. Robimy to w granicach naszych możliwości. Ale od tego do rzucania mimochodem ogólnych zarzutów daleka droga.

Jerzy Putrament

WIKTORIA DEWITZ

POWIEŚĆ O NOWYM HARCERSTWIE

Janina Broniewska

„Ogniwo" jest pierwszą książką o nowym harcerstwie i dla nowego harcerstwa. Warto sobie uprzytomnić, kiedy książka ta powstawała. Półtora roku temu sytuacja w organizacji harcerskiej była jeszcze zupełnie inna niż obecnie. Trwała jeszcze wtedy wewnętrzna walka o treść polityczną wychowania w naszych drużynach. Młodzi wychowawcy ZMP-owcy nie mieli prawie żadnych doświadczeń, jak należy ją wprowadzać do pracy z dziećmi. Postawa samych dzieci wobec spraw, z którymi do nich przychodziliśmy, była pełna rezerwy, a często i oporów przynoszonych z domu, a czasem nawet ze szkoły.

Sprawą zasadniczej wagi było wówczas uczuciowe związanie dzieci ze wszystkim, czym żyje kraj, czym żyć miały one same w swojej organizacji. Zadanie było tym trudniejsze, że harcerstwo nie znajdowało wtedy jeszcze takiego oparcia w społeczeństwie, takiej opieki ze strony ogniw partyjnych w terenie, jakie znajduje dzisiaj. Nieufność, z jaką często jeszcze wówczas spotykała się w praktyce wyrastająca z dawnych obciążeń organizacja, utrudniała poważnie młodym wychowawcom związanie uczuciowe dzieci z pracą i walką klasy robotniczej.

W tym momencie dostarczenie dzieciom i wychowawcom ciekawej, pociągającej książki o nowym harcerstwie było palącą potrzebą. Wyczuła tę potrzebę autorka przystępując do pisania „Ogniwa".

Książka taka musiała być książką pionierską, torującą drogę n o w e m u. To „nowe" w pracy naszych drużyn było dopiero w zaczątkach, przebijało się tu i tam w pożytecznej pracy dzieci dla kraju, w kształtującej się postawie kolektywu, w dobrze poprowadzonej gawędzie. W książce — trzeba było ująć całość pracy harcerskiej, uchwycić jej najważniejsze wychowawcze założenia, i pokazać w sposób pociągający dla małego czytelnika i wskazujący równocześnie drogę młodym wychowawcom.

Zadanie to podjęła autorka w swojej powieści. Słusznie więc będzie, jeśli od tego zaczniemy i podkreślimy znaczenie, jakie książka ta miała dla organizacji przy rozwiązywaniu najtrudniejszych, najbardziej palących problemów, jakie mieliśmy na odcinku wychowania. Słusznie będzie, omawiając „Ogniwo" — zastanowić się, w jakiej mierze spełniło ono swoją rolę. Na czym polegała siła oddziaływania książki i jakie jej braki ujawniły się w zetknięciu z życiem.

W ostatnim półroczu zajęliśmy się zebraniem wypowiedzi dzieci o książce, organizując dyskusje na jej temat w zastępach i ogniwach. Specjalnie ciekawe były uwagi najmłodszego aktywu wychowawców — uczniów liceów pedagogicznych, szykujących się w tzw. „klasach harcerskich" do pracy w organizacji. 14—17-letnia młodzież ZMP-owska przeżywała jeszcze książkę bezpośrednio jako czytelnik, a równocześnie mogła już ją oceniać jako narzędzie i pomoc w pracy z dziećmi.

„Ogniwo" jest czytane z dużym zainteresowaniem przez chłopców i dziewczęta klas V, a przede wszystkim VI i VII, w pierwszym rzędzie przez harcerzy. Dzieci podkreślają z zapałem — i to wszystkie — jako wielką wartość książki, że opisuje ona życie harcerzy, że mówi jakby o nich samych.

Po przeczytaniu książki i przy jej omawianiu upominają się o dalszy ciąg dziejów bohatera, pytają, jak pracuje „Ogniwo" Pietruszki w szkole, chcą wiedzieć, jak rozwinęło się życie wiejskich harcerzy, organizowane przez Walka, o czym dowiadujemy się w końcowych fragmentach książki.

Konkretność tych obstalunków, zawarta w wypowiedziach dzieci w czasie kolonii letnich i w drużynach, w Warszawie, Opolu, Poznaniu, gdzie przeprowadzaliśmy dyskusje nad książką, świadczy o tym, że tematyka powieści została wybrana trafnie i odpowiada najbardziej żywotnym zainteresowaniom czytelników.

Co podoba się dzieciom w „Ogniwie"? Pociąga je w pierwszym rzędzie wątek akcji nie pozbawionej sensacji, związany z występującą w powieści bandą dywersantów. Autorce udało się od samego początku wywołać właściwy, pełen odrazy stosunek czytelnika do postaci malarza-szpiega i dywersantów. Dzieci śledzą z napięciem przebieg wydarzeń, całym sercem są z młodymi ORMO-wcami i przejawiają ciepły stosunek do postaci sekretarza partii, który występuje w powieści jako kierownik walki z wrogiem klasowym. Akcja tej walki jest w powieści dla dzieci najciekawsza.

Wielu czytelników mówi jednocześnie o tym, że najbardziej interesujący jest pierwszy rozdział „Ogniwa", że ten rozdział czyta się z zapartym tchem. Rozróżnienie dokonywane przez dzieci między pierwszym rozdziałem a dalszym ciągiem książki pod względem napięcia, zainteresowania i żywości bezpośredniego przeżywania akcji, ma swoje umotywowanie. W pierwszym rozdziale sensacyjny wątek najbardziej zrozumiale i bezpośrednio splata się z życiem „Ogniwa" i życiem samych dzieci, podczas gdy w dalszej części opis codziennej pracy harcerskiej i tok akcji osnutej na tle walki z bandą występują jak gdyby obok siebie, zazębiając się tylko w pewnych momentach. To decyduje o tym, że dalsze rozdziały książki są dla dzieci w stosunku do początku mniej pasjonujące.

Drugą ujawniającą się w wypowiedziach dzieci wartością książki jest żywość i wyrazistość opisywanych postaci. Ogólną sympatią czytelników cieszy się bohater — Pietruszka i mały Jasio. Dzieci mówią o postaciach z „Ogniwa" jako o dobrych znajomych, czy to jest Kazik-opiekun, czy sepleniący Jasio, Pietrek pociągający nosem, czy wreszcie sam Pietruszka z rozwichrzoną czupryną.

Przy rozmowach na ich temat w zespole pojawiają się krytyczne wypowiedzi, które świadczą o tym, jak postacie chłopców są bliskie czytelnikowi. W jednej z drużyn wywiązała się dyskusja, czy jest możliwe, żeby chłopiec zajmował się tak małymi dziećmi jak Kazik. Jedna z uczestniczek dyskusji z zapałem twierdziła, że możliwe, bo ona sama ma brata „zupełnie podobnego" do Kazika, który tak jak Kazik i szyje, i bawi się z rodzeństwem, i zajmuje się nim. Krytyka Pietruszki dotyczyła zachowania się bohatera, kiedy jest w posiadaniu tajemnicy i nie dzieli jej z resztą ogniwa. Dzieci mówią: „jak on mógł tak postępować. Wszystko robił razem, a tu nic nie powiedział." Taka ocena świadczy, że dzieci odczuwają to, co autorka chciała im pokazać: jedność i zwartość kierowanego przez Pietruszkę zespołu.

Z problemów psychologicznych, jakie autorka porusza, czytelnicy „Ogniwa" reagują bardzo żywo na sprawę Zbyszka.

Zagadnienie: jednostka i kolektyw, pokazane na przykładzie przemiany zachodzącej w tym chłopcu, jest tematem wysuwanym samorzutnie przez dzieci we wszystkich dyskusjach. W sposób bezpośredni nawiązują one do przykładów z własnego życia koleżeńskiego i z życia drużyny. Umyka natomiast ich uwadze zbyt subtelny problem ambicji osobistych i samokrytyki, pokazany przez autorkę w rozdziale o wyborach w ogniwie.

Przez cały czas, w momentach gdy występują poszczególne postacie, dzieciom odpowiada wyraźnie ton serdecznego humoru, jaki towarzyszy ich przedstawianiu. „Opisani są ładnie, zawsze tak wesoło" — pisała harcerka z klasy V. I ta ocena powtarza się bardzo często.

Na trzecim dopiero miejscu w naszej ocenie trzeba umieścić to, do czego autorka przywiązuje wielką wagę — opis przykładowej pracy harcerskiej w ogniwie. Przedstawiając życie ogniwa autorka pragnęła pomóc organizacji we właściwym ustawieniu pracy harcerskiej. Wypowiedzi dzieci na ten temat mają jednak charakter konwencjonalny: „Podoba mi się, że chłopcy walczą z kułakiem, że pomagają wsi, że opiekują się dziećmi". Harcerze często podkreślają, że chcieliby, żeby ich ogniwo też tak pracowało. Aktyw harcerski pisze: „To dobrze, że mamy taki przykład ogniwa Pietruszki, bo jest się na czym wzorować". Ogólny ton tych wypowiedzi świadczy jednak o tym, że obraz codziennej pracy ogniwa nie został przedstawiony dostatecznie wszechstronnie i pociągająco. Dużą rolę odgrywa istniejąca rozbieżność między ideałem, jakim jest ogniwo Pietruszki, a rzeczywistą sytuacją w drużynach, którą często jeszcze przeżywają nasze dzieci. Wyrażają one wątpliwość, czy takie ogniwo może być naprawdę, mówią, że takich chłopców jeszcze nie spotkały. To „wyidealizowanie" ogniwa Pietruszki podkreśla jeszcze mocniej aktyw ZMP-owców. Wydaje się, że osłabia to oddziaływanie wychowawcze książki, ponieważ w samym wewnętrznym życiu ogniwa, prócz sprawy Zbyszka i szybko rozwiązującego się problemu Kazika, dzieci nie znajdują odpowiednika licznych jeszcze własnych konfliktów i problemów psychologicznych.

Jak przyjmują młodzi czytelnicy obraz wsi, który został zarysowany przez autorkę w powieści? Trzeba powiedzieć, że nawet dzieciom wiejskim łączy się on raczej z tym, czego się uczą w szkole, niż z obserwacjami z życia. Problematykę walki klasowej na wsi, przedstawioną przez autorkę, dzieci chwytają w najbardziej prostym schemacie — w postaciach kułaka-wyzyskiwacza i Mikuliny-plotkarki. Reszta umyka uwadze czytelników. Obraz ogólny, jaki oddają wypowiedzi dzieci, jest całkowicie słuszny, jeżeli chodzi o ich sąd o politycznych i społecznych przemianach, jakie we wsi zachodzą, jest jednak jakby niepełny i stosunkowo mało żywy.

*

Reakcja dzieci na książkę stanowi podstawę oceny jej przydatności ze strony wychowawców. Sam fakt, że możemy dać czytelnikom do ręki ciekawą i bezwzględnie słuszną w nastroju powieść o harcerstwie, jest wielką pomocą w pracy.

I tu wrócić trzeba do tego, co powiedziane było na początku, że książka ta miała dla organizacji pionierskie znaczenie. Wątek „Bandy" tak żywo pochłaniający uwagę dzieci pozwolił skupić sympatię czytelników wokół partii młodych, wokół pięknie ustawionej postaci sekretarza i młodych ZMP-owców-bojowników postępu na wsi. Stanowi to poważną wartość książki, podobnie jak to, że przedstawione w powieści postacie dywersantów i kułaków wywołują wyraźnie negatywną ocenę czytelnika wobec ich postawy życiowej i działalności.

Przy podkreślaniu wartości wychowawczych, tkwiących w mocnym, wyraźnym zarysowaniu postaci wrogów klasowych, bardziej wyrobieni wychowawcy zwracają uwagę na pewne niebezpieczeństwo szablonowego ich ujęcia. Autorka wprowadziła dla ich przedstawienia wszystkie pomocnicze akcesoria: mamy przy postaci kułaka wyzyskiwanie dzieci i kradzież, i spekulację zbożem, i wreszcie przechowywanie broni i spółkę z bandą. Członkowie bandy z kolei noszą angielski strój i gubią niedopałki amerykańskich papierosów.

Słusznie chyba podkreślają wychowawcy, że w praktyce dzieci spotkają się z wrogiem klasowym w postaci mniej uchwytnej od strony zewnętrznych akcesoriów i trzeba by je na takie spotkanie lepiej przygotować.

„Ogniwo" opisuje życie dzieci miasta w nieznanym im dotąd środowisku wsi. Zagadnienie wspólnoty wsi i miasta bardzo sugestywnie pokazane zostało na przykładzie przyjaźni sierot wiejskich z ogniwem Pietruszki. Równocześnie jednak inne momenty zetknięcia ogniwa ze wsią są dość uproszczone i fragmentaryczne.

Przedstawione w książce trudności i przejawy wrogiej roboty, z jakimi stykają się dzieci w powieści, wydają się w stosunku do rzeczywistości nieco uproszczone. Proces samodzielnego „zdobycia wsi" przez ogniwo, bez udziału dorosłych, przy pomocy jedynie Walka, przechodzi zbyt gładko. Wywołuje to pewne poczucie rozbieżności między tym, z czym dzieci i wychowawcy spotykają się jeszcze naprawdę w swojej pracy. Wydaje się, że brak trochę w powieści wyraźnego tła całego życia wsi. Z obrazu tego widzimy jedynie fragmenty, jak np. wygląd chat, postać Mikuliny, Kaliniaka. O problemach wsi, o nurtujących ją zagadnieniach, o powstającej spółdzielni dowiadujemy się z wypowiedzi, często z refleksji na ten temat, np. Kaliniaka. Brak natomiast pokazania dzieciom w żywych obrazach, wydarzeniach, jak te przemiany zachodzą. Utrudnia to wychowawcom przedstawienie tych zagadnien dzieciom w sposób żywy i konkretny.

*

W trosce o ujęcie pełni zagadnień, którymi się powinny interesować nasze dzieci, autorka wprowadziła do powieści jako momenty uboczne szereg zagadnień polityczno-wychowawczych, nie mających bezpośredniego związku lub tylko bardzo luźny z tokiem akcji i przeżyciami dzieci.

Wspomnienia z II-ej Armii, zagadnienie Planu Sześcioletniego, osiągnięcia ZSRR, zdobycze nauki miczurinowskiej, a nawet sama sprawa sojuszu robotniczo-chłopskiego i przebudowy wsi — występują w „Ogniwie" w formie wtrąconych opowiadań, refleksji poszczególnych postaci albo dialogów, które nazwać by można „teoretycznymi".

To nagromadzenie zagadnień i teoretyczne często ich rozważanie obciąża powieść i według opinii wychowawców jest dla większości dzieci zbyt trudne.

Zauważyć się daje wyraźna różnica w reagowaniu dzieci na te fragmenty książki, jeżeli czytają je wspólnie z wychowawcą, jako część zbiórki harcerskiej; stosunek czytelników, którzy są pozostawieni sami sobie i muszą duży ładunek tych zagadnień teoretycznych samodzielnie sobie przyswoić, jest raczej negatywny.

Należałoby więc życzyć sobie w książce mniejszej ilości zagadnień występujących w organicznym powiązaniu z akcją, z przeżyciami bohaterów, i z miejscem i sytuacją, w której rozgrywają się wypadki skupiające uwagę dzieci.

Przejdźmy z kolei do zagadnień pedagogicznych i organizacyjnych. Książka, a w szczególności pierwszy jej rozdział, daje dobrą podstawę do zbliżenia dzieciom zagadnień kolektywu. Sprawa zespołu, jego współżycia i współpracy jest przedstawiona w sposób serdeczny, żywy i bliski czytelnikowi Kiedy próbowaliśmy w drużynach wyśledzić, jakie momenty z książki pomogły dzieciom w rozwiązaniu ich własnych trudności, co

zostało samorzutnie przeniesione do życia drużyn i zastępów, napotykaliśmy zawsze problem: jednostka a zespół. Dzieci często odwołują się do „Ogniwa". Mówią np., że Pietruszka to jakby polski Timur. To posługiwanie się przykładem powszechnie ulubionej książki radzieckiej świadczy, że założenie autorki pokazania życia zespołu było im potrzebne i zostało właściwie rozwinięte. Wysunięcie tego zagadnienia na plan pierwszy odpowiada również dążeniom i aktualnym trudnościom organizacji. Podkreślając to trzeba zaznaczyć: szkoda, że wątki psychologiczne, towarzyszące całości akcji w „Ogniwie", rozwijają się właściwie w dwóch tylko rozdziałach, przy sprawie Zbyszka i Kazika. Dalszy ciąg wewnętrznego życia ogniwa pozbawiony jest konfliktów i problemów, co czyni je mniej interesującym i realnym. Wychowawcy podkreślają, że słusznie byłoby, aby obok zainteresowania dzieci wątkiem walki z bandą, uwaga ich była w ciągu całej książki skupiona wokół tego, co dzieje się w samym ogniwie.

Porównując „Ogniwo" z książkami radzieckimi, pionierskimi i szkolnymi wychowawcy podkreślają, że tam cały czas akcja rozwija się w samym toku dziecięcych spraw, a jej atrakcyjność jest zawsze bezpośrednio związana z tym, co się dzieje z samymi dziećmi, co one przeżywają, czym się zajmują.

W naszej powieści wątek bandy nie ma równie ciekawego odpowiednika w tym, co dzieje się w samym ogniwie.

Ciekawe uwagi dzieci na temat przedstawienia całości życia ogniwa sygnalizują wychowawcy. Jedna z dziewczynek określiła to w ten sposób: „To są bardzo dobrzy harcerze, oni się wcale nie bawią, a tylko pracują". Wydaje się, że tkwi w tym pewne niebezpieczeństwo. Faktem jest, że dzieciom brak jest obok pracy — opisów zajęć sportowych, przygód, wycieczek i figli. Autorka wspomina wprawdzie o tym, że miały one miejsce na obozie, nie są jednak przedstawione równie konkretnie i wyraziście jak momenty związane z działaniem politycznym dzieci, z ich pracą dla wsi i kraju. Trzeba powiedzieć, że tak jak chyba w wielu miejscach, kiedy mówimy o brakach książki, są one odpowiednikami braków i błędów, jakie rzeczywiście istniały w robocie harcerskiej. Jest faktem, że w tym momencie, kiedy powstawało „Ogniwo", w naszej organizacji harcerskiej występował moment jednostronności w podejściu do zagadnień zabawy, swobodnej rozrywki dzieci, sprawa ta była przez młodych wychowawców niedoceniana i oderwana jakby od pracy polityczno-wychowawczej organizacji. W „Ogniwie" znalazł więc odbicie rzeczywisty stan rzeczy, jaki panował w organizacji. Trzeba powiedzieć, że ten obraz odbiega od tego, czego sobie życzymy i do czego dążymy wzorując się na organizacjach pionierów, gdzie zagadnienie pełnego odpowiedzenia wszystkim właściwym dzieciom potrzebom i zainteresowaniom odgrywa zasadniczą rolę. Brak tego w powieści osłabia znaczenie „Ogniwa" jako pomocy w popularyzowaniu harcerstwa wśród dzieci i prowadzeniu pracy ze słusznymi założeniami.

Bohaterem powieści nie jest właściwie Pietruszka, lecz bohater zbiorowy — ogniwo. Jest to konsekwentnie przeprowadzone w całej książce. Dużą jej wartość stanowi równocześnie fakt, że przy ustawianiu zespołu jako bohatera każda ze składowych postaci ma własną indywidualność, żyje własnym życiem, ma swój „styl".

Obok tego podstawowego waloru w ujęciu postaci wychowawcy podkreślają także braki. Dotyczą one przede wszystkim przerostu świadomości politycznej i refleksji w zachowaniu się i charakterach chłopców. Jeden z ZMP-owców określił to w ten sposób: „Postacie dzieci a rozum i wyrobienie dorosłych — i to wysokiej klasy". Jest szereg argumentów, które przemawiałyby za trafnością tej oceny. W „Ogniwie" nieliczne trudności i konflikty wychowawcze rozwiązują sami chłopcy bez udziału starszych, szybko i w sposób nie budzący żadnych zastrzeżeń. Naszych ZMP-owców, mających do czynienia z dziećmi, uderza często, jako trochę sztuczne i nierealne, wypowiadanie przez dzieci w toku całej książki moralnych sentencji, ogólnikowych stwierdzeń, jak słowa jednego chłopca: „Dziecię ty nierozumne... Czy ty wiesz, że za pracę dostają ludzie piękne ordery. Taki order nazywa się „Sztandar Pracy". Drugi przykład: „Co decyduje o robocie? Co jest najważniejsze?" — pyta przewodnik ogniwa. A dzieci odpowiadają: „Ogniwo. Ma się wiedzieć, że ogniwo. Jak w prawdziwym łańcuchu nawali ogniwo — rozerwie się całość. Tak samo w szkole, fabryce, no, w całym, prawdziwym państwie. Najmądrzejszy plan można zepsuć, jeśli ktoś tam w drobnym nawet nawali". Trzeci przykład, najbardziej jaskrawy, to wypowiedź małego Jasia z I klasy, który w pewnym momencie powiada: „Ja już wiem. Największy skarb to sam człowiek. Ma rozum i ręce, i wszystko może zrobić, i domy, i buty. I to, co mówił dziadek o pustyniach — też."

Specjalistą od takich wypowiedzi i operowaniu terminami jest Statystyk, postać, którą autorka przedstawia jako małego filozofa. Często wyręcza się nim tam, gdzie chce podkreślić sens jakiegoś szczegółu, który mógłby nie zostać uchwycony przez czytelnika.

Zarówno treść wypowiedzi, jak i język, jakim posługuje się chłopiec, wywołuje często wrażenie nienaturalnej i niesłusznej „przemądrzałości". Nie brak teoretycznych wypowiedzi nawet w ustach wiejskiego sieroty, Walka. Sam Pietruszka często jak dorosły wychowawca komentuje i ocenia podejście swoje do dzieci, rówieśników i wzajemny stosunek chłopców do siebie. Uważnego czytelnika zastanawia, że przy tak dużym ładunku tych właśnie refleksyjnych wypowiedzi postacie dzieci zachowują jednak żywość i wyrazistość. Jest to, jak podkreślają wszyscy wychowawcy, wynikiem umiejętności charakterystyki każdej z postaci i konsekwentnego utrzymania jej stylu w toku całej powieści.

Wychowawcy podkreślają, że obok rezonowania w dialogach obciążają książkę niepotrzebne wstawki o charakterze jakby wykładów. Jako przykład takiego wykładu wskazują rozmowę chłopców o Planie Sześcioletnim na zbiórce i niektóre rozmowy dzieci z Kaliniakiem. W samym tekście spotyka się w odniesieniu do tych rozmów termin „lekcja skończona". Tę właśnie lekcyjność niektórych fragmentów książki oceniają wychowawcy jako ciężką dla dzieci. W praktyce okazuje się, że te właśnie fragmenty czytają dzieci bez skupienia uwagi lub wręcz opuszczają, szukając wątku akcji i momentów, gdy dzieci występują jako działający członkowie swojego ogniwa. „Ci chłopcy na codzień są za bardzo ideologiczni — powiedział jeden z naszych przewodników drużyn — dobrze pracują, ale trochę za dużo o tym rozprawiają." Wielu wychowawców zadawało sobie pytanie — w jakim wieku są chłopcy z „Ogniwa" i do jakiej chodzą klasy. Wydawałoby się, że może i słuszne jest, aby ta rzecz była mocniej zaznaczona.

Na specjalną uwagę zasługuje ujęcie postaci dorosłych. Słusznie zależało autorce na tym, żeby podkreślić samodzielność i aktywność dzieci. Stanowi to w pewnym sensie o uroku „Ogniwa". Wydaje się jednak, że postulat ten został posunięty za daleko. Nie jest to zgodne z tym, co mogą istotnie zrobić dzieci same i odbiega od pedagogicznych założeń organizacji. W „Ogniwie" wychowawcy są właściwie postaciami marginesowymi. Nie widać ich razem we wspólnej codziennej pracy z dziećmi. Wychowawca jest często czujnym doradcą, ale nie kierownikiem i starszym towarzyszem, jakbysmy to chcieli widzieć w rzeczywistości. Trzeba powiedzieć, że ten brak odczuwają nie tyle dzieci, ile przede wszystkim nasi aktywiści ZMP-owcy. Mówią oni, że chcieliby znaleźć w książce swoje odbicie. Potrzebują pomocy w ustawieniu stosunku dzieci do młodych nauczycieli, do przewodników drużyn harcerskich. Rola ZMP-owców jako opiekunów i powierników dzieci nie została ostatecznie oddana w pojawiających się od czasu do czasu mało konkretnych postaciach „cieśli" i „mechanika" z POM-u. Zajęcia i praca zespołu ogniwa jest cały czas w centrum uwagi autorki. I znowu nasi kierownicy drużyn harcerskich mówią, że brak im w książce wyraźnego obrazu pracy całego zastępu i całej drużyny. Najmniejszy kolektyw, ogniwo, zostało zbyt wyizolowane z całości, o której autorka wspomina, że istnieje, że żyje obok. Ten moment, odbiegający od tego co organizacja sobie stawia i od tego co jest, podkreślają nasi wychowawcy.

Już po napisaniu książki przez autorkę zaszedł w harcerstwie zasadniczy przełom. Dopiero wtedy kiedy „Ogniwo" było już gotowe, organizacja nasza dojrzała do świadomości, że podstawowym politycznym zadaniem dzieci, obok ustawionej na drugim planie pracy społecznej — jest praca szkolna, nauka. W „Ogniwie" brak nam dzisiaj problematyki szkolnej, ustawienia dzieci w stosunku do tego, co miały za sobą, to znaczy do ich życia w klasie i do tego, co ich czeka, do roku szkolnego. O harcerzach w „Ogniwie", poza jednym momentem, nie mówi się jako o uczniach. Wydaje się, że w stosunku do tego co jest przedmiotem zadań w organizacji — zagadnienie jest zarysowane za słabo.

⁂

Tak mniej więcej przedstawia się całość szczegółowych uwag, które udało się zebrać o książce od dzieci i od wychowawców. Ponad wszystko, co tu było powiedziane krytycznego, ważny jest ogólny sąd o całości.

Książka trafia do dzieci mimo wszystkich braków, jakie zauważyliśmy, ma słuszną i sugestywnie oddziaływającą atmosferę polityczną, spełnia zadanie pomocnego narzędzia w pracy organizacji. Wydaje się, że trzeba powiedzieć wyraźnie: zadanie, którego podjęła się autorka, było niesłychanie trudne. W okresie wydania „Ogniwa" nie było właściwie jeszcze tego wyraźnego kształtu, rzeczywistego obrazu pracy harcerskiej, na którym można by się z całą pewnością oprzeć, który można by uchwycić. I dlatego wiele braków książki jest odbiciem tego niesłychanie szybko zachodzącego procesu przemian, które następowały już w tym momencie, kiedy „Ogniwo" było pisane. Książka, mówiąc ogólnie, spełniła swoją rolę — dotarła do dzieci tymi zagadnieniami, które chcielibyśmy postawić w naszej pracy harcerskiej; pomogła podnieść autorytet organizacji i pokazać najgłębszy sens treści tej pracy.

Potrzeby znane w tej dziedzinie nie zostały oczywiście zaspokojone. Najgorętszym życzeniem dzieci i wychowawców harcerskich jest, aby „Ogniwo" miało swój dalszy ciąg w nowych, odpowiadających nowemu etapowi pracy wychowawczej, „harcerskich" powieściach.

Wiktoria Dewitz

MARIAN RUTH-BUCZKOWSKI

POCZĄTEK

Od wiosny ojciec był bez czeladnika — wzięto go do wojska gdzieś w daleki świat, do Poznania. Sam nie mógł już podołać robieniu wozów, a od pół roku — to jest od czasu ostatniego wystąpienia proboszcza Poryckiego — nikt z miejscowych ludzi nie śmiał zamówić u ojca mebli, ba, nawet naprawek mu nie dawano.

Ojciec pokpiwał sobie z tego bojkotu: — „Będziemy musieli, Kasiu — mawiał żartem do matki — przenieść się do Grodów". Przygładzał przy tym wąsy i uśmiechał się dziwnie wesoło, i takim samym uśmiechem tylko z dziewczęcym zażenowaniem odpowiadała mu matka. Pewnie wspominali sobie w tym momencie pierwszy rok swojej miłości i ówczesną stanowczą opozycję babki przeciw przeniesieniu się do Leska.

Lecz sama hardość ducha nie mogła zagrodzić drogi biedzie. Ojciec ze zdwojoną energią rzucił się do pracy. O wczesnym świcie na długo przed śniadaniem wymykał się do warsztatu i robił, robił, robił: cudowne saneczki z toczonym oparciem, wspaniały zegar mający cały mechanizm z drzewa, własnego pomysłu siewnik do zboża, jakieś nadzwyczajne ule (wciąż jeszcze nosił się z zamiarem powtórnego założenia pasieki!) Dla mnie — ucznia gimnazjum— stworzył przepiękny tornister wyglądem swoim przypominający wspaniały tom średniowiecznego inkunabułu — rzeźbiony i zaopatrzony w wytłaczane klamry ze skóry. Wieczorami przy lampie, gdy matka cerowała nasze koszule, rysował na pakunkowym papierze modele: mebli, mechanizmów, narzędzi...

Ale ta gorączkowa krzątanina nie rozwiązywała zagadnienia grosza i strawy. Nawet gdyby nie bojkot, kto w tej zapadłej dziurze mógł kupić kunsztowne saneczki albo drewniany zegar? A siewnik? Budowę tej machiny przyjęto zjadliwymi kpinami. W szynku Jolesa ktoś powiedział, że „stary Małecki wymyślił taką małą młockarnię do zabijania pcheł w łóżku". Te i tym podobne drwiny dochodziły do nas z miasta i przypominały wciąż, że kapuściane łby czuspod czerwonego dachu". (Blacha na naszym domu była jedyna w całym miasteczku pokryta czerwoną farbą). Ojciec słuchał z uśmiechem, sam pokpiwał z siebie i — robił swoje. Z pasją tworzył rzeczy niesprzedażne. Nie tracił fantazji i nie poddawał się. Tylko raz — w ostatnich dniach października — gdy wróciłem z Grodów, bo nie było czym opłacić mojej stancji i czesnego w gimnazjum — zauważyłem na twarzy jego skurcz, skurcz taki, jakby go przeszył ostry ból fizyczny.

Było to wieczorem, w kuchni; siedział przy stole, przed nim stał talerz z kartoflami okraszonymi przysmażoną cebulą. Przed chwilą wszedłem, ucałowałem rękę matki i jego, położyłem ten swój tornister na ławce i milcząco stanąłem przy drzwiach. Powiedzieliśmy sobie wszystko bez pytań i odpowiedzi. I wtedy na jego twarzy ten ból. Nie zjadł już kartofli, siedział zamyślony, a matka poruszała się bezszelestnie, przygotowując dla mnie posiłek. Przed udaniem się na spoczynek

ożywił się nieco, uśmiechnął się nad moją głową i mocno ścisnął ramię, jakby mówił: nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Nazajutrz zamiast pójść do warsztatu wziął mnie na spacer. Był to jeden z dwóch moich spacerów z ojcem, najbardziej osobliwy.

Wyszliśmy w milczeniu. Na podwórku przystanął na moment, spojrzeniem „dotknął" okien warsztatu, jakby go naszło wahanie, ale zaraz opuścił głowę i stuknąwszy laską o but ruszył przez furtkę na wygon przed domem. Wzrokiem obleciał niebo, niby sprawdzając pogodę, zdecydowanym krokiem przemierzył gościniec i wspiął się na łan. Ogarnęła nas przestrzeń i pustka. Ściemniałe rżyska martwo szeleściły pod stopami. Zastanawiałem się dokąd możemy iść, a ojciec nie odzywał się ani słówkiem. Nie zauważyłem tego, że oddychał ciężko, inaczej niż w ubiegłych latach; uświadomiłem to sobie dopiero po kilku miesiącach. Wtedy dopiero, o ileż za późno, pojąłem cel spaceru ojca.

Wciąż milczący przeprowadził mnie przez cmentarz (na którym jak pamiętacie krył się przed austriackimi żandarmami), przez zagajnik leszczynowy za Wiślickim, poza zabudowaniami kościoła — do skał. Tam po kilku stopniach zeszliśmy do najszerszej z pieczar. W dole było strasznie chłodno, ze sklepienia, z niewidocznych szczelin, kroplami kapała woda. Ojciec przysiadł na wykutej w kamieniu ławie i zwiesiwszy ręce na lasce wodził oczyma po wilgotnych ścianach kamieniołomu. Twarz miał szarą, a oczy niewidome.

Stałem obok i nudziłem się. Tak, nudziłem się. A gdy w parę lat później odgadłem co musiał wówczas przeżywać ojciec, ogarnął mnie żal do siebie samego, żal i wyrzut sumienia. Oto miałem przy sobie człowieka cierpiącego w milczeniu, miałem ojca przekazującego testament swojej niedoli — a nie wyczułem tego! Nie domyśliłem się, nie drgnęło we mnie serce przeczuciem!

Ojciec żegnał się ze swoim życiem, pełnym trudu, walki, zrywów i poniżeń. W tym kamieniołomie pracował już jako siedmioletnie dziecko. Na ścianach były jeszcze rysy jego dłuta, obok śladów dłuta dziadka. Wysoko nad nami widoczny był wyraźny zarys koła, tak jakby ktoś przed laty usiłował wykuć kamień żarnowy. Było to istotnie dzieło chłopięcych rąk ojca. Znajdowało się wysoko, bo przez pięćdziesiąt lat kamieniarze, wybierając boczne ściany, wciskali się w spód, aż do tego poziomu, na którym teraz ojciec siedział. A to było dno, i kamieniołom stał już opuszczony, zdany na niełaskę wilgoci i powietrza.

I w milczeniu wróciliśmy. Ojciec przebrał się w roboczą bluzę i poszedł do warsztatu, ale tego dnia nie słyszało się stamtąd ni stukania młotka, ni szurgotu piłki, ni skrzypienia zaciskanej śruby. Matka krzątała się w kuchni, Ferdek był w szkole, malutki Elaszek w sadzie pasł krowę, a ja stałem pod domem i walczyłem z chęcią udania się do warsztatu. Ciągnęło mnie tam i — wstydziłem się. Krępowałem się swoich uczuć do ojca.

Ale dajmy temu pokój! Następnego dnia z rana ni stąd ni zowąd zjawił się na naszym podwórku ruski ksiądz z Glinian. Niemal wywalił drzwi do warsztatu i wrzasnął: gdzie majster? Ojciec siedział na pieńku, rozrabiał klej w blaszance; podniósł się z ociąganiem i z miną człowieka zaskoczonego czekał. Paroch podejrzliwymi oczkami obleciał wszystkie kąty, butami rozgarnął nawet heblowiny, wyjrzał przez wszystkie trzy okna, jakby się obawiał, że ktoś czy coś może być ukryte na zewnątrz. Uspokoiwszy się, czy raczej może nabrawszy odwagi, wyjął z kieszeni futra kartkę z zapisanymi wymiarami i półgłosem wyjaśnił ojcu szczegóły zamówienia. Chodziło o nowy ołtarz do cerkwi.

Ojciec uśmiechnął się jakoś kuso i już otworzył usta, ale paroch nie dopuścił go do głosu; wykrzykiwał i mówił szeptem do samego ucha: walił się kułakiem w pierś i przytupywał, odskakiwał w tył, jakby śmiertelnie obrażony, i znowu podchodził z ramionami rozwartymi do braterskiego uścisku. Gliniański paroch był powszechnie znany jako nadzwyczajny oszust. Okradał wiernych i niewiernych, cyganił naiwne babiny i kutych na cztery nogi handlarzy, obdarłby samego Boga, gdyby to było możliwe. Miał pięć ładnych córek, kształcił je, zbierał dla każdej posag, kupował morgi, skąd więc nagle ołtarz i carskie wrota?

Ojciec podniósł głowę i ściągnął brwi, ale paroch znowu nie dopuścił go do głosu: rękawem zmiótł z warsztatu trociny, zdmuchnął pył i położył trzydzieści złotych, przytrzymywał je palcami jednej ręki, a drugą zerwał z głowy futrzaną czapkę i wachlował nią sobie kędzierzawą czuprynę.

Stałem w słońce i przez otwarte drzwi obserwowałem całą scenę. Wpatrywałem się w ojca. Czekałem na moment, kiedy nagle wyprostuje plecy i metalicznym głosem krzyknie: — Wón! Dźwięczało mi to słowo w uszach! Wyrzuci go za drzwi! Przecież nigdy nie przyjmował zamówień od katabasów!

Przeżyłem zawód. Ojciec pochylił głowę, przygarbił się jeszcze bardziej, potem opuścił ręce i zaczął jakimś nieswoim głosem zadawać ściśle fachowe pytania. Było jasne, że przyjął zamówienie. Po cichu, na paluszkach, jakbym zobaczył coś nieprzyzwoitego, opuściłem stołkę.

Lecz jeszcze tego samego dnia mogłem ruszyć do Grodów z tymi właśnie trzydziestoma złotymi na zapłacenie czesnego i stancji. Płakałem. Jakże straszliwą kapitulacją okupił ojciec moją naukę! Mój ojciec, ten który przez całe życie nie uznawał nad sobą ni pana, ni księdza, ni władzy, mój bohater, wielki i mądry! W drodze postanowiłem, iż na najbliższą niedzielę wybiorę się do domu, aby... właśnie tego nie wiedziałem. Coś mi się tam roiło, że wyznam ojcu, iż jest mi przykro, że z mego powodu tak się poniżył, że poproszę, aby jednak odrzucił to zamówienie, że gotów jestem rzucić gimnazjum... że, że, i że, a wszystko mieszkane, nierealne. Wiedziałem przecież, iż nie zdobędę się na taką śmiałość, nie poproszę i nie będę wcale gotów!...

Rzucić gimnazjum! Nigdy! To jest jedyna szansa wydobycia się z nędzy. Wbrew wszystkiemu muszę wytrwać. Gorączkowałem się, wyobraźnia hojnie szafowała możliwościami zarobkowymi. Już widziałem się pastunem jednej, dwóch, trzech korepetycji (po dziesięć złotych każda!), a zapomniałem o tym, że byłem uczniem zaledwie trzeciej klasy, i że przede mną istniało dziesiątki uczniów wyższych klas, bardziej przy-

GRZEGORZ LASOTA

OGNIWO W ŁAŃCUCHU

Rozbieżność upodobań, subiektywnych doznań, indywidualnych poglądów na to czy inne zagadnienie nie zawsze oznacza rozbieżność stanowisk ideologicznych. Niedobrze jednak, jeżeli subiektywne i indywidualne upodobania artystyczne przedstawia się jako prawdy obiektywne, wynikające z metody marksistowskiej.

Takie zjawisko obserwujemy w artykule Krystyny Kuliczkowskiej „Dwie nagrody" (Życie Literackie nr 18 z dn. 30.IX.1951), gdzie pisze ona w następujący sposób o powieści Janiny Broniewskiej pt. „Ogniwo":

„...Książka Broniewskiej nie jest powieścią, nie miała takich ambicji i traktowanie jej w ten sposób mogło być dla autorki krzywdzące. Jest to pozycja o charakterze wyraźnie programowym: autorka stawia sobie za zadanie poruszenie wszystkich zagadnień związanych z działalnością grupy harcerskiej na obozie letnim, i formą beletrystyczną posługuje się świadomie i rozmyślnie jako środkiem do celu... Książka Broniewskiej zasługuje raczej na miano beletryzowanego instruktażu i jest to forma bardziej sprecyzowana, bardziej uczciwa..."

Trudno było w paru zdaniach nagromadzić więcej bałamutnych twierdzeń. Z rozważań Kuliczkowskiej wynika, że powieść jest przeciwieństwem programowości, że pisarz nie może traktować utworu literackiego jako ilustracji pewnych z góry wybranych tez politycznych. Cóż w takim razie powiemy o twórczości Żeromskiego lub Tołstoja, którzy szereg swych powieści napisali m. in. celem udokumentowania i upowszechnienia swych z góry założonych tez?

Nie ma książek nieprogramowych z punktu widzenia ideologicznego. Każdy utwór literacki reprezentuje jakiś określony klasowo światopogląd.

W dalszym ciągu swego artykułu Kuliczkowska stwierdza, że mnogość problemów ujętych przez Broniewską w kształt artystyczny sprzeczna jest z samą strukturą powieści. Czytamy:

„...Jak widać z tego przeglądu, autorka poruszyła wiele różnorodnych zagadnień. Czy nie za wiele? Na powieść niewątpliwie tak, na beletrystyczny instruktaż niewątpliwie nie. Taka książka nie tylko może, ale musi poruszać całokształt zagadnień.

Nasuwa się pytanie, czy nie można tego było zrobić w formie podręcznika dla instruktorów..."

W ten czy inny sposób, nie posługując się żadnym innym przykładem, jak tylko faktem nagromadzenia w „Ogniwie" mnogości i różnorodności problemów — krytyk degraduje utwór literacki, usuwając go poza nawias literatury pięknej, stawiając na jednej półce z pogadankami, referatami i instrukcjami.

Nie wiadomo nam nic o niewzruszonych zasadach form literackich. Powieścią jest epicki, rozlewny „Cichy Don" i skrótowa, często symultaniczna „Burza". Powieścią jest pełna fantastyki i humoru „Sznambrania", i surowa prawda „Stożarów". Powieścią są ubeletryzowane wykłady pedagogiki („Poemat pedagogiczny" Makarenki, „Chorągwie na wieżach"), jak i „Timur i jego drużyna" Gajdara. Wszystkie wymienione tu utwory zaliczyć należy do rodzaju literackiego, nazwanego powieścią. Powieścią rządzą pewne prawa odróżniające ją np. od reportażu. Jednakże specyfika tematu, założeń ideowych, okresu historycznego, warsztatu pisarza określa indywidualny kształt artystyczny każdej z tych powieści. Element bezpośredniego dydaktyzmu w powieści dla młodzieży gra szczególną i swoistą rolę. Widoczne jest to w tych wszystkich utworach literackich dla młodzieży, które wymieniliśmy uprzednio. Można dyskutować, w jakim stopniu idea poszczególnych tych utworów (łącznie z „Ogniwem") znalazła należyte odzwierciedlenie w formie, w jakim stopniu forma odpowiada treści, nie można jednak żadnej z tych książek usuwać poza nawias literatury pięknej, jak w gruncie rzeczy w stosunku do Broniewskiej czyni Kuliczkowska.

Nie ulega wątpliwości, że „Ogniwo" Broniewskiej odpowiada tym wszystkim wymaganiom, jakie stawiamy przed współczesną powieścią dla dzieci i młodzieży. Jest to powieść o wyraźnie zarysowanych sylwetkach głównych bohaterów (kolektywu ogniwa konstruktorów), o wyraźnym wątku tematycznym, stopniowo rozwijającym się i przynoszącym rozwiązanie poszczególnych zagadnień.

Broniewska posługuje się żywym, prostym językiem, nie zastępując faktów i wydarzeń stwierdzeniami.

Książka Broniewskiej zaznajamia nas z życiem letniego obozu harcerskiego. Rozwój i praca harcerzy, pomagających ludności (organizacja przedszkola, teatru kukiełkowego itp.) w interesujący sposób zostały powiązane z działalnością wrogiej kułackiej bandy, która usiłuje prześladować małorolnych chłopów, pragnie usunąć z wioski obóz harcerski, finguje depesze do rodziców o rzekomej śmierci dziecka itp. Wbrew próbom wroga ogniwo harcerskie w miarę swych możliwości pomaga chłopom małorolnym i w swoim zakresie „włącza się" w walkę o wykonanie Planu 6-letniego, natomiast banda i jej działalność zostają zdemaskowane.

Czyż byłby to ubogi szkielet fabularny?

Kolektywny bohater powieści Broniewskiej, jakimi jest „Ogniwo" konstruktorów", stanowi zespół żywych, ciekawie pokazanych dzieci, z których każde ma swoje wyraźne oblicze, każde mówi zindywidualizowanym językiem. Dziećmi opiekują się ZMP-owcy i Partia. Poważną i pionierską zasługą Broniewskiej jest odzwierciedlenie roli Partii. Przedstawiciele Partii w „Ogniwie" to ludzie, którzy niewątpliwie potrafią zdobyć gorącą sympatię młodych czytelników stanowiąc dla dzieci wzór postępowania. Ich działanie zostało głęboko osadzone w życiu, a pomoc i opieka udzielona dzieciom nie ograniczyła się do politycznych frazesów. Również dobrze zarysowane zostały sylwetki chłopów, najlepiej zaś ujęta została plotkarka wiejska Mikulina. Większość postaci występujących w „Ogniwie" jest przedstawiona (szczególnie jeśli to porównamy z naszą bieżącą twórczością dla dzieci) realistycznie, postępowanie poszczególnych postaci najczęściej umotywowane jest wyraźnie nie tylko okolicznościami, w których się te postacie znalazły — a cechami charakteru, które reprezentują — i dlatego też twierdzenia Kuliczkowskiej pozostają z nimi w całkowitej sprzeczności.

W przeciwieństwie do baden-powellowskiego burżuazyjnego indywidualizmu i kultu wodzostwa, na przykładzie pracy „Ogniwa konstruktorów" obserwujemy kelektywny styl pracy (przykładem ponowny wybór Pietruszki na ogniwowego), wzajemną pomoc i oddziaływanie kolektywu na jednostkę (sprawa Zbyszka).

W przeciwieństwie do baden-powellowskiego solidaryzmu społecznego, który negował istnienie podziału klasowego wśród młodzieży, „Ogniwo konstruktorów" zostało pokazane w procesie udziału w walce klasowej, czym niewątpliwie jest pomoc małorolnym, walka z wrogą plotką, przyczynienie się do wyśledzenia wrogiej bandy.

Na tle polskiej literatury dla dzieci książka Broniewskiej wyróżnia się swoimi walorami i pionierstwem tematu.

Niezależnie od swych braków książka Broniewskiej jest nowym ogniwem w łańcuchu rodzącego się w naszej literaturze realizmu socjalistycznego, cennym ogniwem w formowaniu nowej literatury dla młodzieży.

Recenzja Kuliczkowskiej to jeszcze jedno ogniwo w łańcuszku eklektycznym recenzyjek, które nie wyjaśniają, lecz zaciemniają obraz. Oby nasza polemika przyczyniła się do przerwania tego przeżartego już rdzą czasu łańcuszka.

Grzegorz Lasota

Ilustrował JERZY SKARŻYŃSKI

CHOROBY

gotowanych do udzielania korepetycji.

Niewiele z tych wybryków fantazji pozostało mi w głowie po odbyciu dwudziestokilometrowego marszu — wściekle bolały nogi i piekły poobtłukiwane pięty. Przed rogatką włożyłem buciki i ogarnięty nagłym przygnębieniem przemykałem się pod murami domów, zgorzkniały i zalękniony. W progi mojej stancji wkroczyłem w stanie skrajnego wyczerpania i niepewności. Stara Parnicka nie spojrzawszy nawet w moją stronę wykrzyknęła: — „a jesteś!" i zniknęła w sionce. Na moim łóżku w kuchni leżał jakiś obcy koc. Widocznie przyjęła kogoś innego na moje miejsce... W jednej chwili runęła kunsztowna piramida moich nadziei. Wymyślałem sobie od kretynów! Na co liczyłem? Czego się spodziewałem? Sprawa jest prosta: nie masz tu co robić, koniec!

Ale oto w chwilę później sytuacja znowu uległa zmianie, jak za przewróceniem kartki w książce. Parnicka wróciła do kuchni, w milczeniu nalała pękaty garnuszek kawy, ukroiła pajdę chleba i postawiła to przede mną. Wydało mi się, że nadszedł moment wykonania równie konkretnego gestu: bez słowa położyłem na stole dziesięć złotych. Szybko zgarnęła pieniądze do kieszeni w fartuchu i dopiero teraz zdecydowała się dać folgę swojemu językowi, przynosząc tym ulgę i mnie, pozostającemu w udrękach niepewności.

— Jak tam matka? Zdrowa, chwała Bogu. Ojciec? Zdrów, spodziewam się. Czas, żeby już przyszedł do rozumu! Ładnie bym na tym wyszła, gdybym wybierała komu mam sprzedać swoją rzodkiewkę! Głupstwa! Ze wszystkimi wojować, kto to widział! Smalcu dzisiaj nie mam, ale kawa za to z cukrem. Zjedz i niech ci na zdrowie wyjdzie. Drozyzna taka! Musiałam przyjąć drugiego chłopaka. Gospodarski syn. Ojciec chce go na księdza kształcić. Niech tam, płaci prowiantem. To więcej warte od tych kaprawych pieniędzy. Łotry! Pijże tę kawę. Ciebie nie wyrzucam, w kuchni miejsca dość. Możesz rozkładać siennik na podłodze. Nie tacy jak ty spali na ziemi! Rano żebyś sprzątnął, ni zdziebełka żebym nie znalazła! Twoje rzeczy w drewutni. Wytrzep zanim przyniesiesz. Nie mnij paluchami tej ceraty! Jak ci nie dobrze to wyjdź na dwór!

Niedobrze? Gdzie tam! Było mi dobrze, ach jak dobrze — mogłem zostać!

✻

Wbrew postanowieniom w najbliższą sobotę nie mogłem ruszyć do domu. Musiałem nadrobić stracony czas w nauce, a nadrobić nie było łatwo, bo nie miałem ani jednej własnej książki. Trzeba było pożyczać podręczniki u zamożniejszych kolegów, wypraszać i dreptać godzinami pod ich domem aż sami się obkują i wyjdą, aby wręczyć książkę z cierpkim upomnieniem: „a nie poplam, byku".

Dopiero po dwóch tygodniach w sobotę przed południem — naszą klasę z jakichś tam powodów zwolniono po dwóch lekcjach — stanąłem na drodze do Leska. Opuściłem miasto ze sporym ładunkiem optymizmu. Po przezwyciężeniu moich własnych trudności wydało mi się, że we wszystkim zaszły jakieś korzystne zmiany. Nawet w położeniu ojca dostrzegałem wyraźny zwrot na lepsze Ostatecznie, ma zamówienie. Kto wie, ta robota może w ogóle sprowadzić zasadniczy zwrot. Skończy się bojkot, przestaną nas gryźć...

Jednak w miarę jak ubywało kilometrów, jak kurczyła się odległość dzieląca mnie od domu, wydarzenia sprzed dwóch tygodni wracały do swoich poprzednich wymiarów. Stawały się dręczące jak przedtem. Z szerokiego świata — wrogiego, ale pozostawiającego pole do walki — schodziłem znowu w ciasny zaułek wyrzutków społeczeństwa. A tam, we własnym domu — jak w małpiej klatce, wystawiony na pośmiewisko — mój ojciec! I im bliżej niego byłem, tym jaśniej pojmowałem, że działa mu się krzywda, tym silniej obwoływał mnie głos: musisz iść jego śladem, nie uchylaj się! Muszę! — rosło gorączkowe postanowienie — nie będę się uchylał, nigdy! — brzmiało uroczyście jak przysięga. Nogi przyśpieszały kroku, zaciskały się pięści, ale wnet drugi głos, cichy i pokorny — jakże bardzo przypominający głos matki! — ostrzegał: — „Spokojnie, spokojnie, ucz się, bądź cierpliwy!" Z rozpaczą nieledwie czułem, że ten drugi głos ma we mnie większy posłuch, że gotów jest poskromić tamto buntownicze wyzwanie. Ten wewnętrzny dwugłos przybierał na sile, stawał się napastliwy, bezwzględny, sięgał po brutalne wyzwiska, wygrażał kułakiem i — załamywał ręce. W momencie szczytowego napięcia tej burzy nagle wszystko ucichło — spojrzałem przytomnie: z daleka zobaczyłem dach naszego domu. Przystanąłem dla złapania tchu. Nakazałem sobie spokój.

A gdy wszedłem wreszcie na podwórko, poczułem się tak, jakbym był kimś trzecim, kto wyszedł z kłótni dwóch innych osób, z których jedna była zbyt zawadiacka, a druga zbyt trwożna. Może i pamięć lapidarnych uwag Parnickiej grała swoją rolę? Otrząsnąłem się z tego wszystkiego, stałem się po prostu uczniem przychodzącym odwiedzić rodziców.

Zamknąłem za sobą furtkę i spojrzałem na warsztat. Panowała w nim cisza. Ścisnęło mi się serce, czyżby się coś stało? Ale oto wzrok mój zatrzymał się na zakurzonych szybach. Jest! Ojciec tam siedzi bokiem na warsztacie i na trzymanym w ręku klocku rysuje coś dużym stolarskim ołówkiem. Pociąga kreskę i odsuwa rękę, podnosi wzrok ponad szkła okularów i odchyliwszy głowę z daleka przygląda się granistemu klockowi. Obraca nim lekko w palcach i po chwili ręka wraca znów do poprzedniej pozycji, podnosi się ołówek...

✻

Jak już poznaliście z tego, co dotychczas napisałem, nie byłem ani zbyt bystrym, ani zbyt śmiałym, ani zbyt spostrzegawczym chłopcem. Tkwiłem wewnątrz siebie i — jeśli tak można powiedzieć — przez oczy jak przez zamglone szybki wyzierałem od czasu do czasu na świat. Zaabsorbowany sobą nie dostrzegałem tego, co się działo tuż obok z osobami najbliżej mnie stojącymi. Tak było i tym razem. Ocuciły mnie dopiero słowa matki: — z ojcem jest niedobrze.

Było to nieprzytomne ocknięcie; wyskoczyłem ze snu na jawie i stanąłem spłoszony: z ojcem niedobrze? Zamiast zwrócić się z zapytaniem do matki zacząłem sam szukać na ślepo: co to znaczy? w jakim sensie niedobrze? Od kiedy? Po czym to poznać? I zszedłem na błędną ścieżkę. Wydało mi się, że matka miała na myśli r o d z a j wykonywanej przez ojca roboty.

Bo istotnie w warsztacie powstawały rzeczy szczególnie dziwne. O ile drewniany zegar, toczone saneczki, rzeźbiony tornister, jakkolwiek niezwykłe, mieściły się jednak w ramach powszedniej użyteczności i wyobraźni, to przedmioty robione dla parocha z Glinian przechodziły wszelką miarę! Płaskorzeźba, mająca przedstawiać legendarne Ukrzyżowanie, przedstawiała rzeczywistą Egzekucję. Na krzyżu nie był rozpięty i przybity gwoździami, lecz wisiał ktoś na postronku: ręce wykręcone do tyłu, pod rozchyloną koszulą widać wystające żebra i jamy podobojczykowe, nad zapadniętym brzuchem wąski pasek rzemienny podtrzymujący płócienne portki, połatane i podwinięte do połowy łydki, bose, zdeformowane stopy. A gdy się spojrzało zupełnie z bliska, nagle stawało się jasne: to przecież Andruszko, pastuch Andruszko, ten sam którego w 1914 powiesili Madziarzy jako „moskalofila". Pod dłutkiem ojca zmartwychwstała i jego matka (jak pamiętacie ludzie twierdzili, że nie był jej synem, lecz przygarniętym znajdą). Stała sobie pod krzyżem okutana w długą do samej ziemi chustkę, w tych swoich pokracznych buciorach, z dziadowskim kijem w ręku; każdy kto tego nie wiedział, mógł odgadnąć od razu, że była niewidoma. Odnajdowało się tu wszystko, co istniało w tamtej chwili: i na wpół nagie dzieci obrzucające się kamieniami i pokazujące sobie zadek, i starego Korczaka wiozącego na wozie wodę w beczkach, i biednego Maniaka idącego z piłą i kozłem do rąbania drzewa na ramieniu, i stuletniego Grünseita, Żyda-powstańca z 1863 roku, z jakąś kamienną grozą wpatrzonego w ten krzyż z powieszonym chrześcijaninem, i nawet obłąkanego chłopca „Durmaka" z wykrzywioną idiotycznie twarzą, drapiącego się jedną ręką pod pachą, a drugą w rozporku. Tylko bydląt nie widać, bo je wojsko pożarło. Poza tym wszystko: krzaki, drzewa, kamienie w bruku, nierówności gruntu, jakieś łachy, puszki, łajna, śmiecie — takie, jakie widziały nasze oczy przed jedenastu laty. Czy widziały? Teraz, gdy wydobył je ojciec z niebytu, przypominaliśmy sobie, że istotnie wówczas spoczął na nich nasz wzrok.

W prostokątnej ramie drzewnej była zamknięta historia. Zbliżałem twarz i oddalałem ją — postacie poruszały się, uszu dochodził gwar, stukot kół, dudnienie beczek, rozpoznawałem gesty, głosy, treść słów. Gdy prostowałem się — deski zaczopowane, spojone i ściśnięte ściskami stały na podłodze pod ścianą — traciłem równowagę, szumiało mi w głowie i coś dusiło w krtani. I dopiero wtedy ogarniał mnie dziki lęk. „Co to wszystko znaczy — pytałem siebie — przecież tego nikt nie..." ostatnie słowo ginęło w spazmie. „Nikt nie uzna, nikt nie kupi!" — powtarzało się z maniackim uporem i rozdzierało serce. Chciałem biec, wołać, krzyczeć: „Co zrobiliście z moim ojcem! Odrzuciliście go, wygnali precz, poszedł sam, wspiął się gdzieś na niepojęty szczyt, a teraz — runie! Spadnie lada moment i roztrzaska się. Wpatrzony w swoje wizje nie dostrzega tego, co jest pod nogami. Trzeba go ratować, osłonić, nie dopuścić, aby się potknął na drwinie tych, którzy mogą zobaczyć"...

✻

Usiłowania matki na nic się nie przydały, paroch dosłownie włamał się do warsztatu i kopnięciem zatrzasnął za sobą drzwi. Ojciec stał przy pieńku, skulony, z białymi plamami na policzkach, wstrząsany dreszczem, jakby przemókł na zimnym deszczu. Nie odpowiedział na pytania— bezwiednym wzrokiem patrzył w okno. Paroch rozejrzał się po warsztacie i dojrzał swoje zamówienie — zmrużył oko i wskazał je końcem buta. Ojciec ani drgnął. Paroch przykucnął przed deskami, powodził głową, dotknął palcami i nagle wybuchnął śmiechem. Wstał i aż zataczał się od tego śmiechu, rechotania, parskania. Wreszcie odwrócił się ku ojcu, otworzył usta, ale ostatecznie poprzestał tylko na spojrzeniu rzuconym mu pod nogi, jakby splunął, i wyszedł, wyskoczył, trzaskając za sobą drzwiami. Na podwórku krzykiem zatrzymał swego parobka znoszącego ćwiartkę żyta — kazał mu włożyć z powrotem na wóz. Parobek wskoczył na przednie siedzenie, paroch na tylne, strzelił bat, zadudniła przymarznięta ziemia.

Odwróciłem wzrok na ojca. Powoli wysunął się z warsztatu, chwilę przystanął w progu i rozejrzał się niczym obudzony ze snu. Po tym opierając się dłonią o ścianę poszedł za dom i długo wymiotował.

Dopiero w tej chwili zrozumiałem, co matka miała na myśli, gdy mówiła, że z ojcem jest niedobrze.

Marian Ruth-Buczkowski

Fragment powieści „Trzy pokolenia i następne".

JAN KOPROWSKI

NAD KONSTYTUCJĄ

Dni bezrobocia, miesiące, lata
znał dom ubogi — nie znał pałac.
Nienawiść do tamtego świata
jak sztylet w sercu moim została.

Twardą jesienią do szkoły szliśmy
z kajetem w ręce — głodni i bosi.
Chłód spadał na nas mroźnymi liśćmi —
ciepła dla małych stóp nie uprosisz.

Bolało życie, piekło jak rana,
matka łamała zbiedzoną głowę.
Wieszał się cień nasz na nagich ścianach
w czerwonym kopciu lampy naftowej.

Syn mój, nad którym dziś się pochylam,
pozna te lata tylko z powieści.
Mego i jego dzieciństwa chwile
jakże odmienne od siebie w treści.

Tam: od łez ciągłych policzki słone,
tęsknota wielka za chleba kromką,
Tu: rączki ufnie podniesione
i twarz: wesoła, jasna jak słonko.

Więc gdy nad nową Konstytucją
pochylam się jak nad mym synem,
wiem: z dawnych dni już nie powrócą
smutki ojcowskie i matczyne.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Wspólna rada

Na początku — rozczarowanie! Chciałoby się jakiejś uroczystości, nastroju bardziej podniosłego, a tu — poza skromną dekoracją bibliotecznej salki — nic! Codzienność dnia zmącona została tylko świątecznym garniturem przewodniczącego spółdzielni i samochodem czekającym przed domkiem kancelarii na przedstawicieli powiatowych komitetów PZPR-u i ZSL-u. Zebranie wyznaczono na godzinę piętnastą i o osiemnastej jeszcze się nie rozpoczęło. Pięcioro spółdzielców bardzo długo i bardzo cierpliwie czekało na resztę — dla rozrywki przegrywając płyty gramofonowe na wspaniałym adapterze. Owa reszta — mająca swe domy o kilkadziesiąt metrów od salki — spóźniała się więcej niż najbardziej dalekobieżne pociągi. To obiad zjeść jeszcze, to w chałupie coś błahego zrobić, to nakarmić świnię, krowę... Gość z miasta sumuje wszystkie możliwe minuty tych czynności i usprawiedliwić gotów najwyżej godzinę opóźnienia. A reszta? A dwie godziny? Zagrodowe sobiepaństwo nauczyło chłopa sobkowskiego stosunku nawet i do czasu... ręka zgina się do siebie, nie od siebie... co mu tam cudze dobro... o swoje też zawsze sam i przeciw wszystkim musiał zabiegać! Dzieje wieków wyżłobiły na charakterze chłopa rysę inercji społecznej — w tym wypadku zadokumentowaną lekceważeniem terminu spółdzielczego zebrania. Gdy za lat kilka — marzy gość z miasta — nowa forma gospodarki przemieni wiejskiego sobka w jednostkę społecznie czynną, wtedy doroczne zebrania obrachunkowe i wyborcze spółdzielni produkcyjnych, tak dla nich samych ważne, rozpoczynać się będą punktualnie.

Na koniec jednak salka się zapełniła. Młodo wyglądający — lat pewnie trzydziestych — mężczyzna, stanąwszy za stołem obitym czerwonym płótnem, otworzył drugie doroczne zebranie obrachunkowe spółdzielni produkcyjnej w Dobrej, w powiecie szczecińskim.

Jest dzień 28 stycznia 1952 roku — akurat dwa lata temu, 28 stycznia 1950, 27 tutejszych chłopów—spośród pięćdziesięciu gospodarzących w całej wsi — uchwaliło założenie spółdzielni produkcyjnej, chrzcząc ją: „Nowe życie". Nowe życie! — wiedzieli, czuli, marzyli, że dla nich, ciężko dotychczas mocujących się z własnym losem, winno ono być lepsze. Lepsze — tyle tylko! Przed dwoma laty (na zebraniu nikt słowem nie wspomniał o dwuletniej rocznicy, za wiele było spraw bieżących) — mało który z nich widział dokładne kontury nowego życia. Dziś już widzą je lepiej.

POCZĄTEK NOWEGO ŻYCIA

Sekretarz zebrania z namaszczeniem odczytuje protokół z pierwszego zebrania obrachunkowego; odbyło się ono 15.III.1951. Zebranie — jak wiejskie zebranie. Dyskusja — wpierw niemrawa, potem gorąca — ujawniła niemały trud gospodarowania na dużych obszarach rolnych, gospodarowania całą gromadą, gdy życie dostarczyło jedynie doświadczeń indywidualnej pracy na małych zuchelkach gruntów. Protokół sprzed roku przekazał wydarzenia najważniejsze: dniówka obrachunkowa za pierwszy rok spółdzielni wyniosła 12 złotych. Nie było to dużo — w Bynowie, powiat Pyrzyce, dniówka wyniosła wtedy 23 zł, w Skrzynce, powiat Myślibórz — 24 zł. Były spółdzielnie, które przekroczyły złotych trzydzieści. Lecz inni mieszkańcy Dobrej widzieli coś więcej niż jedynie dniówkowy zarobek: z bliska patrząc dostrzegli szanse rozwojowe zespołu. I oto protokół zanotował, iż w ciągu roku 1950 pięciu nowych członków przystąpiło do spółdzielni. Sprawozdanie za rok 1951 zanotuje dalszy przyrost; tylko dwóch indywidualnych gospodarzy pozostało na koniec poza spółdzielnią. Trzech członków wprawdzie wystąpiło ze spółdzielni — rezygnując z pracy wiejskiej, wrócili do rzemiosła.

Notuję, specjalnie podkreślając: trzech, do rzemiosła. To znaczy, że Dobrą ominął atak wroga, który w drugiej połowie lata 1951 uderzył w spółdzielnie szczecińskie, województwa najbardziej zaawansowanego w gospodarce spółdzielczej. Gdy na Korei oficerowie amerykańscy doprowadzili do zawieszenia rokowań pokojowych, gdy w Warszawie skrytobójcze strzały ugodziły Stefana Martykę — w 45 spółdzielniach szczecińskich chłopi rzucili się ku stajniom wyprowadzać konie: pierwszy akt rozkładu spółdzielni — powrót do indywidualnych stajen. Zaś w paru dziesiątkach innych spółdzielni wielu pojedynczych chłopów złożyło zarządom prośbę o zwolnienie ich z zespołowej gospodarki, chcieli wrócić do indywidualnej. Wróg specjalnie silnie zaatakował spółdzielnie szczecińskie, licząc na to, że w tym najbardziej uspółdzielczonym województwie (prawie czterysta spółdzielni) wydarzenia gryfickie osłabiły zdolność rozpoznania i zwalczania reakcyjnej forpoczty.

Pięć takich próśb o zwolnienie pokazywano mi wczoraj w Lubiatowie. Cztery z nich napisane są jednym charakterem pisma, jednozdaniowe, jednobrzmiące, i podpisane... krzyżykami. Analfabeci. Sojusznicy wroga, najłatwiej lecący na lep reakcyjnej plotki.

Letni atak nie udał się. Ani na Korei. Ani w Azji czy w Afryce, gdzie każdy dzień rozpala płomień walki ludów kolonialnych o wolność i niepodległość. Ani w Warszawie. Ani w Szczecinie, gdzie z 45 zaatakowanych frontalnie spółdzielni — 39 wytrzymało tą ofensywę zwycięsko. W walce tej nawet okrzepły. W innych spółdzielniach pozbyto się członków chwiejnych i miękkich, zadość czyniąc ich własnym prośbom. Lubiatów zwolnił swych czterech analfabetów — i w kilka miesięcy potem dniówkę obliczył na rekordowy w województwie pułap: 32 złotych. Tylko 6 spółdzielni rozpadło się definitywnie.

SPRAWOZDANIE BUCHALTERA

Łysy, wysoki, tęgi i dobrze już starszy mężczyzna — księgowy spółdzielni, Rakowski — rozpoczął czytać swe długie sprawozdanie. Na kanwie cyfr, liczb i procentów powstał haft rocznej pracy.

Zebrań zarządu spółdzielni — czytał Rakowski — 37. Zebrań ogólnych 21. Dwie liczby pozornie małoznaczne. A naprawdę? Oto co 9 dni radzi 5-osobowy zarząd spółdzielni, co 17-cie dni radził ogół spółdzielców nad sprawami zespołu.

Dotychczas nie różnica urządzeń sanitarno - cywilizacyjnych najbardziej różniła chłopa od robotnika, człowieka wsi od człowieka miasta — różniło ich przede wszystkim to, że człowiek miejski stale i nieustannie żyje w gromadzie, nauczył się cenić dobrodziejstwa pracy kolektywnej, nauczył się poddawać z własną korzyścią, wymogom życia społecznego, nauczył się myśleć i działać w gromadzie, inaczej niż chłop, nazbyt samotnie, ze szkodą dla innych i samego siebie żyjący. Pamiętamy wszyscy — ba! jeszcze ciągle widzimy na naszych wsiach — ów „kompleks sąsiada". Chłop nienawidził zasadniczo swego sąsiada, widząc w nim chciwca czekającego, by utuczyć się jego stratą. Biedniacka nienawiść żywiona wobec kułaków, kułacki lęk przed resztą wsi — tak się splątały ze sobą, a pomnożone jeszcze chciwością ziemi jątrzącą całe rodziny, wytworzyły wrogość sąsiedzką. Wrogość wykluczającą wszelką współpracę. Agitatorzy działający na wsiach jeszcze wiele potrafią opowiedzieć, jak bardzo ten „kompleks sąsiada" utrudniał założenie spółdzielni, jak bardzo młodym spółdzielniom osłabiał siłę ich pierwszego lotu. I oto ta kurtyna wrogości sąsiedzkiej została przebita. Sąsiedzi spotkali się, by razem pracować, dla wspólnego dobra. Dwie cyfry znaczące częstotliwość podejmowania decyzji zbiorowych w jednej jedynej spółdzielni produkcyjnej kryją przemianę w psychice chłopa. Pomnóżcie te dwie liczby przez 72.000 rodzin chłopskich gospodarujących dziś w ponad 3000 spółdzielni produkcyjnych, a otrzymamy zarys ogromnych zmian dokonywających się w Polsce, zmian korzystnie likwidujących różnice psychiczne zachodzące między człowiekiem wsi i miasta. Trzy lata temu chłop polski nie radził kolektywnie. Dziś na naradach takich pracuje, słucha i myśli — choć może nie zawsze w pełni umiejąc wykorzystać swe społeczne uprawnienie. Jutro — reguły życia zespołowego zlikwidują wszelkie opóźnienie i nauczą chłopa szerokiej współdecyzji w sprawach społecznych, gromadzkich, narodowych.

Buchalter czyta dalej. Zelektryfikowanych mieszkań członków — 45. Zradiofonizowanych — 43. Elektryczność do wsi doprowadziła spółdzielnia. Z funduszu społecznego spółdzielnia przeznaczyła na żłobek i na przedszkole...

Dwa lata temu kobiety wiejskie odgrażały się, że dzieci swych za skarby do żłobka nie oddadzą. Teraz w Dobrej w okresie letnim 21 dzieci korzystało ze żłobka, 25 z przedszkola i dlatego właśnie wzrosła w roku ubiegłym ilość kobiet, które stanęły do pracy na polach spółdzielni.

Użytki spółdzielni wynoszą: 230 ha pól, 210 ha łąk, 63 ha pastwisk. Spółdzielnia posiada: koni — 27 (dwa przybyły w 1951), krów 107 (przybyło — 19), świń — 88 (przybyło — 29), drobiu kilkaset sztuk, pszczelne ule. A jeszcze 79 krów i 82 świnie znajduje się w oborach osobistych.

Trzoda chlewna i bydło wzrasta w Dobrej. Tak zresztą jak w całym kraju, gdzie pogłowie bydła w spółdzielniach w 1951 zwiększyło się o 106 proc, a trzody chlewnej o 163 procent.

W planie inwestycji w roku bieżącym spółdzielnia „Nowe życie" przewiduje zbudowanie jednej wielkiej, nowoczesnej obory, zamiast czterech małych, zupełnie niedogodnych dla gospodarki hodowlanej w skali poważnej, uwarunkowanej zresztą dość kiepską ziemią: grunta IV i V klasy. W dniu zebrania przywieziono do spółdzielni 5 owiec: zalążek nowego działu hodowli. Tak! hodowla w Dobrej rozwija się bardzo dobrze. Liczby ze sprawozdania księgowego zgadzają się z przeglądem obór i chlewów.

BŁĘDY

Lecz teraz mąci się tok sprawozdania. Cyfry wykreślają porażkę. Liczby nie dostają planom. Nie osiągnięto bowiem planowanej wydajności z hektara ani w życie, ani w pszenicy, ani w jęczmieniu, ani w burakach cukrowych, ani w grochu, ani w łubinie, ani w ziemniakach. Z wyjątkiem mieszanki zbożowej wydajność z hektara jest niższa niż planowali przed rokiem. Susza? Tak — ale nie tylko susza. Omawianie przyczyn nie należy do księgowego. Lecz wstydliwie przemilcza je i przewodniczący. Wytknie je dopiero II sekretarz komitetu powiatowego PZPR. Planowania też się trzeba uczyć. Jak wino do głowy uderzyły spółdzielcom sukcesy pierwszego roku gospodarki i przed rokiem buńczucznie rzucili hasło: dniówka 24 zł! I plany swe bardziej przymierzali do tej dniówki niż do realnych możliwości ziemi przecież niezbyt dobrej, czy parku maszynowego jeszcze niezbyt bogatego. Nie wrachowali możliwości klęski żywiołowej, niespodzianek pogody. Nie wrachowali i najważniejszego: każdy nowy członek spółdzielni — a przybyło ich szesnastu — nie tylko dowodził skuteczności gospodarki spółdzielczej, ale zwiększał trudności operowania tak dużym zespołem ludzi, jeszcze przecież nie wdrożonych do samoczynnego reagowania na bodźce i potrzeby gospodarki gromadzkiej. A może jeszcze niejeden z nich myśląc o własności spółdzielczej nie traktuje jej jak własną, ale jak „państwową", to znaczy bardzo odległą, jakby cudzą— i czuje się zwolniony od rzetelnej pracy. Spółdzielczość produkcyjna nie wypracowała sobie swej własnej, od dołu wyrosłej, siłą ogółu wykształconej dyscypliny pracy. Brak zaś codziennego nawału kłopotów, kłopotów o wszystko, które przytłaczały chłopa „indywidualnego", a w gospodarce spółdzielczej zostały rozłożone równomiernie na zarząd i członków zespołu, wobec jeszcze niedostatecznie silnie wyrobionej troski o dobro gromady, wytrąca niejednego chłopa z równowagi, rzucając go w odmęty nadmiernego lenistwa, z wszelkimi tego konsekwencjami. Niejeden jeszcze na spółdzielczym pracuje gorzej niż na własnym, chętnie tylko odcinając kupony poważnych korzyści. To również obniża plon z hektara.

Lecz cyfry urodzajów znaczą nie tylko błędy planowania i słabość w dyscyplinie pracy; dokumentują one również zwycięstwo koncepcji spółdzielczej: są one bowiem o 25 proc. wyższe niż wśród okolicznych „indywidualnych" gospodarzy. Doświadczenia z Dobrej potwierdzają ogólnokrajową regułę: plony w spółdzielniach są wszędzie lepsze niż u „indywidualnych".

DNIÓWKA OBRACHUNKOWA

„Dniówki obrachunkowe" — następną rubrykę rozpoczyna czytać księgowy Rakowski.

Dniówka obrachunkowa — słowa te dwa lata temu nieznane były wsi. Dziś, wszedłszy do słownika wiejskich pojęć na zawsze, stały się miernikiem osiągnięć jednostkowych i zbiorowych. Ilość i wysokość dniówek decyduje o dobrobycie spółdzielcy, lecz tylko w tym wypadku, gdy ustalona w spółdzielni norma dniówkowej pracy, uwzględniając harmonijne interesy porówni pojedynczego członka co całego zespołu, mobilizuje ludzi do rzetelnej pracy. A że każda spółdzielnia normę tę określa dla samej siebie — dniówka jest szkołą planowego, ekonomicznego myślenia.

W 1951 mężczyźni, kobiety i starsza młodzież przepracowała w Dobrej ogółem 15.644 dniówki obrachunkowe. Wartość dniówki oblicza się po potrąceniu z osiągniętych wpłat świadczeń podatkowych, inwestycyjnych i socjalnych. Wysokość dniówki wyniosła w Dobrej 15 złotych; z czego około 10 zł członkowie otrzymali gotówką, resztę w zbożach, ziemniakach i cukrze. Przeciętnie wypracowywano około 300 dniówek, rodzina około 500 dniówek. Więc zysk roczny wyniósł na rodzinę

spółdzielczą około 8.000 zł, nie biorąc pod uwagę korzyści z działki przyzagrodowej. Są spółdzielnie w województwie, gdzie — jak np. w Skrzynce — dniówka wyniosła 26 zł (rok temu: 24 zł). W Skrzynce cała wieś jest w spółdzielni; ogółem siedemdziesięciu kilku członków. Rodzina szwajcara, pracującego w spółdzielni z żoną i córką, uzyskała w Skrzynce 1050 dniówek obrachunkowych, to znaczy roczny zarobek tej rodziny wyniósł 21.551 zł. Inni członkowie w Skrzynce mają równie poważne zyski i dlatego Skrzynka jest przykładem harmonijnego, właściwego ustalenia normy pracy.

„Lepsze jutro" jest spółdzielnią świetną. „Nowe życie" jest dopiero na dorobku. Dołączone do sprawozdania buchaltera opinie instruktora Gminnych Spółdzielni uznaje stan organizacyjny „Nowego życia" za dobry, opinia POM-u — określa ich gospodarkę jako będącą na wysokim poziomie.

Rok temu, zamierzano w Dobrej uzyskać za dniówkę 24 zł — osiągnięto złotych 15. Rok temu ich dniówka wypadła złotych 12 — teraz trzy złote więcej. W ciągu tego roku plany ich poniosły porażkę, lecz praca ich osiągnęła sukces o ileż poważniejszy, niż u gospodarzy indywidualnych. Cała problematyka wzrostu, jego kłopotów i zwycięstw, zawarta jest w tym już liczbowym zestawieniu.

MAŁE DZWONKI WIELKIEJ SPRAWY

Przewodniczący omawia w swym sprawozdaniu nie cyfry osiągnięć i porażek, ale ich przyczyny. Na tle obrazu ideowych zmagań naszych dni ustawia codzienne sprawy swej spółdzielni. Omawia obiektywne, materialne przyczyny niepowodzeń. Chlubi się terminową i ponadnormową realizacją dostaw państwowych. Gromi opieszałych w pracy — z imieniem i nazwiskiem wymawia im błędy. Analizuje rozpiętość dniówek: Urbańska — 504 i Grześkowiak... 14. O chorobę świń oskarża opiekuna chlewni. Wymienia przodowników pracy: Purgata, Mieniuka, Krasowskiego. Nie wszyscy są tacy jak oni: komisja rewizyjna aż dwie sprawy zniszczenia dobra spółdzielczego musiała skierować do sądu koleżeńskiego; winnych ukarano skreśleniem po 10 dniówek.

Słowa jego są chwilami trudno zrozumiałe. Dla niewprawnego w głośnej lekturze znaki przestankowe nie zawsze są cezurą głosu. Lecz członkowie spółdzielni słuchają słów tych w pełnym napięciu uwagi. Są one jasne i oczywiste. Gdy padają oceny złej i dobrej pracy, cichną pokątne gawędy i ustają wędrówki z izby do przedsionka.

Protokół sprzed roku notuje, że dyskusja rozpoczynała się opornie i leniwie 1 dziś jest nie o wiele lepiej. Może krępuje obecność miejskich i partyjnych gości? Bo przecież na 21 ogólnych, lecz w własnym tylko gronie odbywanych zebraniach, zażarte dyskusje trwały do późnych nocy. A teraz dyskusja nie może rozkołysać się na wielki dzwon spraw zasadniczych, a dźwięczy tylko maleńkimi dzwoneczkami jakichś osobistych urazów, jakichś drobnych pretensji do zarządu czy do kolegów. Młody szwajcar czyni zarzuty swej pomocnicy. Ona mu się odcina — jest przecież przodownicą! A on co? Kujawa gani pracę przy burakach cukrowych. Stara Sikorowa domaga się ogrodu warzywnego. (To ważne! — choć ginie wśród innych gadających, projekt poprzez protokół wypłynie na obradach zarządu), Rybarczukowa usprawiedliwia swą nieobecność w pracach polnych małymi dziećmi— a z dalszych rzędów replikuje jej ktoś, że w pole wychodziły nawet matki czworga dzieci! Ktoś ma pretensję o złą ilość wypisanych dniówek — na to drugi zarzuca mu lenistwo w pracy. Zarzut ten zaraz bumerangiem trafia w mówiącego — jemu też zarzucają przydługie odpoczywanie podczas żniw. I spiętrza się raptem osobista kłótnia. Pijaństwo! I wtedy wstaje chłop i zaczyna bardzo poważnie: „Gdyby imperialiści tutaj przyszli, śmieliby się z nas, bo bałaganimy w pracy..." — i wnet pretensja do zarządu, że za małe baczenie daje na ludzi, że lekce sobie ważą oni wszyscy swe spółdzielcze obowiązki. Ktoś dopomina się o większą opiekę nad chorą Kamińską i jej dziećmi...

Dyskusja powoli nabiera impetu. Ale ciągle jeszcze o mniejszych sprawach mówi się konkretnie, o większych jakoś abstrakcyjnie. Nie pomagają uwagi padające zza prezydialnego stołu. Nie mówią o powodach złego wykonania planów urodzaju, ale już mówią o winach i zasługach jednostek. Nie są jeszcze w stanie ocenić zasług całej gromady. Już potrafią się przyznać do błędów indywidualnych, lecz jeszcze nie umieją ocenić błędów zbiorowych. Może cyfry i zadania w skali pół tysiąca hektarów obliczane, opanowane już w praktyce, jeszcze nie poddają się teoretycznym analizom chłopa przywykłego operować skalą kilkomorgową. Wielkimi zakosami — i na moment tylko — wjeżdża na tapetę sprawa niedbałej orki traktorzystów z POM-u, którzy „miast skiby puścić głębiej, orali tak płytko, jakby świnia ryjem pogrzebała..." Lecz teraz z Dobrej już jej własny, spółdzielczy traktorzysta wyjechał na kurs.

Denerwuje się przewodniczący zebrania na to, że dyskusja nie dotyczy spraw zasadniczych. Że nie bije dzwonem wielkim. Czy jednak ma rację? Czyż te małe dzwonki nie świadczą z niemniejszą siłą o pracy spółdzielni, jak świadczyć by mógł wielki dzwon jakiejś krytyki gruntownej, wnikliwej i zasadniczej?

Wydzwaniają się małe nieporządki — gdyż większych widocznie nie ma. Rewizje władz spółdzielczych i państwowych też nie ukazały żadnych istotnych braków. Zarząd wybrany został po raz drugi w składzie dotychczasowym — zmienionym o jednego tylko członka. Widocznie zdobył zaufanie spółdzielców — czyż warto więc na zebraniu dorocznym, wobec gości jeszcze, krytykować jego drobne niedociągnięcia? A skoro prezydium do krytyki tak uparcie namawia — więc mnożą się sprawy błahe, nikłe, małe. Dzwonią dzwoneczki miast dzwonów. Praktyczny chłop nie umie prawić wielkich ogólników. Gdy brak mu konkretów większych — sięga po małe.

Mijają jedna za drugą godziny zebrania. Śnieżna noc już mocno otula wieś, pola, łąki i pastwiska tej samej wsi, której obraz wyłaniający się z dyskusji i sprawozdań tak bardzo odbiega od tradycyjnych schematów gospodarczych i literackich. Dawna zażarta walka osobistych interesów coraz bardziej, i bardziej — choć nie bez trudnych kłopotów — zamienia się w spólnotę interesów spółdzielczego zespołu. Na tej wsi — na tylu innych wsiach w Polsce — w mozolnym trudzie walki ze starymi obyczajami rodzi się nowy obyczaj społeczny, nowy rys psychiczny, ginie kompleks sąsiada. Powstaje wieś socjalistyczna.

Wybory. Padają nazwiska kandydatów. Podnoszą się ręce ku górze. Za? Przeciw? Wstrzymuje? Ostatnie słowa przewodniczącego. I Międzynarodówka. Śpiewamy ją wszyscy.

„Bój to jest już ostatni..."

*

Samochód sunie gładko po zaśnieżonej szosie. Wkulony w kąt karoserii porządkuję wrażenia z zebrania spółdzielczego.

Drugi raz w dziejach naszego narodu kilkaset tysięcy chłopów sumuje kolektywnie dorobek spółdzielczej pracy. Ocenia swój zysk i swe straty, swe osiągnięcia i swe błędy. Ocenia wzajemnie swą pracę i swą społeczną wartość. Po raz pierwszy opinia wsi przestała być wyrazem ocen indywidualnych, egzekwowanych odruchami a warunkowanych chciwym interesem — stała się jawna, zbiorowa, gromadzka, dokonana pod kątem społecznej przydatności jednostki. W Dobrej skarżyli się na traktorzystów z POM-u, ale ich samych traktor ustrojowy orze bardzo głęboko. Zmieniają się z każdym rokiem — choć i sami nie zawsze to sobie uświadamiają.

I myślę jadąc samochodem: gdzież tu sprawdzają się bajki idealistów wieszczących, iż wpierw należy zmienić człowieka, potem dopiero ustrój? Należy zmieniać ustrój — on dopiero kształtuje nowego człowieka. Bez spółdzielni produkcyjnej chłop pozostałby po staremu zamknięty w swej egoistycznej, sobkowskiej, potwornie ciasnej skorupie społecznej obojętności. Dopiero spółdzielnie tworzą innego człowieka, zasypując przepaść psychiczną, jaka istniała dotąd między ludźmi z miasta i ze wsi.

Kazimierz Koźniewski

JERZY SKÓRNICKI

Nowe przekłady z literatury czechosłowackiej

Kiedy się w pamięci przebiega bogaty zespół nazwisk autorów i tytułów dzieł czeskich przyswojonych polskiemu czytelnikowi, mimo woli nasuwa się pytanie, jak też to było dawniej — przed wrześniem, jaki dorobek zastaliśmy w tej dziedzinie. Pytanie bardzo pouczające. Dawniej był bowiem Karol Czapek — jedyny pisarz, który doczekał się przekładu. Ale i on nie był właściwie rozumiany. Główne zainteresowanie budziły jego utopijne pomysły wybawienia świata, zaś trudny realizm „Hordubala" czy „Zwyczajnego życia" leżał zupełnie poza granicami ówczesnego „znawstwa" literackiego. Analizę ograniczonego, ale wyraźnego protestu klasyka mieszczańskiej literatury w dobie imperializmu, zastępowały gorące zachwyty nad wymyślnym arealizmem konstrukcji niektórych jego powieści.

Żeby nie popełnić nieścisłości: czytywano u nas jeszcze Haszkowego „Szwejka". Nikt jednak nie wczytał się w niego na tyle, by w książce czeskiego komunisty odkryć wewnętrzną logikę i kierunek drwiny. „Przygody dzielnego wojaka Szwejka" — traktowano jako magazyn dowcipów, anegdot, historyjek.

Trudno byłoby się kusić o sporządzenie na poczekaniu pełnego bilansu naszych osiągnięć na polu kulturalnego, a choćby tylko literackiego, zbliżenia narodów. Zmiany w układzie stosunków kulturalnych między Polską a Ludową Republiką Czechosłowacką są prostym wynikiem olbrzymich, rewolucyjnych przeobrażeń, jakich dokonały oba narody.

Rynek wydawniczy żywo zareagował na ten nowy układ: Pujmanowa, Fuczik, Majerowa, Rzezacz, Olbrach, Glazarowa, Jilemnicki... Wyliczanie pozycji przekładów dałoby niemal pełny katalog pisarzy proletariackiego nurtu. Ambicją naszych spółdzielczych i państwowych wydawnictw stało się możliwe najpełniejsze wydobycie realistycznych tradycji czeskiej literatury międzywojennej. Nie na tym koniec: sięgnęliśmy także po klasyków. Stąd Bożena Niemcowa, stąd kilka przekładów z Alojzego Jiraska.

Mimo olbrzymiego postępu dały się tu jednak odczuć pewne niedomagania. Nasz ruch edytorski z zakresu literatury czeskiej począł wykazywać objawy rozszerzenia się w raz ustalonych ramach: czerpał obficie z czeskiego dwudziestolecia międzywojennego, wyraźnie ociągając się z wydawnictwem dzieł najnowszych, powojennych.

Z tym większą radością należy przywitać nową serię czeskich przekładów, przynosi ona bowiem zapowiedzi rychłej likwidacji tych niedociągnięć. Z samych tylko tytułów („Droga otwarta", „Nad nami świta", „Słońce już wyjrzało") przebija jedna z zasadniczych cech, określających charakter nowego pisarstwa: twórczy, radosny optymizm — literacki odpowiednik szerokiego oddechu naszych czasów.

W ŚWIETLE REPORTAŻU

Czeski reportaż socjalistyczny ma już swoją dobrą szkołę. Nad wydoskonaleniem tej niezawodnej broni literackiej pracował przez długie lata swej dziennikarskiej działalności — Juliusz Fuczik. Tom reportaży ze Związku Radzieckiego „W kraju, gdzie jutro jest już dniem wczorajszym" i „Reportaż spod szubienicy" to dzieła, które zrodziła głęboka myśl polityczna, szczery humanizm i wysoki kunszt pisarski.

Jan Neuls, pisząc swój zbiór reportaży o czeskiej dwulatce 1947—1948 na odcinku węglowym *), podkreśla swą ideową łączność z dziełem Juliusza Fuczika. Cytaty ze skreślonych niegdyś przez burżuazyjną cenzurę tych kart jego książki o kraju Rad, które zawierały obrazy położenia klasy robotniczej w Czechosłowacji i innych krajach kapitalistycznych — stanowią dla Neulsa punkt wyjścia dla wielkiego zaprzeczenia tych czasów w obrazach życia robotniczego w Ludowej Republice. „Patrz, towarzyszu Fuczik, spełniamy twój testament".

Tomik Neulsa zawiera dwa cykle reportażowych obrazów. W pierwszym jesteśmy świadkami dwu zwycięskich batalii czeskiego ludu pracy: walki z ciężką zimą 1947 roku, grożącą załamaniem pierwszych miesięcy dwulatki — i walki o zachowanie robotniczej władzy w dniach lutowego przewrotu. Górnicy ostrawsko-karwińskiego zagłębia, którzy potrafili obronić swą dwulatkę przed oszczerczymi atakami, prowokacją i sabotażem ze strony rodzimej burżuazji, twardo stanęli na wezwanie Partii w obronie swej władzy przed zakusami pseudosocjalistów—nacków (narodowi socjaliści), socjaldemokratów i „ludowców". Burżuazja poznała siłę odrodzonego Frontu Narodowego.

Drugi cykl obrazów dał tytuł całemu tomikowi: „Bitwa o węgiel". Na pół roku przed zakończeniem dwulatki wydajność poczęła spadać. Wydobycie spadło do 94%. Absencja, łazikostwo, wroga propaganda — zdemoralizowały załogę niejednej kopalni. Często ci sami ludzie, którzy w lutym bronili twardo Republiki i w dalszym ciągu gotowi byli w każdej chwili stanąć w jej obronie, nie mogli zrozumieć, że samo zdobycie władzy nie oznacza jeszcze przełamania wszystkich trudności, że socjalizm nie zaczyna się nazajutrz po zwycięstwie rewolucji. Nad prawidłowym rozwojem Ludowej Czechosłowacji czuwał jednak czołowy, świadomy, zorganizowany oddział klasy robotniczej — Komunistyczna Partia Czechosłowacji. Sprawa węgla stała się sprawą Partii. Rozpoczęły się narady wytwórcze, krytyka, samokrytyka — tłumaczono, że nieodzownym warunkiem zbudowania socjalizmu jest nowa organizacja, nowa wysoka wydajność wyzwolonej pracy. Powstały pierwsze szturmowe brygady, złożone z młodych komunistów. Pierwszą była brygada Otika Borzuckiego z „Jeremenka".

Żeby oddać dynamikę walki o węgiel z właściwym realizmem Neuls wybrał na bohaterów swych reportażowych obrazów wielu członków Partii: Wychniczka, sekretarza Wojewódzkiego Komitetu — Fuchsa, braci Borzuckich. 18 grudnia syreny kopalni ostrawsko-karwińskiego zagłębia obwieściły krajowi pełne wykonanie planu.

Książka Neulsa wykazuje duże opanowanie techniki socjalistycznego reportażu. Ogólna idea wyrasta w jego książce z przemyślanego zestawienia zwartych, wyraźnie zarysowanych obrazów. Obrazy te zamyka jędrnym, prostym językiem politycznym wyrażony komentarz.

KSIĄŻKA O GÓRNIKACH

W podtytule swego zbiorku Jerzy Marek nazwał swe utwory gawędami górniczymi *). Właściwe gawędy otwierają tylko i zamykają zbiorek. „Pogwarka w starej kolonii górniczej" i „Pogwarka w nowej osadzie górniczej" to prawdziwe arcydzieła ludowego gawędziarstwa.

W artystycznie jednolitych ramach tych pogwarek porozrzucał Jerzy Marek obrazki z kilkudziesięciu lat górniczego życia. Przeważa w nich życie nowe, bo właściwie tylko pierwsze opowiadanie („Żandarm") należy całkowicie do czasów „pogwarki na starej kolonii", drugie zaś już z kolei stanowi pomost między dawnymi a nowymi laty („Jedno ludzkie życie"). Historia o życiu matki Stlonkalki żywo przypomina pisarstwo Marii Majerowej, szczególnie jej „Balladę górniczą". Na korzyść Marka trzeba jednak zanotować, że uniknął on tych naturalistycznych potknięć, które zaszkodziły książce Majerowej.

Wiele problemów nowego górniczego życia znalazło swe doskonałe odzwierciedlenie w opowiadaniach czeskiego pisarza: walka z okupantem („O sprytnym nadszygarze"), obejmowanie zakładów pracy przez właściwych gospodarzy („Człowiek z karabinem"), bohaterstwo pracy („Żołnierze"). Szczególnie interesujące i cenne są te obrazki, których tematem są przemiany dokonywające się w psychice ludzi górniczego okręgu pod naporem nowej rzeczywistości („Upominek ślubny" i „Nowe życie"). Walkę polityczną czeskiego ludu reprezentuje emerytowany górnik Rzyka, organizujący w swej rodzimej wiosce Front Narodowy w brzemiennych w następstwa dniach lutowych („Luty").

Niektórym obrazom z nowel Jerzego Marka zabrakło mobilizującej mocy, tak silnie oddziaływającej z kart politycznego reportażu Neulsa. Ogólna artystyczna wymowa zbiorku Marka zyskałaby gdyby wśród pozytywnych ludzi górniczych opowiadań pojawił się taki Otik Borzucki z książki Neulsa, organizator brygady szturmowej, stawiającej sobie za cel zwiększenie wydobycia na kopalni. Nowele Marka nie wydobywają bowiem tego ważnego momentu, jaki ukazał Neuls w reportażowym skrócie: obrazu przodujących górników w akcji, w produkcji.

DROGA OTWARTA

Książka Aleny Bernaszkowej *) jest jej pisarskim debiutem. W maju bieżącego roku pisarka została odznaczona Nagrodą Państwową II stopnia. Książka ta zasługuje na tym baczniejszą uwagę, że wiele jest w niej problemów wspólnych z naszymi pierwszymi powieściami realizmu socjalistycznego.

„Droga otwarta" Bernaszkowej to powieść silnie rozwijającego się w ramach estetyki realizmu socjalistycznego typu, w którym zagadnienia produkcji i związany z nią proces przekształceń świadomości człowieka stanowią zasadniczą ideę dzieła. Czytelnikowi książki czeskiej pisarki narzuca się porównanie z książką naszego pisarza — Pytlakowskiego: „Fundamenty". Sytuacja wyjściowa jest w obu książkach łudząco podobna — rezultat krańcowo różny. Bernaszkowa wykazała większą dojrzałość w sposobie postawienia i artystycznego rozwiązania zasadniczych problemów powieści.

U Pytlakowskiego — Niemcy, uchodząc z okrążonego przez Wojska Radzieckie Wrocławia, usiłują zniszczyć tamtejszą fabrykę wagonów. Ratują ją polscy robotnicy. Dalszy bieg akcji ma ukazać dzieje uruchamiania gigantycznych zakładów w niełatwych czasach powojennych trudności. Mimo tych słusznych założeń książki, Pytla-

*) Jan Neuls. Bitwa o węgiel. Tłumaczyła Krystyna Żebrowska. Czytelnik 1951. str. 259 + 1 nlb.

*) Jerzy Marek. Nad nami świta. Przekład autoryzowany Zdzisława Hierowskiego. P. I. W. str. 258+4 nlb.

*) Alena Bernaszkowa. Droga otwarta. Przetłumaczyła J. Bułakowska. Czytelnik 1951, str. 309+3 nlb.

Polska w dziełach malarzy czechosłowackich

W latach 1947—51 otwarto w stolicy Czechosłowacji 5 wystaw malarskich, obrazujących dorobek artystyczny Czechów i Słowaków na temat powojennej Polski. Były to wystawy: „Warszawa 1946" J. Paura (1947), „Polska rajem wędrowców" P. Kamenicka i V. Boukala (1948), „Szkice z Polski" St. Kovara (1949), „Polska zabliźnia rany wojny" J. Jindry (1949) oraz ogólny przegląd „poloniców" 3 malarzy czeskich (B. S. Urbana, Fr. Jiroudka, V. Kratochvila) i 2 malarzy słowackich (L. Fulli, E. Semiana) zatytułowany: „Z cesty nasich vytvarniku po Polsku" („Z wędrówki artystycznej naszych malarzy po Polsce" — 1951).

Na ostatniej z wystaw, jaka odbyła się staraniem tutejszego Ministerstwa Informacji, i Związku Artystów - Plastyków „PURKYNE" — reprezentowanych było 70 obrazów i szkiców. Cyfra ta jest tylko znikomą cząstką wszystkiego, co dotąd po roku 1945 stworzono na tym polu. W Czechosłowacji, w ciągu ostatnich 5 lat powstało bowiem ponad c z t e r y s t a (!) różnego rodzaju prac malarskich na tematy polskie. Nikt tych rzeczy nie kolekcjonuje, choćby w reprodukcjach fotograficznych, choćby w prowizorycznym skorowidzu — obrazy z dnia na dzień wędrują do rąk prywatnych, zakupują je instytucje, ministerstwa, cudzoziemcy; w taki więc sposób zatracamy — naprawdę nierozsądnie — możność chronologicznej dokumentacji tego jedynego w dziejach polsko - czechosłowackich dorobku artystycznego, dokonanego w tak krótkim okresie. Dzieł tych nie inspirowała ambicja czy względy finansowe poszczególnych malarzy, ale — jak każdy z nich podkreśla — zawrotny rozmach naszej odbudowy, „prawdziwie ludzki, realny stosunek do polskiej rzeczywistości, wyzbyty tkliwego sentymentu, stosunek do wysiłku pracy, jakiego — obok osiągnięć Związku Radzieckiego — nie oglądała bodaj historia". (cytat z przedmowy B. S. Urbana do katalogu wystawowego).

alk.

Jaromir Jindra — Gdańsk 1948.

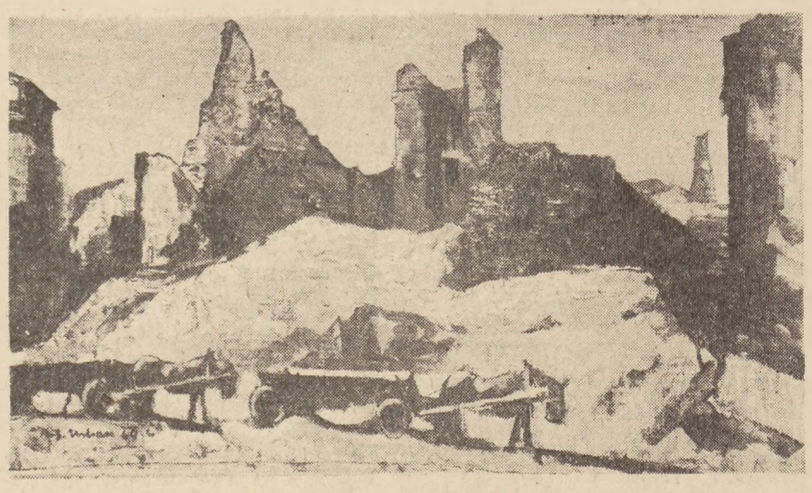

B. S. Urban — Warszawskie furmanki.

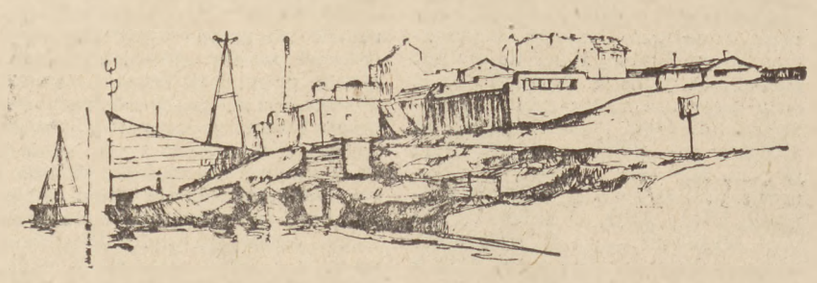

Petr Kamenicek — Grudziądz od strony Wisły.

Milan Zezula — Adam Mickiewicz (szkic do obrazu).

Vilem Kratochvil — Trasa W — Z.

kowski nie potrafił ich należycie wyzyskać, odrywając jej akcję od najbardziej istotnych spraw i konfliktów samej załogi PAFAWAG-u. U Bernaszkowej — okrążający manewr Wojsk Radzieckich ocala olbrzymi kombinat produkujący syntetyczną benzynę. Gospodarzami Hydraku zostają robotnicy. Heroiczny wysiłek pionierskiej grupy kilkudziesięciu komunistów pozwoli po upływie kilku miesięcy odgruzowywania i remontowania najważniejszych działów — uruchomić produkcję. Kilka miesięcy wcześniej robotnicy nie znali nawet dokładnego przebiegu procesów produkcji. Zakłady im. Józefa Stalina w Moście stały się później ważną pozycją planu dwuletniego: znalazło w nich zatrudnienie kilka tysięcy robotników, a ich produkcja pozwoliła na uniezależnienie gospodarki krajowej od importu paliw płynnych i innych surowców chemicznych.

„Droga otwarta" Bernaszkowej nie jest tylko kroniką dziejów benzynowego kombinatu. W życiu zakładów i ich załogi znalazły swój wyraz doświadczenia niemal że czterech lat walki czeskich robotników o utrzymanie plonów zwycięskiej wojny z faszyzmem. Trudnymi drogami szedł realizm Bernaszkowej. Zwycięskie rozwiązanie trudności zawdzięcza pisarka oparciu fabuły powieści o życie kolektywu powieściowych bohaterów. Kolektyw jest dość szeroki, by pomieścić i komunistów, i bezpartyjnych, młodych i starych, inteligencję techniczną i kobiety. Dzięki tak zorganizowanemu kolektywowi każda nowa sprawa, każde nowe zagadnienie ma swoją głęboką motywację artystyczną. Terenem akcji jest górniczy okręg w okolicach Mostu. Wybór terenu akcji ma tu zasadnicze znaczenie — wzbogaca on ideologiczną wymowę powieści o nowe wartości, bogate tradycją czeskiego ruchu robotniczego. Wśród takich ludzi jak stary Lebeda, Boubel, Adamec, zdobywali swą rewolucyjną praktykę Klement Gottwald i Zapotocky.

W podwójnym ogniu hartowali się ludzie mosteckich zakładów: walki politycznej i walki o produkcję. Cios za ciosem wymierzała w dzieło robotniczego patriotyzmu czeska burżuazja, wiążąca swe polityczne nadzieje z gospodarczym uzależnieniem kraju od zachodniego imperializmu. Sabotaż, utrudnianie przebiegu produkcji, szpiegostwo, plotka, sianie zawiści i potajemne magazynowanie broni — oto środki działania partii narodowo-socjalistycznej w walce z czeskimi komunistami. Pierwsze skrzypce w dywersyjnej walce przeciw Czeskiej Republice grali „wysoko postawieni ministerialni" urzędnicy — dr Krejze, inż. Leksa. Oddana z pełnym realizmem atmosfera walki politycznej, prowadzącej do lutowego rozwiązania — pozwoliła zdwoić dramatyczne napięcie przebiegu akcji i — co najważniejsze — utrzymała problematykę życia zakładów w Moście na płaszczyźnie życia ogólnonarodowego.

Jednej tylko partii książki, tej — która opisuje miesiące odbudowy fabryki, można by zarzucać pewną tendencję do zamykania problematyki w kręgu wewnętrznych zagadnień zakładu. Nie ulega wątpliwości, że w pierwszym okresie po wyzwoleniu burżuazja czeska znalazła się w paraliżującym jej działalność popłochu i rozsypce, że widok radzieckich czołgów i uzbrojonych robotników działał na nią obezwładniająco. Ten stan rzeczy nie zwalnia jednak pisarki od zarysowania elementów przyszłego układu sytuacji politycznej. W niedługi bowiem czas później burżuazja dokonała przegrupowań, poczęła organizować przyszłe ośrodki dyspozycyjne: Krejze i Leksa przechodzili przeszkolenie w ministerstwach i obcych ambasadach.

Być może — w powyższym wypadku wpłynął na pisarkę hamująco autentyzm opisywanych wypadków. Bo trzeba wiedzieć, że książka Bernaszkowej tkwi korzeniami w autentycznych wydarzeniach rozgrywających się na terenie fabryki syntetycznych paliw płynnych w Moście. W ogóle jednak pisarka tak dalece wypełniła swą powieść treściami wagi pierwszorzędnej dla zobrazowania na przykładzie losów jednej fabryki skomplikowanych procesów przekształcania się Czechosłowacji w państwo demokracji ludowej, że można by jej książce przyznać rangę powieściowego przewodnika po czechosłowackiej współczesności. Prawdą jest, że nie brak w książce Bernaszkowej reportażowych skrótów i uproszczeń, ale prawdą jest również i to, że młoda pisarka potrafiła w swym debiucie rozwiązać problem powieści — „przekroju społecznego".

DROGI CZESKIEJ WSI

Robotnicy benzynowego kombinatu z książki Bernaszkowej, powracając z organizowanych przez Radę Zakładową akcji pomocy technicznej dla wsi, prowadzili długie i ożywione dyskusje na tematy związane z sytuacją społeczno - gospodarczą wsi czechosłowackiej. Książka Oskara Malisza*) oświetla nam właśnie zagadnienie wsi czeskiej w pierwszych latach Ludowej Republiki.

Walka o wytyczenie wsi czechosłowackiej nowych dróg rozwoju nie była łatwa. Program koszycki— społeczno - ustrojowy odpowiednik naszego Manifestu Lipcowego, zapowiadał podjęcie programu reformy rolnej: likwidację majątków tych obszarników, którzy splamili się jawną kolaboracją z faszystowskim okupantem. W pierwszym jednak okresie ludowo-demokratycznej władzy wielu obszarników potrafiło ujść sprawiedliwości drogą wykorzystania dawnych kontaktów w sferach starej, urzędniczej inteligencji. Ochłonąwszy zaś z pierwszego uderzenia rewolucyjnych reform — podnieśli głowę. Roiły im się w głowie projekty agrarnej opozycji. W poprzek tym projektom przywrócenia starego porządku stanęli bezrolni i małorolni chłopi, realizując swą postawą ideę rozejmu robotniczo-chłopskiego w walce o utwierdzenie i rozszerzenie zdobyczy demokratycznej władzy w swym kraju. Ambicją książki Oskara Malisza jest wydobycie atmosfery ostrej walki klasowej w łonie wsi czechosłowackiej.

W życiu wioski Wranice, w której Malisz umiejscowił akcję swej powieści, z całą ostrością występowały omówione konflikty. We Wranicach miał swój majątek pan Ropach — we własnym mniemaniu przyszły dyktator obszarniczo-kapitalistycznej Czechosłowacji. W przerwach między okresami pobytu w areszcie, do którego wiodły go przypadkowo odsłaniane świadectwa jego współpracy z okupantem, pan Ropach zajmował się organizowaniem ogólnokrajowego strajku obszarników i kułaków. Lisimi zabiegami usiłował on związać ze swym programem również i chłopów. Główny wątek akcji powieściowej w książce Malisza stanowi właśnie walka brukarza Bora, jedynego uświadomionego mieszkańca wsi, z usiłowaniami dziedzica. W toku walki z miejscowym obszarnikiem wieś wranicka wyszła zdecydowanie z okopów konserwatyzmu i nieuświadomienia. Rozparcelowane grunta Ropacha będzie już uprawiał traktor z wranickiej stacji maszynowej.

Malisz sięgnął w swej powieści po trudny temat. Swiadczy to o dużych ambicjach pisarskich, jednocześnie jednak nakłada na pisarza zdwojone obowiązki. Malisz nie uniknął poważnych potknięć. Kamieniarz Bor jako nosiciel idei sojuszu robotniczo-chłopskiego został potraktowany zbyt jednostkowo. Pisarz nie zadał sobie trudu, by wyraźniej pokazać korzenie jego postawy politycznej, by ukazać znaczenie ruchu łączności proletariatu miejskiego z wiejskim na szerszym tle choćby tylko organizacji partyjnej Bora. W ujęciu Malisza cała działalność Bora nosi wyraźne cechy wolontariuszowskiej partyzantki. Są również w książce Malisza duże niedostatki natury literackiej. W rozwijaniu wątków akcji oparł się pisarz zbyt jednostronnie o małe zindywidualizowane dialogi i rozwlekłe rozważania wewnętrzne bohaterów. Jedyną drogą przezwyciężenia wynikających stąd braków jest dla Malisza większa dbałość o bardziej plastyczną konstrukcję obrazów przedstawianej rzeczywistości, pełniejsze opanowanie metody realistycznego opisu.

*

W zestawieniu z doskonałymi pozycjami Bernaszkowej, Marka, Neulsa — powieść Malisza stanowi słabsze ogniwo, niemniej przynosi ona ważne dopełnienie ogólnego obrazu drogi ludu czeskiego ku ustrojowi demokracji ludowej. Zespół nowych przekładów z literatury czechosłowackiej jest bliski polskiemu czytelnikowi bliskością wspólnych doświadczeń przebytej drogi.

Prawie wszystkie nowe książki czeskie zaopatrzyli wydawcy notami o utworze i jego autorze. Świadczy to o wzrastającej dbałości naszych wydawnictw o rosnące szeregi czytelnicze, przybliża znacznie autora i samą książkę jej odbiorcy. Dzięki nowym pozycjom z zakresu literatury czechosłowackiej — rozpatrzyliśmy się nieco w rozwoju czeskiej powieści, czeskiej noweli i reportażu. Pozostaje jeszcze jedna droga rozwijania wydawniczej inicjatywy — nietknięte dotychczas pole czeskiej poezji. Najrozsądniejszym spełnieniem postulatu byłoby chyba wydanie dobrze opracowanej antologii poetów współczesnych, wzbogaconych wydobyciem postępowych tradycji czeskiej poezji — w okresie międzywojennym.

Jerzy Skórnicki

*) Oskar Malisz. Słońce już wyjrzało. Przekład A. Brosza. Czytelnik 1951. str. 277+1 nlb.

ERYK SOJKA

OBANDAŻOWANA WARSZAWA

Nie dziwcie się, bywa tak,
wystarczy sobie to wyobrazić:
raniony człowiek, biały bandaż —
a pod bandażem goi się rana...

A teraz popatrz — Warszawa;
tylekroć razy ranami zsiekana
jak żadna inna męczennica świata.

Przyszli doktorzy:
cieśla, murarz, architekt —
i rusztowania, jak bandaż,
oplotły miasto rozbite.

Zwolna pod bandażem nikną wszystkie rany.
Nie widzisz nic, lecz czujesz, że tyle się dzieje:
pod każdą deską i tam pod belkami
pulsuje nowe życie,
krew tętni,
rosną ściany
i dachów śmigłe wiązania.

W drewnianej wieży winda goni, skrzeczy:
w górę i na dół — jakbyś ranę zszywał.
Murarzy tylu — jak krwi ciałek białych.
Każdy z nich każdą cegłę gładzi, wita,
i w rękach jego ona ożywa...

Któregoś ranka bandaż ktoś odwinie:

Warszawa, sto razy zryta wybuchami bomb,
tuli do warg swych spękanych
nowy,
biały
dom.

(1950)

Przełożył z czeskiego **Aleksander Kulisiewicz**

JAN PILARZ

NA TRASIE W – Z

A gdy do Pragi wrócę, nad moją Wełtawą
długo wspominać będę ciebie, o Warszawo...

Jak to Bednarską szedłem — upalne było lato,
na Mariensztacie, w słońcu, zasychał lepki beton,

brukarze kostki kładli, rzucali, podawali,
z okien różowych dziewczęta różowy uśmiech słały.

Syczą, skaczą iskierki lśniących lampek tlenowych,
tak jakbyś nagle miłość rozpalił w oczach młodych.

jak czasem w nocy pociąg rozświetli torów szlaki,
a światła jego suną — ogromne, ciche ptaki...

W ogródku szelest traw, jakbyś na palcach kroczył,
nad Wisłą cichy zmierzch zmęczone przymknął oczy —

a ja spacerujący po Dąbrowskim moście
patrzę, jak w moich oczach nowe życie rośnie.

I długo szedłem Trasą, na wschód. Stąd, ze wschodu,
przyfrunęła wolność do naszych narodów.

Wysoko rośnie radość, wysoko nad Warszawę,
i płynie pieśń murarska o nowych ludzkich prawach.

I każdy nowy dom, i każdy człowiek wolny
ostrzega podżegaczy: nie będzie nowej wojny!

(1951)

Przełożył z czeskiego **Aleksander Kulisiewicz**

JAN REYCHMAN

Petöfi po polsku

I.

„Między węgierską demokracją ludową a wielką postępową przeszłością narodu węgierskiego — Petöfi stanowi ogniwo najbardziej żywe" — pisał w swym artykule o Petöfim w r. 1948 József Révai. Rzeczywiście wszystko co jest najbardziej postępowe w tradycji węgierskiej uosobione jest w postaci Petöfiego, a wszystko, co węgierska Demokracja Ludowa obecnie realizuje wyprowadza się z tej myśli, której rzecznikiem był Petöfi.

Przebiegł przez życie jak meteor. Miał zaledwie lat 26, gdy zginął. Ale w tym krótkim życiu tyle zaznał, stworzył, tyle dał z siebie, w takim skondensowaniu przeżył tyle najróżniejszych stanów, nastrojów, że gdy dziś mówimy o rozmaitych etapach, okresach, przejawach jego wszechstronnej działalności, trudno nam uwierzyć, że wszystko to zmieściło się w jednym zaledwie życiu, w tych 26 latach.

Pamięć Petöfiego droga jest Węgrom. Ale droga jest i nam Polakom. Dobrze więc, że w Polsce Ludowej spłacony został dług, który naród polski winien był pamięci wielkiego poety rewolucjonisty, przyjaciela Polaków, i po raz pierwszy wydany został krytyczny wybór poezji Al. Petöfiego*).

II.

Aleksander Petöfi urodził się w r. 1823. Ojciec jego był rzeźnikiem. Sam zaznał za młodu nędzy i poniewierki. Życie jego, jak sam to w jednym z wierszy stwierdza, to była „wyboista droga i twarda". Był wędrownym aktorem, potem żył z tłumaczeń.

Wcześnie chwycił za pióro. Nie miał lat dwudziestu, jak zaczął pisywać pierwsze wiersze. Za tymi poszły następne. Rychło poezje młodego poety z Alföldu zaczęły być rozchwytywane, zwłaszcza przez młodzież.

Czemu zawdzięczał Petöfi rychłą popularność swoich utworów, sławę swego imienia?

Węgry z lat czterdziestych XIX wieku to jeszcze Węgry schyłku feudalizmu, wielkich nierówności społecznych, obrzymich latyfundiów, zacofanych stosunków, hamujących rozwój kraju ku kapitalizmowi. Nędza wieśniaka sąsiadowała tu z przepychem magnata. Sytuacja taka wygodna była dla dworu wiedeńskiego, pragnącego przekształcić Węgry w teren kolonialnej eksploatacji surowcowej.

W takiej sytuacji na firmamencie węgierskiego życia pojawiła się gwiazda Petöfiego. Młody poeta przeciwstawił się panującej w poezji węgierskiej szkole klasycznej; wystąpił przeciw skostnieniu form, przeciw oddaleniu się literatury od życia. Wystąpienie Petöfiego było rewolucyjne. Pełną garścią sięgnął do bogatej skarbnicy węgierskiej poezji ludowej, do jędrnego języka węgierskiego ludu. Naprzeciw koturnowym postaciom węgierskiej szkoły klasycznej postawił proste postaci ludu. Zerwał z dotychczasową metryką, zastępując ją nową, opartą na poezji ludowej.

„Jeśli lud będzie panował w poezji, będzie on bliski panowaniu również i w polityce" pisał w r. 1847 do swego towarzysza, wielkiego poety romantycznego Jana Arányego. Czyż może być lepsze sformułowanie zadań poezji? Temu credo pozostał Petöfi wierny przez całe życie. Smagał bezlitosnym biczem magnaterię węgierską, zapatrzoną w zagranicę, obcą interesom narodu. „Krwawy pot krainy żyznej składacie u stóp bałwanów na ołtarzu cudzoziemczyzny" — pisał z oburzeniem o arystokratach węgierskich w r. 1844. „Tu głodne tłumy marnieją — wy tam lejecie szampany" — rzucał im w twarz oskarżenie. Ale kpił także ze średniego kołtuniastego szlachcica, nadziamego blichtrem pustej tradycji, pełnego uczucia wyższości nad chłopem, pogardy dla nauki, siedzącego po uszy w długach, opoja i leniucha. „Żyję, bo nie wiem, co to jest praca" — tak z dumą mówi ów prawdziwy węgierski szlachcic. „Nic mnie nie obchodzi ojczyzna" — tak formułuje swe credo patriotyczne rzekomy spadkobierca wielkich węgierskich tradycji.

Działalność Petöfiego wywołała wściekłość krytyki reakcyjnej. Gdy rzuciła się nań zgraja pismaków, zarzucających poecie odstępstwo od „przyjętych reguł", poeta odpowiedział im wspaniałym, ostrym wierszem, zaczynającym się od słów:

„Rytmowi poezji, wiersza praw
nie wbiła we mnie rózga szkolna.
Przepisów — od najmłodszych lat
Nie uznawała dusza wolna.
Pędziłem w świat pod szumny wiatr
Gwiżdżąc i kpiąc z belferskich reguł
Ja jestem dziki bujny kwiat
Żywiołu nieokiełznanego"

(przekład J. Tuwima)

Kosmopolityzmowi, czołobitności przed zagranicą, lenistwu, rozpiciu i nieuctwu szlachty przeciwstawia Petöfi prosty lud węgierski. On jest spadkobiercą wielkich węgierskich tradycji wolnościowych, szczytnych tradycji narodu węgierskiego, którego miecz bronił Europy przed inwazjami tureckimi. Z dumą wspomina o powstaniu przywódcy chłopów, zrywających się w XVI wieku przeciw jarzmu pańskiemu pod wodzą Jerzego Doży, którego „na tronie z batem spalono", ale choć skonało ciało, to „duch nie spłonął".

Petöfi był nie tylko autorem ciętych wierszy satyrycznych, politycznych, oskarżycielskich. Spod pióra jego wychodziła też czysta liryka miłosna, jakże szczera i bezpośrednia po sztywnych regułach klasyków. Spod pióra jego wychodziły świetne opisy natury, uroku wsi, piękna niziny węgierskiej, stepów Alföldu. Efektownym górskim krajobrazom przeciwstawił Petöfi poezję nieskończonej równiny z rzadkimi studniami i stadami koni. Wprowadził Alföld do poezji, odkrył jego piękno przed ludźmi przywykłymi do ciągłych zachwytów nad Alpami i zamkami doliny Renu. Odkrył Alföld, podobnie jak Puszkin i Lermontow odkryli Kaukaz, jak inni odkryli urok morza czy puszcz przepastnych.

Próbowano przeciwstawić Petöfiego liryka Petöfiemu rewolucjoniście. Nędzni komentatorzy z epoki imperializmu usiłowali rewolucyjną twórczość Petöfiego tłumaczyć jako jakieś zwekslowanie prawdziwego nurtu poetyckiego, tak, jak w Polsce tłumaczono, iż okres „Trybuny Ludów" w życiu Mickiewicza to wstydliwy okres omotania poety przez obce myśli. Burżuazyjny krytyk węgierski Gyulai uważał ten okres twórczości Petöfiego za okres opętania poety przez „natrętne myśli", za okres młodzieńczych fantazji. Ale próżne, nadaremne były wysiłki burżuazyjnych historyków literatury, aby zmącić obraz twórczości poety, który pisał, że „zdrowszy prosty lud, mój brat — ten cieszy się z rozkwitu mego". Nic nie zdołało rozerwać więzi między poetą a wielkim postępowym nurtem narodu węgierskiego.

Tego, że rewolucyjno - demokratyczne elementy w twórczości poety nie tylko nie były „natrętnymi myślami" dla Petöfiego, ale były właśnie najistotniejszym elementem, kwintesencją jego twórczości, dowiódł rok 1848. Zerwał się lud węgierski do powstania. Na czoło ruchu wysunęła się drobna, liberalna szlachta, pragnąca złamać okowy feudalizmu, aby pchnąć gospodarkę kraju ku kapitalizmowi. Ale ten szlachecki charakter powstania odbił się na jego połowiczności. Hasła wolnościowe wiązały się z obawą przed daniem chłopu pełnej wolności. Niepodległość dla Węgrów z równoczesną bojaźnią przed równouprawnieniem Rumunów i Słowian.

Petöfi rzucił się w wir rewolucji. W niej odnalazł sens swego życia, ujście dla swej tęsknoty za wielkością i bohaterstwem. Działał, pisał, przemieniał, agitował, organizował. Z jego pieśnią na ustach lud peszteński wyrwał 15 marca inicjatywę rewolucyjną z rąk stanów i ujął ją w swe ręce.

Nadszedł najmocniejszy okres w twórczości poety, kiedy pełną piersią oddychał atmosferą rewolucji. Wiersze jego rozbrzmiewały dumą patriotyczną. „Znów Węgier stał się Węgrem — bo kajdany skruszył swe..." Pieśń „Talpra magyar!" stała się hymnem rewolucji. W wierszach swych drwił z tyranów, królom zapowiadał szubienicę, szydził z czczego gadulstwa pseudopatriotów sejmowych.

Petöfi widział, że kierująca rewolucją drobna szlachta prze do likwidacji feudalizmu na rzecz burżuazji. Pojął on, że celem rewolucji musi być jednak ostateczna likwidacja feudalizmu nie na rzecz burżuazji, ale na rzecz ludu, tego ludu, który sporadycznymi odruchami buntów chłopskich dawał znać, że jest on istotnie napędową siłą rewolucji. Petöfi związał się z plebejskim lewym skrzydłem obozu rewolucji. Walczył o władzę dla lewicowego „Komitetu Obrony Narodowej" (Honvédelmi Bizottság), walczył z kunkratorami, ugodowcami, zakapturzonymi reakcjonistami, przybierającymi teraz togi patriotyzmu.

Droga Petöfiego coraz bardziej zaczęła odchodzić od dróg liberalnej szlachty, dzierżącej ster rewolucji. Petöfi dusił się w atmosferze debat parlamentarnych, nie miał wspólnego języka z biurokratami, nie rozumiejącymi sensu rozgrywających się wydarzeń rewolucyjnych. Gdy ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie, zapragnął walczyć z bronią w ręku. Spotkał się jednak z tępym formalizmem, biurokratyzmem Mészárosów i Klapków. Już był u kresu cierpliwości. Już nie widział, czy znajdzie dla siebie miejsce, już był bliski załamania.

I wówczas na drodze swej napotkał Bema. Bem nie był związany z polskim obozem demokratycznym na emigracji, (choć nasi przyjaciele węgierscy gwałtownie chcą dziś z niego uczynić wielkiego rewolucjonistę), różniły go od niego rozmaite spory koteryjne, może w swej prostej żołnierskiej naturze sądził, że obóz Czartoryskiego będzie godniej reprezentował autorytet i tradycję żołnierską, niż rozkrzyczani demokraci. Bem był przede wszystkim wielkim wodzem o rewolucyjnej strategii, ojcem prostych żołnierzy, zwolennikiem żelaznej konsekwencji rewolucyjnej, walki z tyranią do końca bez żadnych ustępstw. Między starym polskim wodzem a młodym węgierskim poetą wzrosło przywiązanie, jak ojca do syna. „Ten stary, brzydki Polak będzie moim ojcem" — pisał z entuzjazmem Petöfi — „wygląda na bożka wojny; urodzony wśród huku dział... zaprawiony w walce o niepodległość. Nie dałbym go za wszystkich razem generałów węgierskich..."

Aleksander Petöfi

Petöfi przeżył teraz swe dni triumfu, dni chwały. Bem uczynił go adiutantem, pragnąc go ochronić przed walką, Petöfi jednak rwał się na pole bitwy przy boku swego wodza. W przerwach między jedną bitwą a drugą powstawały jego nieśmiertelne utwory: „Cztery dni bito z dział", „W bitwie", „A ja powiadam, że Węgry zwyciężą", „Armia Siedmiogrodzka", „Pod Vajda-Hunyad", „Szanujcie prostych żołnierzy". Przy boku Bema odbył wspaniałą kampanię siedmiogrodzką, gdy Bem ze znikomą garstką ochotników gromił wspaniale zaopatrzone armie Puchnera. W huku dział, w bohaterskiej atmosferze tej walki rewolucyjnej odnalazł jeszcze jedną swą naturę. Zaklinał go Bem, aby nie narażał życia, wszak Petöfi jest tylko jeden...

Otarł się z daleka Mickiewicz o Powstanie Listopadowe. Z papierami dyplomatycznymi wymknął się Słowacki z kotła wojennego. Nie zginął nawet Byron na polu walki, lecz z chorób nabytych w ciężkich warunkach greckiej wojny o niepodległość. Jeden Petöfi znalazł śmierć, jaką sam przewidział, o jakiej marzył w słynnym wierszu „Dręczy mnie ta myśl jedyna" w słowach „Tam na polu bitwy niechaj padnę w boju — niechaj tam stratowany zostanę na łące..." Nie okazał żadnych wahań, załamań w swej postawie rewolucyjnej. I padł. W morderczej bitwie pod Segesvár z interwentami carskimi zwalił się pod poetą jego wierny rumak. Stratowały ciało Petöfiego kozackie konie. Nie odnaleziono nawet zwłok. Zginął tak, jak żył: odważnie, bohatersko. Może szczątki jego złożono do wspólnego grobu z tymi prostymi żołnierzami, których tak kochał i którym poświęcił piękny wiersz?

Lecz tak, jak pisał Petöfi o Jerzym Dozsy, tak i o nim możemy, trawestując jego własne słowa, powiedzieć, że „skonało ciało — duch nie zginął". Żył dalej budząc wszystko, co w życiu Węgier było najszlachetniejszego. Stanowił żywe wspomnienie, dookoła którego skupiało się wszystko, co najpostępowsze, co realizowało jego idee rewolucyjne.

Obóz reakcji próbował przywłaszczyć sobie pamięć Petöfiego. Fałszowano przed młodzieżą jego twórczość. Starano się uczynić z niego wyłącznie liryka, wykreślić z pamięci narodu jego utwory polityczne, satyrę społeczną. Za czasów dyktatury faszystowskiej z okazji stulecia urodzin poety w r. 1923 pozwolono na obchód i wydanie pism poety, ale okrojone i dostosowane do potrzeb reżimu.

Pozostał za to Petöfi drogim obozowi demokracji, obozowi postępu. Jego wizerunek umieściła Węgierska Republika Rad na znaczkach pocztowych w r. 1919 obok podobizn Jerzego Dozsy, przywódcy jakobinów węgierskich z r. 1794 Martinovicsa i wodza plebejskiego odłamu rewolucji 1849 Michała Tancsicsa. W czasach największego natężenia terroru faszystowskiego znaczek z Petöfim był w r. 1942 symbolem frontu niepodległościowego, kierowanego przez Węgierską Partię Komunistyczną.

Wyzwolenie Węgier przez Armię Radziecką i powstanie Węgierskiej Republiki Ludowej przywróciło

(Dokończenie na str. 11-ej)

*) Sándor Petöfi. Wybór poezji. Wybrał, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Juliusz W. Gomulicki. Warszawa 1951, Spółdz. Wyd. Ośw. „Czytelnik",

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Odkrycie

Państwowe Teatry Dramatyczne we Wrocławiu. Apollo Nałęcz-Korzeniowski. „Komedia". Sztuka w trzech aktach (4 odsłonach). Reżyseria i opracowanie dramaturgiczne: Maria Wiercińska. Dekoracje i kostiumy: Jadwiga Przeradzka.

Korzeniowski Apollo, 1820—1869, poeta, ojciec Conrada".

Ta lakoniczna notatka z międzywojennej encyklopedii zawiera właściwie prawie wszystko co wiedzieliśmy o nim dotychczas. Burżuazyjne literaturoznawstwo uznało go niecodziennie — przynajmniej w swoim mniemaniu — za pisarza minorum gentium. W większości znanych historii literatury nie znajdziemy nawet nazwiska Apolla Nałęcz-Korzeniowskiego. I ten niesłuszny stan rzeczy trwałby może jeszcze długo, gdyby nie Teatr Wrocławski, który wystąpił z premierą „Komedii". Sztuka zdobyła od razu rozgłos, choć nie ustalono jeszcze precyzyjnie jej rangi. Irena Bołtuć-Staszewska w szkicu dołączonym do programu teatralnego, określa skromnie „Komedię" jako „ciekawą pozycję realizmu krytycznego XIX w.". Jan Kott w artykule drukowanym w „Trybunie Ludu" nazywa ją już: „najbardziej postępowym, najdrapieżniejszym i najzjadliwszym utworem całej polskiej literatury lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku".

Ale wróćmy jeszcze do samego autora. Nałęcz był synem Teodora, oficera z 1809 i 1831 roku. Przyjaciel pisarza — publicysta i dramaturg Stefan Buszczyński — w ogłoszonej anonimowo broszurce o „Mało znanym poecie" — podaje, że ojciec „z biegiem niesprzyjających okoliczności stracił majątek". Należał więc Apollo — wedle własnej terminologii — do proletariatu szlacheckiego. Nic w tym przeto dziwnego, że „moskiewskie władze szkolne prześladowały go zawsze za wolnomyślność". I raz jeszcze oddajmy głos Buszczyńskiemu: „wierzył w niezwalczoną siłę ludowych mas", ale wiara ta „nie znalazła we właścicielach ziemskich poparcia, jakiego się spodziewał".

W swych „Studiach nad dramatycznością w utworach Szekspira" pięknie pisze Korzeniowski o masach ludowych, występujących w dramatach historycznych Stratfordczyka w całej sile, bo one to właśnie „dźwigają ciężar dziejów na sobie". Że nie znalazł potwierdzenia swoich poglądów w ówczesnym „towarzystwie", świadczy pełne goryczy pytanie z wiersza „Droga krzyża":

„Wziąć rozbrat z ludzkością? —
Iść wstecz, a nie z wiekiem?
Być panem, urzędnikiem, kupcem,
lecz nie człekiem?"

Mimo szlachetnych buntów tego działacza powstańczego Komitetu Narodowego, więźnia w 1861 roku, zesłańca do Wołogdy i Czernihowa — zakres jego widzenia spraw społecznych był ograniczony. Rebelie chłopskie na Ukrainie i Podolu w latach czterdziestych, krwawo stłumione przez carat, wywarły nań ogromne wrażenie. Ale ratunek widział w solidarnej walce wszystkich klas pod sztandarami haseł narodowych. Końcowa partia wiersza „Noc ostatnia", napisanego w 1852 r., brzmi:

„Przebaczcie sobie!...
A z wrogiem walczcie! . — O!
walczcie bez końca —
Poświęceń siłą, łez
krwawych
goryczą:
Nie żadną pychą kasty ani
rodu
Co wiecznym wrzodem biednego
Narodu,
Nie żadną rzezią bratnią... rozbójniczą,
Co czeka nocy, a lęka się słońca —
Przebaczcie sobie..."

Nie zdobył się więc na ostateczne zerwanie z warstwą szlachecką. Ale w czasach zaciętej walki społeczeństwa burżuazyjnego z siłami feudalnymi umiał dostrzec rozkład moralny i polityczny jednych — i groźne niebezpieczeństwo drugich. W przedmowie do swojego przekładu „Chattertona" Alfreda de Vigny — stawał „w obronie wszystkich zacnych, niesprzedających swych zasad i pojęć, a biednych ludzi, postawionych w towarzystwie handlarzy i spekulantów, gdzie nie wolno być człowiekiem pod karą niełaski społeczeństwa... nie wolno żenić się nie myśląc o posagu, nie wolno cenić i czcić cnoty żywe, by całą cześć dla genealogicznego tylko drzewa zostawić, nie wolno słuchać głosu sumienia, lecz trzeba przysłuchiwać się brzękowi pieniędzy, nie wolno myśleć o tym, co wznosi, uzacnia, pociesza, ale trzeba rachować, rachować i jeszcze rachować".

Oprócz „Komedii" napisał parę jeszcze sztuk: „Akt pierwszy", „Batożek". Zapamiętać z nich warto przede wszystkim komedię „Dla miłego grosza", skoro K.W. Wóycicki powiada w roku 1864, że w niej „przebiega ostra i gorzka satyra, pełna oburzenia szlachetnej duszy na brudy społeczności tej części kraju, której dotyka". W sztuce — młody angloman Adam, Pan, Hrabia, Książę — przedstawiają egoizm, cudzoziemszczyznę, handel i przemysł.

Tłumaczył dużo: Heinego, Szekspira, Dickensa. W obecnej chwili warto przypomnieć fragment listu Korzeniowskiego do przyjaciela na miesiąc przed gruźliczą śmiercią: „mam (oprócz Cromwella) wszystkie dramata Hugo przetłumaczone. Wydałbym je ze wstępem o Wiktorze Hugo. To obywatel — poeta!".

„Komedię" ogłosił po raz pierwszy w roku 1854. Współczesna krytyka uznała ją z oburzeniem za „wynik natchnień komunistycznych i socjalistowskich". Autor polemizował z tą oceną, ale wystarczy przejrzeć czołowe sztuki lat pięćdziesiątych: „Łobzowian" czy „Flisaków" Anczyca, „Wąsy i perukę" Józefa Korzeniowskiego, „List żelazny" Małeckiego, a nawet „Szlachectwo duszy" Chęcińskiego — żeby przyznać rację cytowanemu na wstępie zdaniu Kotta, przynajmniej w zakresie literatury dramatycznej.

„Komedię" usiłowano storpedować w inny jeszcze sposób: zarzucając jej plagiat z „Mądremu biada". Encyklopedia Orgelbranda podaje wręcz: „Komedia" — dramat przerobiony z Gribojedowa". Korzeniowski wziął istotnie z „Gorie ot uma" zawiązek konfliktu, cechy niektórych postaci, nawet parę dowcipów. Jednak to, co stanowi o najistotniejszych wartościach sztuki, o jej realizmie — jest jego własnością. Odrębne jest całe przeprowadzenie akcji, a także jej rozwiązanie — zdumiewająco śmiałe i odbarwione z konwencjonalizmów współczesnych mu sztuk, zarówno komediowych jak tragicznych.

O społecznikowskim stosunku do świata swych postaci świadczy już sam spis osób: autor wyraźnie określa swe figury jako charakterystyczne typy społeczne. Wprowadza też typową sytuację z lat murszejącego feudalizmu: opiekuna żyjącego z majątku sieroty, przekreślającego bezwzględnie jej los dla swoich celów pekuniarnych. Znamy dobrze tę historię chociażby z „Zemsty" i wielu innych utworów tych czasów. Ale nigdzie nie spotykamy takiej siły demaskatorskiej, tak uderzającego obrazu zakłamania moralnego i władzy pieniądza. Wspomnijmy wcześniejszych o lat kilkanaście „Żydów" Józefa Korzeniowskiego (nie był krewnym Apolla). Mamy historię bardzo podobną: Hrabia roztrwonił majątek oddanej mu pod opiekę Zofii, przeszkadza małżeństwu utytułowanej dziewczyny z kochającym ją ubogim poetą. W „Żydach" jednak ostateczne triumfy święci stary kastowy przesąd: skromny szlachcic wycofuje się z matrimonium, bo nie czuje się godny posiadania księżniczki. Autor ustawicznie przeciwstawia tam dzisiejszemu upadkowi cnoty dawnych feudałów.

W „Komedii" inaczej! Intrygę rozcina zgoła nie szlachcic — mizerny Sekretarz, parias, buntujący się z nie baczącą na nic namiętną siłą przeciw swoim panom, skoro poznał ich nikczemność. A bohater sztuki w sensie romansowym — Henryk, jest szlachcicem „bez dusz", jego konflikt z własną klasą jest ustawiony wyraźnie na płaszczyźnie upośledzenia materialnego, znacznie dosadniej niż w „Mądremu biada".

Siła „Komedii" polega przede wszystkim na drapieżności satyrycznego spojrzenia, na realistycznej, teatralnie odbanalizowanej fabule. Słabą stroną jest natomiast wiersz — nie pozbawiony potknięć, poetycko szarawy, miejscami nużący. I w tej mierze walnie przyszedł utworowi z pomocą Teatr Wrocławski. W programie czytamy: „Przy swych niewątpliwych zaletach „Komedia" ma też poważne wady: rozwlekłość, melodramatyczność, romantyczne „wzniosłe" łkania i żale, kwiecistość stylu. Opracowanie dramaturgiczne starało się te braki i błędy usunąć i poprawić. Poprzez skróty i zmiany usunięto romantyczne i melodramatyczne fragmenty zostawiając tylko niekiedy kwiecisty styl jako przykład stylu epoki. Poprzez skróty starano się skondensować akcję. Autor chciał, żeby sztuka jego była dramatem, my wolimy ujrzeć ją jako komedię satyryczną".

Istotnie — wzorowe opracowanie Marii Wiercińskiej skondensowało w olbrzymim stopniu tę rozgadaną nieco sztukę, nie zatracając przy tym nic z jej walorów, nie zubożając utworu o żaden istotny moment. Realizacja sceniczna ukazała całą pasję satyryczną „Komedii", wydobyła jej mocny społeczny sens — bez uciekania się do wstawek pozatekstowych. Wiersz podany był w świetnej formie.

Z jedną wszakże sprawą przedstawienia trzeba by pouyskutować. Zakończenie utworu: rozejście się Henryka z Lydią — nie jest w sztuce jasno umotywowane. Można to kłaść na karb jeszcze jednej zależności od Gribojedowa, wdzierającej się w ostatniej chwili, mimo odmienności poprzedzających wypadków. Można też jak Jan Kott suponować, że Henryk nie chce małżeństwa z zamożną dziedziczką i odchodzi na barykady — choć interpretacja taka jest nieco dowolna: o majątku ukochanej poeta wie od początku, a drugie przypuszczenie nie ma wyraźnego pokrycia w tekście. W każdym razie w przedstawieniu rzecz pozostawała po prostu niejasna, nie tłumaczyła się widzowi.

Scena wrocławska jest teatrem młodych, zdolnych aktorów. „Komedia" zagrana była z dużą świeżością i temperamentem, bez celebrowania „stylowości". Z tym wszystkim zdarzały się niepotrzebne przerysowania i zbytnie wyrazistości, czasem odrobinę męczyła nieumotywowana ruchliwość sytuacji scenicznych i hałaśliwość dialogów, a także pewna dowolność w budowaniu postaci.

W pierwszym akcie Lydia — młodziutka, naiwna dziewczyna i Barbara — świadoma życia wdówka — wyglądały jak siostry, różne tylko temperamentem, niemal jak Klara i Aniela w „Ślubach panieńskich". W dalszych partiach Maria Zbyszewska (Barbara) wydobyła kontrast, ale do końca nie pokazała wyraźnie, jakie są motory jej postępowania. Wdówka chce przecież nie dopuścić do „niekontrolowanego" małżeństwa Lydii, aby zagarnąć jej majątek poprzez własne zamęście z Prezesem. Ten nurt akcji gubi się w spektaklu: Zbyszewska grała po prostu złośliwą intrygantkę.

Postać Lydii, gdyby spojrzeć na nią współcześnie, stanowi dość skomplikowane zagadnienie aktorskie. Autor raczej bezkrytycznie traktuje owe wzloty romantyczne bohaterki, które wyrażone wierszem „Komedii", nie są w stanie dzisiaj nas przekonać. Trzeba by więc tyrady Lydii ująć w pewien aktorski cudzysłów, a zarazem nie zatracić wzruszającego sensu szlachetnej w gruncie rzeczy postaci. Tego trudnego zadania nie mogła jeszcze rozwiązać debiutująca na scenie Barbara Jakubowska.

Igor Przegrodzki dał bardzo zabawną, utrzymaną w proporcjach realizmu, karykaturę Dutkiewicza. Przy lekturze sztuki odnosi się jednak wrażenie, że Marszałek jest małym prowincjonalnym snobem; aktor grał śmiesznego, ale światowca.

O ile Przegrodzki podniósł może trochę „klasę towarzyską" swojej postaci, o tyle Tadeusz Kalinowski obniżył niepotrzebnie Prezesa. Przecież to „ideał obywatela", pełen powagi i dostojeństwa — na scenie widzieliśmy wesołego chytrusa. Dyskusja z Henrykiem w drugim akcie toczyła się wręcz wulgarnie. Kalinowski nie wydobył wskutek tego całego dowcipu dialogu.

Zbigniew Niewczas bardzo ładnie przeprowadził Henryka na młodzieńczej nucie wybuchowo-romantycznej, pozbawiając go może jednak pewnych akcentów dojrzałej ironii i spokojnego sarkazmu, zawartych w tekście.

Stanisław Bugajski wyraziście zaznaczył kontrast pozycji społecznej Sekretarza wobec Prezesa. Trafnie utrzymał postać w cieniu, aż do mocnego wybuchu w ostatnim akcie, kiedy to stał się najważniejszą osobą w teatrze.

Scenografia Jadwigi Przeradzkiej, okalając ramę sceny nieregularnie zawieszonymi draperiami, akcentowała reprospektywność obrazu. Bardzo kunsztowna monumentalizacja plastyczna dekoracji na małej, kameralnej scenie miała zapewne na celu podkreślenie dysproporcji między pańskością wnętrza a nikczemnością spraw tam toczonych.

Na koniec muszę dodać, że omówione tu usterki przedstawienia nie skrzywiły zasadniczej wymowy sztuki. Teatrowi Wrocławskiemu należy przypisać zasługę cennego odkrycia zapomnianej, a wartościowej pozycji. Być może — zasługę prapremiery. Bo choć stare kroniki powiadają o dramatach Apolla Korzeniowskiego „z wielkim przedstawionych powodzeniem na scenie w Kijowie i Żytomierzu", nie wspominają jednak, o które utwory chodzi. „Komedia" powinna wejść do stałego repertuaru naszych teatrów.

Stanisław Marczak-Oborski

Foto Z. Mozer

„Komedia" Apolla Nałęcz Korzeniowskiego na Scenie Kameralnej PTD we Wrocławiu. Scena z obrazu II. S. Bugajski — Sekretarz, T. Kalinowski — Prezes.

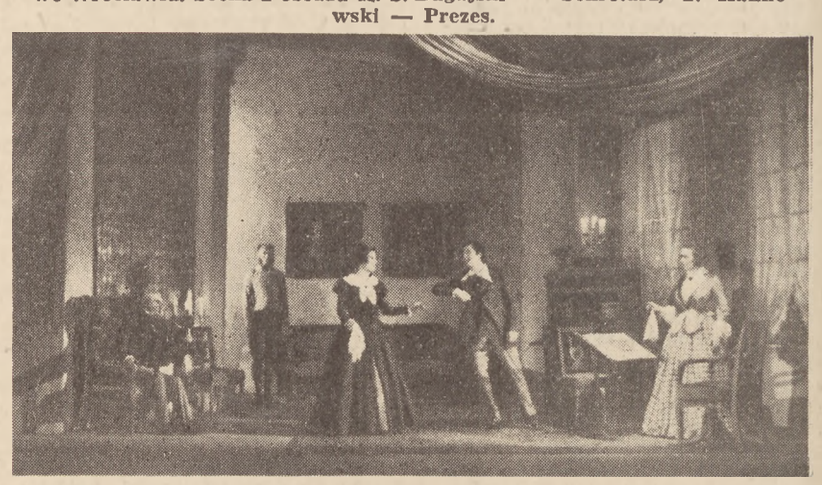

Foto Z. Mozer

Obraz II „Komedii". Od lewej: T. Kalinowski, M. Zbyszewska, Z. Niewczasowski i B. Jakubowska.

JERZY KORCZAK

Choynowski jako krytyk mieszczaństwa

Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu — Piotr Choynowski: „Ruchome piaski" — sztuka w 3 aktach. Opracowanie dramaturgiczne St. Hebanowski i S. Żegalski. Premiera 22.II.52.

I

Dobrze się stało, że kierownictwo Państwowych Teatrów Dramatycznych w Poznaniu podjęło samodzielne poszukiwania nad odnowieniem repertuaru. Poszukiwania te uwieńczone zostały wydobyciem z lamusa jedynej sztuki Piotra Choynowskiego pt. „Ruchome piaski".

Czy właśnie tę sztukę należało po czterdziestu latach zapomnienia pokazać naszemu widzowi? O tym właśnie pomówimy.

27 września 1913 r. odbyła się na krakowskiej scenie prapremiera sztuki młodego autora. Piotr Choynowski wystawiając swoje „Ruchome piaski" miał już za sobą dwa tomy nowel „Pokusa" i „Historia naiwna", które przyniosły mu dość znaczną poczytność. Szereg recenzji wskazało na znakomity zmysł obserwacyjny pisarza i walory jego stylu.

Były to utwory z gatunku demaskujących obłudę mieszczańskiego życia, tworzone w duchu współczucia dla pokrzywdzonych; słowem — choć pisane z drobno-szlachecką łezką w oku — w zasadzie postępowe i szlachetne w tonie. Zresztą — niczym szczególnym się nie odznaczały.

Adam Grzymała Siedlecki wskazał na podstawie lektury nowel na wyrazny talent scenopisarski ich autora.

„Jego ludzie — pisał — mają jakiś nerw rzyczności, wyskakują z kart książki, jakby im śpieszno było na deski".

Nie potwierdził później Choynowski tego sądu. „Ruchome piaski" pozostały jego jedynym utworem scenicznym. A co do jego dalszych prac, to — po krótkim okresie postępowych wzlotów — przeszedł ewolucję taką samą jak prawie wszyscy pisarze z jego środowiska: wkroczył w latach dwudziestych na drogę apoteozy jurnej tężyzny sarmackiej. Bohaterem Choynowskiego stał się beztroski zawadiaka potrząsający szabelką, ulubionym zaś tematem — buńczuczna awantura z przygodą miłosną na okrasę.

Ta linia pisarska Choynowskiego nie ulega najmniejszym załamaniom. W wielu rozwlekłych powieściach stworzył idylliczny obraz świata, w którym — rzecz jasna — nie było miejsca na konflikty społeczne. Mimo to, a może raczej właśnie dlatego, został w roku 1933 członkiem Polskiej Akademii Literatury.

Powróćmy teraz do „Ruchomych piasków", które w roku 1913 po trzech dniach zostały zdjęte z krakowskiej sceny, i — po równie krótkim żywocie w Warszawie — doczekały się dziś dopiero wznowienia.

Krytyka ówczesna przyjęła sztukę różnie: od daleko idącej rezerwy, poprzez pobłażliwe poklepywanie po ramieniu, aż do gorących pochwał. Ale — tu ważny szczegół: na alarm uderzyła jedynie prasa endecka. Oto co pisał anonimowy recenzent „Głosu Narodu".

„Niemiłosiernie kreśli p. Choynowski charakterystykę rodziny Wróblewskich, która pod wpływem gryzącej biedy i przy konieczności zachowania pewnych pozorów towarzyskich, pogrąża się w ostatnim upodleniu. *Matka trochę zahukana przez dzieci* (podkr. moje—J.K.), której wszystkie wysiłki umysłowe są zwrócone wyłącznie w tym kierunku, aby wyłatać budżet codzienny— przehandlowuje na spółkę z synem, zdecydowanym kandydatem na apasza — córkę i siostrę staremu rozpustnikowi, aby choć na chwilę wyjść z pieniężnych kłopotów. Odbywa się ten handel brutalnie i cynicznie niemal na oczach widzów — i budzi więcej niesmaku i obrzydzenia, niż współczucia dla ofiary, która poddaje się swemu losowi z rezygnacją cokolwiek apatyczną, a nazbyt deklamacyjną. Wskutek tego ginie prawie zupełnie napięcie dramatyczne i pozostaje przykre wrażenie brzydkiego epizodu, być może prawdziwego, ale nadającego się raczej do kroniki kryminalnej niźli do literatury".

Przyjrzyjmy się teraz tej rodzinie, która ocaliwszy z dawnych czasów jakieś resztki fortuny, przenosi się do Warszawy. Co robi na wielkomiejskim bruku „zahukana matka" exobywatelka, madame Wróblewska? Zachowując wszystkie pretensje swej sfery, otwiera pensjonat. Rzecz jasna, na drzwiach pensjonatu przybija tabliczkę, gdzie obok nazwiska widnieje herbowy rekwizyt: Madame Poraj-Wróblewska! Zawsze brzmi to lepiej, a przede wszystkim godniej. Pensjonat, choć pod tak dobrze urodzonym kierownictwem, nie przynosi spodziewanych dochodów. Nie zabezpiecza nawet minimum egzystencji.

Na krótko omija jeszcze Wróblewskich ruina: starsza córka Jadwiga wychodzi za mąż za „obywatela". Los jednak chodzi ślepymi drogami. Jadwiga poznaje młodego rzeźbiarza, rzuca męża i wraca do rodziny. Rzeźbiarz goły jest jak święty turecki. Znikąd ratunku! Na domiar złego właściciel kamienicy, mecenas Przyciechowski, żąda natychmiastowej zapłaty za komorne. Pieniądze, albo fora ze dwora! — tak stawia sprawę Przyciechowski. Kto uratuje rodzinę? Oczywiście znów Jadwiga. Szczwany lis, brutalny cynik i bogacz, mięknie, gdy zobaczy młodą rozwódkę. Godzi się na zwłokę w zapłacie komornego. Jadwiga nie chce się drugi raz sprzedać. Poddaje się dopiero łzom matki i okolicznościom. W rozmowie Przyciechowskiego z Jadwigą wychodzi jednak szydło z worka: mecenas ani myśli się żenić.

Przysłuchajmy się ich rozmowie:

Przyciechowski: Kupione, kupione! Upiera się pani przy wyrazach! Z małżeństwem, czy bez małżeństwa — kupno pozostaje kupnem! (lekko) Proszę pani! Sama już pani łaskawie zaproponowała cenę...

Jadwiga: Ja? Jak to?!

Przyciechowski: No, przecie zdecydowała pani dawno wyjść za mnie.

Jadwiga (ze sztuczną wyniosłością) Skąd ta dziwna pewność?

Przyciechowski: Z widoku rozczarowania pani... Zresztą, innej drogi nie ma. Chodzi teraz o to, aby jak najwięcej wytargować. Myśl słuszna — dlatego i ja również z niej korzystam, choć w sposób mniej dramatyczny...

Nie, tego nawet mama Wróblewska nie może ścierpieć. Ta bomba ma za wielki kaliber. Następuje wybuch: stara Wróblewska sprzeniewierza pieniądze oddane jej na przechowanie, i ciska je Przyciechowskiemu. Odpada ostatnia nadzieja. Czy na długo? Skądże znowu. Ukochany synek, Władyś, dopóty będzie przekonywał matkę, aż wreszcie cała rodzina zacznie stręczyć Jadwidze mecenasa. Jadwiga ulega.

II

Czemu przypisać należy szybką klapę, jaką zrobiła sztuka w owym okresie?

Zasadniczym powodem była Zapolska, a raczej jej „Moralność pani Dulskiej, która powstała sześć lat przed sztuką Choynowskiego. Tragifarsa kołtuńska przyćmiła też ten utwór całkowicie, zwłaszcza iż wielu było takich, co widziało w „Ruchomych piaskach" wyraźny patronat dzieła Zapolskiej.

Nie ulega wątpliwości, iż wiele scen, a zwłaszcza atmosfera sztuki, może za tym świadczyć. Ale jest różnica zasadnicza: inny stosunek Choynowskiego do stworzonych postaci.

Zapolska w swej drapieżnej, demaskatorskiej pasji, widzi w kołtunie główną sprężynę społecznego wstecznictwa. Traktuje problem kołtuna jako nieuniknione fatum, nie doszukuje się w nim p r o d u k t u rozkładu kapitalistycznego społeczeństwa.

Inaczej Choynowski. Choć odnosi się do swych postaci z pobłażliwą sympatią, choć wyraźnie współczuje zdegenerowanej klasie, tym lepiej wskazuje na przyczyny, nie zaś na skutki, tym silniej oskarża on ustrój, w którym tylko pieniądz stanowi o szczęściu.

Siostra Wróblewskiej, Ostrowska, przepraszam: Lubicz-Ostrowska, tak poucza Jadwigę:

„A to ci ja stara mówię — nie w miłości szczęście. Godność swą zachować, rozumiesz! A bez środków nie ma godności".

Skomplikowany problem stanowi w sztuce sprawa Jadwigi. Kim ona jest? Czyżby szlachetną ofiarą w szponach drapieżnej rodzinki? Nie brak przecież takich postaci u Ostrowskiego, czy Czechowa. Ale Jadwiga niewiele ma z nimi wspólnego. Jest w miarę buntownicza, w miarę zgorzkniała, ale przede wszystkim bardzo, a bardzo egzaltowana. Kocha pewnego rzeźbiarza, marzy o wspólnym z nim życiu, ale wszystko to razem nie zabija w niej zmysłu praktycznego. Dźwiga, niczym garb na plecach, małomieszczański balast pruderii. Rozważa na zimno wszystkie życiowe możliwości. Myśli także o powrocie do męża. Ale na to nie może się zdecydować — „Wrócić — powiada — i na co? Żeby choć majątki... ale patrzeć, jak mu się tam wszystko kapaniną rozłazi...". To nie wybielona przez Perzyńskiego i Eichlerównę „Lekkomyślna siostra"!

Pozostawały więc amory z rzeźbiarzem, którego niekiedy ściągała z obłoków na ziemię:

„Czy tobie nigdy na myśl nie przychodzi, że do życia trzeba środków? Że człowiek bez pieniędzy to gorzej niż chory pies, nad którym się nikt nie zlituje? Że ta wasza artystyczna wzgarda dla rubla — to błąd!"

Kochanką rzeźbiarza nie zostanie. Nie chce chodzić kuchennymi schodami z woalką na twarzy. Nie odpowiada jej — jak mówi — „kradzione szczęście".

Nikt tak dobrze jak Przyciechowski nie przejrzał Jadwigi. Stary wyjadacz wiedział co w trawie piszczy, gdy proponował jej wojaż en deux. Zdawał sobie sprawę z reakcji, jaką u niej wywołała, ale nie miał wątpliwości, jak się fumy zakończą. Miał przecież pieniędzy pod dostatkiem...

Cały balast nawyków zadecyduje o losie Jadwigi. Czy można jednak wątpić w szczerość jej cierpień? Na pewno nie. Ale rodowód klasowy zaciąży nad nią silniej niż młodopolskie odruchy buntu. Jadwiga nie wyjdzie poza progi ginącej klasy. Oto problem t.zw. subiektywnej racji, za który tak często kołtun, mieszczuch i sentymentalny wstecznik się chowa.

W poznańskiej inscenizacji rolę Jadwigi grała Maria Życzkowska. Rola to trudna, pełna półcieni i mało wyraziście przez Choynowskiego zarysowana. Życzkowska nie udźwignęła jej ciężaru. Trzeba jednak podzielić odpowiedzialność między autora, reżysera i samą odtwórczynię, jeśli mamy ją już winić za brak t.zw. wnętrza.

Dwie znakomicie napisane role, to stara Wróblewska i kamienicznik Przyciechowski. Wyborna jest ta exziemianka zaszczuta przez troski, a jakże — mimo to, czuła na zasady dobrego tonu i hierarchii. Wobec biednego rzeźbiarza będzie w miarę protekcjonalna, w miarę niegrzeczna. Traktuje go z wysoka, jak przystało na „biedną, lecz pełną godności damę". Ale w dwóch jaskrawych wypadkach wylezie dopiero z Wróblewskiej jej rodowód społeczny; cała małość i bezduszność pańskich fochów. „Sługa" traktowana jest brutalnie i bezwzględnie. Wobec wszechmocnego kapitalisty nie można za to się bawić nawet w gesty dotkniętej dumy. Kiedy Wróblewska stanie się sama ofiarą wyzysku, będzie się płaszczyć bez jakichkolwiek wewnętrznych oporów.

Irena Detkowska-Jasińska stworzyła sylwetkę w tej roli żywą, trafną w rysunku. W chwilach, gdy w tekście groziła szarża, cieniowała rolę zawsze niemal z dobrym rezultatem.

Przyciechowskiego grał z pasją Bolesław Rosłan. Pokazał — nie najrzadszy na scenie typ cynicznego bogacza i starego rozpustnika — w sposób własny i znakomity.

Również drugoplanowe postacie sztuki zarysowane są wyraziście. Dotyczy to zarówno kupca Szrajera, w miarę śmiesznego, lecz przede wszystkim groźnego w swym zacietrzewieniu małego bourgeois jak rzeźbiarza Porębskiego, Władka i ciotki Ostrowskiej. Kupiec Szrajer, narzeczony Hani, ma swoje życiowe maksymy. „Przecież — powiada — z całą rodziną się nie żenię", „wszyst-

„Ruchome piaski" Piotra Choynowskiego w Teatrze Nowym w Poznaniu. Od lewej: Władek — T. Fluciński, Hania — U. Modrzyńska, Jadwiga — M. Życzkowska, Szajer — S. Kotarski, Wróblewska — J. Detkowska.

ko się w tym domu rozlatuje, na niczym usiąść nie można", „małżeństwo to nie zabawka" itd. — Eugeniusz Kotarski nie wydobył niestety wszystkich możliwości, jakie dawała ta rola: był zbyt karykaturalny.

Rzeźbiarz Porębski potraktowany jest przez autora z dużą domieszką ironii: postać ta pełna jest patosu i sztucznego polotu. Dopiero w ostatnich scenach zdobywa się Porębski pod wpływem szczerego uczucia do Jadwigi na kilka zdań, które nie brzmią ani ckliwie, ani sztucznie.

Dość szczególnie potraktował Choynowski sylwetkę Hani. Panna pusta i naiwna okazuje się w trzecim akcie dostatecznie sprytna, aby znaleźć radę na kłopoty rodzinne. Rzecz jasna, na to, aby wprowadzić je w czyn jest za słaba. „Tylko na siebie liczyć! Na własną pracę... — mówi podniesionym głosem do brata. — Zwinęłabym pensjonat i wzięłabym się do pracy. Wynająć dwa pokoje na wszystkich i brać się do szycia..." Świetną odtwórczynią tego niespodziewanie trzeźwego dziewczątka okazała się Urszula Modrzyńska.

Całość zespołu uzupełniali: Helena Czechowska, Mila Czajkowska, Tadeusz Pluciński i Antoni Żukowski.

III

Powróćmy do pytania postawionego na wstępie. Czy należało odkurzyć zapomnianą sztukę i wystawić ją na naszych scenach? Chyba jasne, że tak. „Ruchome piaski" wskrzeszają przed naszymi oczami obraz świata, którego moralne bankructwo nastąpiło na długo jeszcze zanim wyginęła zgangrenowana klasa. Obraz to niepełny, ograniczony ciasnym horyzontem autora. Może to nawet nie obraz a ostra, dobrze wywołana fotografia.

Dziś z perspektywy naszych doświadczeń powinniśmy wydobywać z twórczości minionych dni wszystkie elementy, które pomogą nam wiarogodniej i lepiej poznawać agonię kapitalistycznego świata.

„Ruchome piaski" to sztuka o wartkim, dobrze zbudowanym dialogu, umiejętnie stopniowaną akcją i kilkoma znakomicie zarysowanymi postaciami.

Jerzy Żegalski opracował ją reżysersko trafnie i znacznie przyczynił się do stworzenia spektaklu żywego i interesującego. Zarzuty? Może w dwóch sprawach dotyczących aktorskiej interpretacji. Jeden to — jak już wyżej powiedziano — ustawienie roli Jadwigi, drugi zaś — to rola sługi Karolci w wykonaniu Stanisławy Siedleckiej. Szkoda, że jej odruchy buntu wydawały się tak mało przekonywające. Zobaczyliśmy na scenie tylko zahukane domowe popychadło; jak wiemy losy takich dziewcząt miały już niedługo zmienić bieg i kierunek. Tego się nie da przeczuć w tym spektaklu.

Salonik pensjonatu — urządzony przez scenografa Zbigniewa Bednarowicza — jest w miarę secesyjny i dobrze harmonizuje z atmosferą sztuki. Przodkowie Wróblewskiej w ciemnych ramach czują się na pewno, na tle liliowych tapet i odrapanego biurka, równie poniżeni i wytrąceni z koleiny jak ona sama.

Jerzy Korczak

PETÖFI PO POLSKU

(Dokończenie ze str. 9-ej)

Petöfiemu właściwe miejsce w życiu narodu. Obchód stulecia rewolucji z 1848-49 stał się wielkim hołdem, złożonym pamięci poległego w walce o wolność poety. Wiara Petöfiego, że duch jego zwycięży, nie okazała się płonną.

III.

Petöfi znalazł rychło wielbicieli i tłumaczy w Polsce. Poezje jego cieszyły się u nas dużą popularnością, tak przez bliski naszej poezji romantycznej charakter jego poezji, przez temperament poety, jak i przez sympatie do naszego narodu, przewijające się w jego utworach. Wszak to Petöfi pisał: „Los dwóch narodów tu się zespolił — Polski i Węgier. Cóż trzeba więcej?"

Popularność poety w Polsce sięga jeszcze połowy XIX wieku. Interesował się nim już Mickiewicz. Już w r. 1861 na łamach „Dziennika Literackiego" ukazał się o nim obszerny szkic, oparty na francuskiej pracy Chassina. Rychło pojawiają się mimo przeszkód, stawianych przez cenzurę zaborczą, liczne przekłady z poezji Petöfiego. Natężenie zainteresowania Petöfim silne w okresie, gdy silne były wspomnienia 1849 roku, gdy żywe jeszcze były echa idei rewolucyjno - demokratycznych, słabnie w epoce imperializmu, aby znów nowym płomieniem wybuchnąć w Polsce Ludowej. Wyrazem tego wzrostu zainteresowań Petöfim jest omawiany wybór poezji. Jest to pierwszy tak obszerny, wszechstronny i krytyczny wybór. Już w 1879 roku wydał Władysław Sabowski „Wybór poezji" Petöfiego, ale okrojony przez cenzurę carską. W r. 1921 Antoni Lange zebrał 30 wierszy Petöfiego jako część węgierskiego zeszytu „Panteonu Literatury Wszechświatowej". Cenny był wybór, dokonany przez wielkiego orientalistę i uczonego językoznawcę poliglotę prof. Andrzeja (nie Antoniego, jak to mylnie w przedmowie na str. 9 podano!) Gawrońskiego; obejmował on 18 wierszy, starannie i wiernie przełożonych. Poza tym było wiele drobnych utworów rozproszonych po czasopismach od połowy XIX wieku. Dużo zwłaszcza znalazło się w czasopismach uchodźczych na Węgrzech w latach 1940 — 1944, gdy wielu uchodźców zapoznało się z językiem węgierskim i zapragnęło tłumaczyć Petöfiego. Zebranie najlepszych przekładów było celem omawianego tomiku. Obejmuje on przeszło 90 utworów, w tym i fragmenty poematów. Czy cel postawiony przez wydawcę został w pełni osiągnięty?

Wydawca stanął bezsprzecznie przed trudnym zadaniem. Znajomość języka węgierskiego w Polsce nie była nigdy wielka. Śród dobrych tłumaczy, śród dobrych poetów mało było znających język węgierski. Śród dobrze znających język węgierski mało było dobrych poetów. Do przekładu Petöfiego nie wystarcza orientować się w treści utworu; trzeba znać rytmikę ludową węgierską, właściwe językowi węgierskiemu przenośnie, metafory i aluzje. Nie zawsze powierzchowna znajomość języka węgierskiego wystarcza. W latach wojennych wielu uchodźców czy żołnierzy, internowanych na Węgrzech, rzuciło się do tłumaczenia Petöfiego nie wiedząc, że ich przekłady nie są pierwszymi. Jakie wyniki dała ta praca, niech powie jako przykład wstęp do jednego ze słynnych wierszy Petöfiego „Armia Siedmiogrodzka", przełożony „wiernie" przez improwizowanego tłumacza podczas wojny:

Nie zwyciężym? My? przecież z nami Bem!
Mistrz wolności, rycerz bez lęku!
Błyskiem zemsty drga, wskazuje nam cel
Gwiazda krwawa — ta... Z Ostrołęki.

Może nie znał węgierskiego tak dobrze Antoni Lange, ale oto jego przekład:

My nie zwyciężym? — rzecze Bem nasz stary
Rycerz wolności, mąż niezłomnej ręki,
Toż światłem pomsty lśni nam przez opary
Krwawa gwiazda Ostrołęki!

Wydawca wybrał jeszcze inny przekład Tadeusza Fangrata:

Wątpić w zwycięstwo? Przecież Bem z nami,
Szermierz wolności — szafarz naszych losów,
On — Ostrołęki gwiazda krwawa,
Idzie na czele płomień zemsty niosąc.

Czytelnicy sami porównają te trzy przekłady i osądzą należycie, przed jakimi trudnościami stał pracowity wydawca.

Jak przekład dobry, ale niewierny może zmienić czasem istotny sens zwrotu ,na to wskazuje tłumaczenie słynnego wiersza z r. 1848 „Talpra, magyar!" Talpra! — na nogę! — powstań! Sens jest jednoznaczny, wyraźny i mocny. Jednakże tłumacz, dobry poeta, ale nie rozumiejący wyrażenia „talpra" przełożył to „Pora, Węgrzy!". Ten przekład został umieszczony w wyborze. Czy nie jest to osłabienie nacisku, położonego właśnie na „powstań!"? A było tyle innych tłumaczeń, nawet stare Leona Węglińskiego z r. 1862: „Bracie! Wstań na głos ojczyzny..."

Przekłady z węgierskiego, to wielki problem, wiążący się z tłumaczeniami z mniej znanych języków. Słusznie poruszał ten problem niedawno na łamach „Nowej Kultury" J. Borejsza. Rozpanoszył się tu system niekontrolowanych (bo któż umie po węgiersku?) przekładów, które odległe są zarówno od oryginału jak i od poezji. Święci triumfy system rzemieślnictwa przekładowego, któremu kiedyś trzeba by nareszcie położyć kres. Takie przekłady stanowią nie formę popularyzacji danego poety w Polsce, ale raczej wyobrażenie o nim zaciemniają. Prace nad tłumaczeniem i wydawaniem poezji węgierskiej winny być przebudowane przez wciągnięcie do udziału czynników naukowych, reprezentujących filologię węgierską i wiedzę o Węgrzech. Uwagi te nie dyskwalifikują oczywista większości wybranych przez J. Gomulickiego przekładów. Wydawca włożył w przekład wiele pracy i staranności i nie jego wina, że nie wszystkie przekłady stoją na poziomie, że niektóre wiersze Petöfiego w ogóle nie są reprezentowane. Za to inne wiersze reprezentowane są przez kilka przekładów dla porównania pracy tłumacza. Niektóre przekłady dokonane były specjalnie dla „Wyboru"; piękny zwłaszcza jest przekład J. Tuwima wiersza pt. „Dziki Kwiat".

IV.

Dokonany przez J. Gomulickiego wybór obejmuje poezję. Załączono — dla charakterystyki postaci — nieco listów Petöfiego, m. i. do Bema, znanych już z popularnej broszury Divékiego. A szkoda, że nie objęto i nieco wyboru z prozy Petöfiego. Warto by publiczność polską z nią zapoznać. Przydałyby się fragmenty jego dziennika, żywe, wspaniale oddające bujny charakter poety. Ot, na przykład opis zamku szaryskiego: „Około godziny za Preszowem smuci się ruina zamku szaryskiego, ongiś gniazdo Rakoczego. Byłem tam. Jakże bym mógł nie zobaczyć ruin, gdy tylko jest ku temu możliwość? Tak dobrze tam się oddycha czystą atmosferą rycerską, w której naprawdę powinienem był się urodzić? Ja władam piórem, ale czuję, że właściwszym powołaniem byłoby noszenie miecza..." Czy poeta mógł przeczuć, że w tej atmosferze rycerskiej przyjdzie mu zginąć, w szlachetniejszej walce, niż owych rycerzy średniowiecznych? Pod Szaryszem oddalił się od towarzystwa, sam wbiegł na ruiny; „Nie starałem się tłumić mych łez, a nie lubię, jak ktoś widzi, gdy płaczę". Gdy schodziono z ruin, przyplątał się jakiś mały, biedny polski chłopczyna, jakiś pastuszek. „Wszyscy daliśmy mu coś... schylił się, chciał nasze nogi całować". I poecie wyrywa się w dzienniku okrzyk: „Ludzkości, ludzkości zatopiona, gdzie twój wybawca?" A później podróż pod Tatry, które w śniegu czerwieniące wyglądały jak „w winie zanurzone siwe królewskie czoło". Potem znów z Kieżmarku te Tatry napół spowite w mgły jak „śpiąca piękna dziewczyna, która na chwilę odsłoniła okrycie, osłaniające jej wdzięki... Oczarowany podziwiałem przez chwilę, gdyż potem zerwała się... jakby zawstydzona skryła się znów w okryciu z mgły..." Czasem znów coś wesołego, jak z podróży do Debreczyna, gdy towarzysze podróży w dyliżansie byli to: „żyd-handlarz winem, kupiec-Niemiec siedmiogrodzki, polski oficer i słowacki ksiądz z ładną młodą siostrą. Wspaniałe towarzystwo! Okazało się, że tylko jedna osoba mówi po węgiersku — właśnie ów słowacki ksiądz!"

Dzienniczek ów, z którym warto zapoznać czytelnika polskiego ciekawy jest tym bardziej w okresie rewolucji. Takie np. credo Petöfiego, zapisane pod 19 kwietnia 1848: „Potomność może powiedzieć o mnie, że byłem złym poetą, ale to też powie, że byłem człowiekiem surowej moralności, co jednym słowem tyle znaczy, co republikanin, gdyż głównym hasłem republikanów nie jest „precz z królem", ale „czysta moralność". Nie zrzucona korona, ale niezłomny charakter, twarda uczciwość, to podstawy republiki".

Dokonany przez J. Gomulickiego, a wydany przez „Czytelnika" „Wybór poezji" A. Petöfiego stanowi cenną pozycję na polu zbliżenia polsko-węgierskiego. Stanowi dług wdzięczności, spłacony pamięci poety rewolucjonisty i przyjaciela Polaków. Na tak obszerny wybór nie mogła zdobyć się Polska burżuazyjna, patrząca na literaturę węgierską przez pryzmat reakcyjnych wypocin Cecil Tormay czy kosmopolitycznych fars Bus-Feketego. Pamięć Petöfiego uczciła dopiero Polska Ludowa.

Wydanie wyboru poezji Petöfiego jest starannie. Tom zaopatrzony jest we wstęp, przedmowę, objaśnienia, przypiski. Jest to zasługa niestrudzonego bibliografa J. Gomulickiego, jego mrówczej pracy i staranności. Piękny druk, ilustracje uzupełniają to wydawnictwo, które stanowi cenną pozycję na naszym rynku wydawniczym.

Jan Reychman

Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich

Melanowski Wł. H. prof.

Reumatyzm. Gościec

Zarys popularny

str. 40, rys. 14 zł 2.50

Godlewski Zb. dr

Choroby oczu

Zarys popularny

str. 88, rys. 33 i 2 kolorowe tablice zł 9.50

do nabycia w księgarniach „Domu Książki"

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

Z SAL KONCERTOWYCH

W ROCZNICĘ ŚMIERCI MOZARTA

Program koncertu filharmonicznego dn. 7 i 9 bm. poświęcony był całkowicie twórczości *Wolfganga Amadeusza Mozarta*. Koncertem tym Filharmonia Warszawska uczciła 160-ą rocznicę śmierci tego kompozytora. Właściwa rocznica minęła już wprawdzie w grudniu ub. roku (Mozart zmarł 5 grudnia 1791 r.), jednakże ze względu na odbywający się w tym czasie finał Festiwalu Muzyki Polskiej uroczystość musiała ulec zwłoce.

Każdy program złożony z dzieł Mozarta można oczywiście z góry uznać za doskonały. Mimo to mówiąc o programie omawianego koncertu trzeba podkreślić, że był on wyjątkowo trafnie zestawiony i że z niezliczonych możliwości wybrano jedną z najlepszych. Wszystkie bowiem trzy wykonane utwory należą do szczytowych arcydzieł, jakie pozostawił po sobie geniusz Mozarta, a jednocześnie są one wysoce znamienne dla ostatnich dziesięciu lat życia kompozytora, dla najdoskonalszego, najbujniejszego okresu jego twórczości.

Uwertura do opery „Uprowadzenie z Seraju", napisana w roku 1782 — to utwór tryskający radością, pogodą ducha i czarującym wdziękiem. Poprzez oba tematy ekspozycji przeprowadza nas kompozytor niezawodną ręką mistrza świadomego zamierzonych efektów, świadomego klasycznych praw równowagi i zasad harmonijnego piękna. Wrażenie skończonego piękna nie opuszcza nas również w epizodzie środkowym, zastępującym przetworzenie tematów nowym materiałem tematycznym. Epizod ten wprowadza nastrój pełen łagodnej, wolnej od patosu melancholii. Nastrój ten podkreślony minorową tonacją ustępuje w momencie powrotu tematów pierwszej części uwertury (repryzy). Zwraca uwagę bogata, jak na klasyczną orkiestrę, obsada instrumentalna. Oprócz normalnego pełnego składu mozartowskiej orkiestry zjawia się pikulina (mały flet) oraz dodatkowe instrumenty perkusyjne: wielki bęben, talerze, triangel. Chodzi tu o specjalne efekty podkreślające „turecki" charakter opery z uwagi na miejsce, w którym rozgrywa się akcja. Trzeba przyznać, że ta „janczarska" muzyka w interpretacji Mozarta brzmi dosyć skromnie, pamiętajmy jednak, że upłynie jeszcze 50 lat zanim Chopin i jego następcy znajdą nowe, twórcze podejście do autentyki ludowej w muzyce. Mozart nie próbuje nawet stawiać tego zagadnienia, na swoją jednak epokę uwertura do „Uprowadzenia z Seraju" jest i tak dość egzotyczna.

W całkowicie odmienny świat wprowadza nas koncert na fortepian i orkiestrę c-moll. Muzyka ta, to już coś więcej niż spokojne żeglowanie po regionach bezosobowego piękna. Zjawi się element nowy i ważki: siła wyrazu o natężeniu dotąd u klasyków wiedeńskich niespotykanym. Trzydziestoletni podówczas Mozart (koncert powstał w r. 1786) zamknął w swe dzieło tak wielki ładunek emocjonalny, tak mocne akcenty dramatyczne, tyle głęboko ludzkich zmagań, że odpowiednika ich możemy szukać dopiero w dojrzałej twórczości Beethovena. Toteż i styl koncertu c-moll nasuwa nieodparte analogie z twórcą IX Symfonii. Gdy się słucha tego utworu, staje się jasny rodowód koncertu c-moll Beethovena. Zbieżności te nasuwają od razu porównanie nastroju i charakteru pierwszych tematów obu dzieł, tyle że temat Mozarta jest głębszy i bardziej wyrazisty. Analogii takich można by znaleźć wiele w całym koncercie, a zwłaszcza w jego gwałtownej, wybuchowej pierwszej części. Zjawia się w nim również wiele nowych elementów konstrukcyjnych, wykorzystanych później w pełni przez Beethovena. Pierwszy to bodaj raz solowa kadencja nie jest zakończeniem partii fortepianowej. Po kadencji następuje bowiem dłuższa coda, w której prócz orkiestry bierze udział również fortepian. Pewną nowością w formie koncertu instrumentalnego jest także finał: zwięzłe a kunsztowne wariacje zamiast tradycyjnego Ronda. Gorzki, pełen znużenia temat tych wariacji jakże żywo przypomina tragiczny nastrój Scherza V Symfonii Beethovena. Środkowa, kontrastująca część — to łagodna aria czy też romanza, nacechowana ciepłym, subtelnym liryzmem.

Akcenty głęboko osobiste przynosi również Symfonia g-moll (napisana w r. 1788). Mniej gwałtowna i wybuchowa niż koncert c-moll, a jeszcze bardziej może skupiona wnosi elementy całkowitej już niemal rezygnacji, uspokojenia czy raczej wyrzeczenia. Atmosfera ta cechuje zwłaszcza część pierwszą. Cześć druga — to śpiewne, pełne melodyjnego czaru Andante. Dramatyczny Menuet powraca pod koniec znów do nastroju rezygnacji, finał (Allegro) — do klimatu części I-szej. Jednakże i tu, w całej symfonii g-moll, podobnie jak i w koncercie fortepianowym, gwałtowność uczuć powstrzymana jest żelazną dyscypliną twórczą, klasycznym umiarem, niezachwianą logiką konstrukcji.

Czy na tym właśne polega tajemnica wielkości Mozarta? Trudno z całą dokładnością odpowiedzieć na takie pytanie... To pewne, że bodaj nikt poza nim nie łączył w takim stopniu nieprawdopodobnego wprost bogactwa myśli z tak skończoną doskonałością operowania każdym materiałem dźwiękowym. Niewyczerpane zasoby inwencji twórczej znajdowały natychmiastową trafną realizację artystyczną, która i dziś zadziwia mistrzostwem rzemiosła i faktury, świeżością i rozmaitością barw brzmieniowych. Treść jednoczy się z formą, kunsztowne struktury dźwiękowe wypełnia prawdziwie humanistyczna zawartość emocjonalna, emocje zaś wyrażone są ze szlachetną powściągliwością. Skromność i prostota łączy się z wykwintną czystością linii, pogodny wdzięk — z klasyczną doskonałością proporcji. Doprawdy — muzyka po Mozarcie była wielka, wstrząsająca, odkrywcza, monumentalna i głęboka, ale już chyba nigdy nie była tak doskonale piękna.

Dzieła Mozarta usłyszeliśmy pod dyrekcją *Stanisława Wisłockiego*, stałego kapelmistrza Filharmonii Poznańskiej, jednego z najwybitniejszych dyrygentów młodszego pokolenia. Interpretacja jego poszła po linii pewnego rodzaju wyolbrzymienia konturów dynamicznych poszczególnych dzieł. Mieliśmy niejakie zastrzeżenia co do takiej „monumentalizacji" Mozarta, gdyż zaciera to do pewnego stopnia charakterystyczne cechy stylu kompozytora.

Dobrze natomiast od strony stylistycznej rozwiązał problem partii solowej koncertu c-moll znakomity kompozytor i pianista *Bolesław Woytowicz*. Eliminując prawie całkiem użycie pedału osiągnął on dźwięk krótszy, trochę szklisty, dobrze oddający charakter epoki.

Orkiestra Filharmonii Warszawskiej brzmiała na ogół czysto i dobrze. Uwertura do „Uprowadzenia z Seraju" wykonana została dwa razy: na wstępie programu i na bis, po jego zakończeniu.

*

W sali Muzeum Narodowego odbył się 11 b. m. drugi z cyklu kameralnych koncertów, poświęconych twórczości *Ludwika van Beethovena*, zorganizowanych z okazji 125 rocznicy jego śmierci. Cykl ten, jak i inne zaplanowane na najbliższe miesiące koncerty kameralne, anonsowaliśmy w jednym z ostatnich artykułów (por. nr 3 z dnia 24 lutego b. r.). Według zapowiedzi koncerty miały się odbywać co dwa tygodnie. Niestety, wykonawca organizacyjny tych imprez, „Artos", z niezupełnie zrozumiałych przyczyn pozmieniał ustalone terminy i w rezultacie koncerty beethovenowskie odbywać się będą raz na miesiąc. Ogólna ich ilość (cztery) nie ulegnie jednakże zmianie, a to jest najważniejsze. Następny więc koncert odbędzie się z końcem kwietnia (1 i 2 kwietnia usłyszymy również 3 koncerty kameralne, poświęcone twórczości Szymanowskiego, w ramach obchodu 15 rocznicy śmierci kompozytora), czwarty zaś i ostatni — w maju. Zakończeniem pierwszego w Warszawie po wojnie sezonu muzyki kameralnej będą dwa koncerty dzieł Moniuszki.

Zbyt wcześnie jeszcze na wyciąganie wniosków z tej tak ważnej, kto wie czy nie przełomowej w pewnym sensie, imprezy muzycznej. Jednakże już obecnie zauważyć można silny wzrost frekwencji. Jeśli na pierwszym koncercie frekwencja była dobra, to na tym drugim zabrakło nawet dostawnych krzeseł i ławek. Dobrze przemyślany program, dobra organizacja, odpowiedni poziom wykowaczy, utrzymanie *periodycznego* charakteru imprezy (np. stale raz na tydzień) — oto warunki, których spełnienie da koncertom kameralnym taką samą popularność, jaką posiadają obecnie koncerty symfoniczne.

W programie usłyszeliśmy dwa dalsze spośród niezrównanych kwartetów smyczkowych Beethovena: kwartet op. 18 nr 2 i kwartet op. 74. Sześć kwartetów op. 18, pierwszych jakie Beethoven skomponował, wymienialiśmy w ostatnich recenzjach podając je jako przykład najwybitniejszych dzieł wczesnego okresu twórczości kompozytora. Reprezentują one jeszcze czysty klasycyzm wiedeński, a jednocześnie wykazują w stosunku do dzieł Haydna i Mozarta nie tylko zupełną niezależność, ale wyraźny postęp. Nowatorska śmiałość w traktowaniu zespołu i jego poszczególnych elementów, samodzielność i czystość linii każdego z czterech głosów instrumentalnych, bogate, niemal symfoniczne brzmienie kwartetu — wszystko to zapowiada niedościgłego później mistrza tej formy muzycznej.

Kwartet Es-dur op. 74 jest typowy dla dojrzałego okresu twórczości Beethovena. Bogactwo i głębia myśli, siła wyrazu jednoczy się tu ze skończonym kunsztem konstrukcji. Do najbardziej przejmujących fragmentów dzieła zaliczyć można przepiękne Adagio (część II) i pełne dramatycznego napięcia Scherzo (część III), łączące się bezpośrednio z finałem.

Oba utwory usłyszeliśmy w wykonaniu „Kwartetu Krakowskiego" (*Stanisław Tauros* — I skrzypce, *Zbigniew Szlezer* — II skrzypce, *Tadeusz Gonet* — altówka i *Zofia Adamska* — wiolonczela). Szczególnie drugi z kwartetów (op. 74) brzmiał bardzo dobrze.

W wykonaniu *Marii Wiłkomirskiej* usłyszeliśmy ponadto dwie sonaty fortepianowe Beethovena: C-dur, op. 53 („Waldsteinowską") i f-moll, op. 57 („Appassionatę"). „Appassionata" w interpretacji tej świetnej pianistki wypadła bardzo interesująco, koncepcja odtwórcza podkreślała liryczne elementy dzieła, łącząc je w sposób logiczny z akcentami gwałtownych, dramatycznych wybuchów.

Wawrzyniec Żuławski

W piątą rocznicę śmierci gen. broni Karola Świerczewskiego-Waltera

O GENERALE ŚWIERCZEWSKIM — WSPOMNIENIA

Praca zbiorowa:
Gen. broni Korczyc Władysław, Toruńczyk Henryk, Bekier Aleksander, Szurek Aleksander, gen. bryg. Leoszenia Eugeniusz, Broniewska Janina, płk. Szulczyński Stanisław, Narbutt Ignacy, płk. Burgin Juliusz, płk. Nadzin Stanisław, Szleyen Zofia, płk. Korta Adam, płk. Szleyen Mieczysław, płk. Werner Henryk.

Str. 141 Cena zł. 5.—

*

STROFY O GENERALE ŚWIERCZEWSKIM

Zbiór poezji i pieśni.

Str. 132 + 12 stronicowa wkładka z nutami Cena zł. 5.—

Na dniach ukaże się:
O WIELKIM ŻOŁNIERZU
Album fotograficzny zawierający zdjęcia dokumentarne

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

NAD EPOPEJĄ SOCJALIZMU

(Dokończenie ze str. 4-ej)

du trafności takiego stwierdzenia. Przypomnijmy choćby, jak bardzo wymowna jest pod tym względem twórczość Maksyma Gorkiego.

Sytuacja naszej literatury, w której prowadzimy walkę przeciwko schematyzmowi dla zabezpieczenia zdrowego jej dalszego rozwoju, przypomina pod wieloma względami sytuację literatury radzieckiej z okresu, w którym ukazał się pierwszy tom „Brusków". Pojawiające się, ale wciąż jeszcze nieliczne, dzieła o pełnej wartości ideowo-artystycznej jak „Cement" Gładkowa czy Fadiejewa „Klęska" przechodziły w dość licznym otoczeniu literackiego prymitywu. Dopiero lata następne przyniosły zdecydowany przełom.

Ale przyniosły go dlatego, że podjęto wyraźną walkę ze schematyzmem i nie dano urosnąć już pasożytującemu na żywym drzewie grzybowi do rozmiarów, jakie gwarantowała mu jego potencjalna żywotność.

W roku 1928 na konferencji twórczej pisarzy proletariackich w Moskwie wygłoszono aż siedem referatów dotyczących zagadnień poszukiwania właściwej metody twórczej. Wszystkie referaty podkreślały konieczność pogłębienia stosunku pisarza do życia, do rzeczywistości powstającego socjalizmu i dopatrywały się przyczyn niepowodzeń twórczych w niespełnianiu tego postulatu (patrz. „Tworczeskije puti proletarskoj litieratury" — referaty wygłoszone na Moskiewskiej konferencji pisarzy proletariackich, Moskwa 1928).

W konkluzji zmierzam do wniosku, że warto i należy zwrócić się z większą pasją poznawczą w kierunku tej literatury, która przeszła w wymiarze o wiele większym wszystkie podobne naszym dzisiejszym troski, bóle i radości literackie, aż stała się literaturą wielką i najbardziej prawdziwą.

„Bruski" warto przeczytać. Nie będzie to czas stracony. Pisarze znajdą w nich bogaty materiał do „rozważań warsztatowych" (używam ulubionego wyrażenia literatów), dla zwykłego czytelnika powieść ta stać się może „podręcznikiem życia".

Entuzjazm z jakim przyjmował tę powieść czytelnik radziecki tłumaczy się tym właśnie, że zastępowała mu ona wówczas „podręcznik życia". Nie przypadkiem zawiązywanie kołchozów rozpoczynano nieraz od gromadnego czytania „Brusków". Oto co pisze na ten temat krytyk radziecki Szkirin w niedawno opublikowanym szkicu o twórczości Fiodora Panfierowa:

„Jesienią 1929 roku miałem możność obserwowania, jak przyjęta została książka przez chłopów. Pracowałem jako kowal w Katawskiej fabryce wagonów w obwodzie czelabińskim, kiedy zostałem delegowany do pomocy komunistom i komsomolcom wiejskim, przygotowującym pobliską wieś Orłowka do kolektywizacji. Przygotowania te rozpoczęliśmy od zorganizowania głośnego czytania „Brusków". Książka pomogła organizacji partyjnej i komsomolskiej skłonić biedniaków, wyrobników wiejskich i część średniego chłopstwa do kolektywizacji." („Znamja", 1951, nr 3).

Bez mała dwadzieścia pięć lat upływających od momentu ukazania się pierwszego tomu „Brusków" zgromadziło olbrzymią literaturę o tej powieści. Podobnie jak cytowana wyżej jedna z ostatnich publikacji, cała literatura krytyczna stwierdza zgodnie, że „Bruski" przychodząc wprost z pola walki stawały się w niej same orężem. Trudno o piękniejszy dokument życia książki.

Każdy kto czytał i zna historię partii bolszewików, jeśliby zechciał tę zwartą syntezę przełożyć sobie na żywy obraz, niech sięgnie po cykl Panfierowa, stanowi on bowiem jak gdyby przetransponowane w obrazie artystycznym wielkie fragmenty „Krótkiego kursu historii WKP(b)". Taka jest siła prawdy tego epickiego obrazu i to właśnie decyduje o nie często spotykanym tak czystym, a dla nas dziś szczególnie aktualnym walorze wychowawczo politycznym tej książki

Waldemar Kiwilszo

Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich

poleca przekłady z jęz. ros.

Pawłow I. P.

Dwadzieścia lat badań wyższej czynności nerwowej (zachowania się) zwierząt
str. 651 zł 49.—

Wybór pism pod red. Ch. S. Kosztojanca
str. 541 zł 29.70

Wykłady o czynności mózgu
str. 368 zł 22.—

do nabycia w księgarniach „Domu Książki"

Nowe książki

Wśród ostatnio wydanych nowości mamy do zanotowania parę książek z zakresu wiedzy o literaturze.

„Książka i Wiedza" wydała w bardzo starannej i estetycznej szacie graficznej nową pracę Wacława Kubickiego — „Monachomachia przed sądem potomności". PIW opublikował studium Jana Kotta „Trwałe wartości literatury polskiej XVIII w.".

Ukazały się już następne tomiki studiów historyczno-literackich Instytutu Badań Literackich, wydanych przez Ossolineum, a mianowicie: Jana Zygmunta Jakubowskiego szkice „Z dziejów naturalizmu w Polsce" oraz Nowakowskiego „Spór o Zolę w Polsce" (Z dziejów pozytywistycznej recepcji naturalizmu francuskiego)". PIW w wartościowej serii wznowień pism postępowych myślicieli przełomu wieków, w której poprzednio wyszły tomy Nałkowskiego i Krzywickiego, wydał ostatnio nowy wybór pism krytycznych Antoniego Sygietyńskiego ze wstępem J. Z. Jakubowskiego. Poza studiami z literatury francuskiej, które wchodziły do przedwojennego wydania krytyk Sygietyńskiego, do obecnego wyboru włączono pierwszy raz drukowane w książce szkice o Gerymskich i o rzeźbiarstwie.

Krakowskie wydawnictwo Kotta wydało studia literackie Edwarda Porębowicza (przeważnie poświęcone zagdnieniom sztuki zachodnio-europejskiej) opracowane krytycznie przez prof. Brahmera.

Dużym wydarzeniem w naszej historii literatury jest wydane przez IBL (nakładem „Czytelnika") zbiorowe, monograficzne opracowanie twórczości Stefana Żeromskiego. Znalazły się w nim m. in. bardzo ciekawe studia: Wyki — O powieściach historycznych, Markiewicza — O stosunku Żeromskiego do rewolucji 1905 r., Ewy Korzeniewskiej — o twórczości Żeromskiego od „Walki z szatanem" do „Przedwiośnia". Monografia, choć nie wyczerpująca całokształtu zagadnień, przynosi marksistowskie naświetlenie głównych etapów twórczości Żeromskiego od młodzieńczego dziennika pisarza po „Przedwiośnie".

Z prac IBL opublikowano ponadto niewielki tomik artykułów pt. „Tezy Stalina a metodologia badań literackich".

W „Bibliotece pisarzy polskich i obcych" wyszły w ostatnim okresie trzy nowe pozycje: wartościowa antologia „Dwa nurty poezji polskiej XVII wieku" w opracowaniu Hanny i Kazimierza Budzyków, „Historia na dwie księgi podzielona" Ignacego Krasickiego, wydana po raz pierwszy w osobnym wydaniu z obszernym komentarzem Jerzego Ziomka, oraz Sienkiewiczowskie „Humoreski z teki Worszyłły" poprzedzone wstępem Władysławy Wasilewskiej.

Poza tym „Książka i Wiedza" zainicjowała osobną „Bibliotekę komentarzy literackich". Trudno wprawdzie zrozumieć, dlaczego komentarze słowne, rzeczowe oraz popularne opracowania dzieł mają się ukazywać w osobnych wydaniach, nie zaś przy nowych naukowych edycjach odnośnych tekstów, jednakże pierwsza tej serii książeczka — komentarze do „Lalki" Prusa, przygotowane przez Henryka Markiewicza — wyróżnia się rzetelnością i wiedzą.

tdr.

Adres ludzkiego serca

„Bez adresu", film produkcji francuskiej. Scenariusz A. Joffé, reż. Jean-Paul Le Chanois. Zdjęcia Fossard, muzyka Kosma.

Znamy wielki, monumentalny obraz stolicy Francji z pierwszej połowy zeszłego stulecia, zawarty w dziełach Balzaka. Znamy Paryż Maupassanta, Aragona i Erenburga. Obok tych stworzonych przez mistrzów literatury wizerunków Paryża istnieje jednak jeszcze inny obraz tego miasta — jest to Paryż René Claira.

Trudno dziś określić, ile w naszych pojęciach o życiu i mieszkańcach Paryża mieści się z elementów, które zawarł w swoich filmach autor „14 lipca" i „Pod dachami Paryża".

Kiedy mówimy — Paryż René Claira — myślimy o pewnej konwencji. Jesteśmy przygotowani, że nie otrzymamy obrazu, nacechowanego ścisłością socjologicznego, społecznego spojrzenia, nie dostaniemy do rąk dzieła historyka. W mieście kwiaciarek, ulicznych śpiewaków, taksówkarzy, uliczek na przedmieściu nie poznamy stolicy imperialistycznego mocarstwa, miasta, ktore nie raz wstrząsały wybuchy rewolucji, które zna wygląd ulicznych barykad. Urok clairowskiego Paryża polega może właśnie na tym, że jest on w równym stopniu wytworem wyobraźni i uczuć artysty jak rzeczywistości.

Clair jest w sztuce filmowej zjawiskiem na miarę niezwykłą. Jest klasykiem filmu. Dzieła klasyków nie przemijają bez echa. Dzieje się tak nie tylko dlatego, że są w pewnym sensie niezniszczalne, ale również dlatego, że znajdują kontynuatorów i naśladowców. Clairowska wizja błądzi po ekranach, powtarzana, gorzej lub lepiej, przez wielu innych twórców.

Trudno powiedzieć, czy Le Chanois jest kontynuatorem René Claira, pewne jest jednak, że w niespełna dwadzieścia lat od powstania filmu „14 lipca" pewne jego echa odezwały się w filmie „Bez adresu".

Chodzi tu nie tylko o zewnętrzne podobieństwo — że znów Paryż, że znów taksówkarz. Sprawa leży głębiej, sięga wewnętrznych wartości filmu, jego atmosfery, jego intencji, wreszcie postawy twórcy.

O czym mówi film „Bez adresu"? Historia aż nazbyt banalna. Do Paryża przyjeżdża młoda dziewczyna, uwiedziona w Chambery przez paryskiego dziennikarza. Przyjeżdża z dzieckiem i szuka ojca, który przyrzekł się z nią ożenić. Dziennikarz okazuje się zwykłym łobuzem, dziewczyna nie może go znaleźć, po całodziennych poszukiwaniach okazuje się, że ma on żonę i dzieci, nadzieje uwiedzionej dziewczyny rozwiewają się. Kiedy złamana chce wracać do Chambery, nagle uśmiecha się do niej szczęście — znajduje pomoc i opiekę dobrych ludzi, taksówkarza, który woził ją bez nadziei na uregulowanie rachunku przez cały dzień po mieście, jego żony, która właśnie zostaje matką. I film kończy się uśmiechem szczęścia.

Danielle Delorme i Edward Blier w filmie „Bez adresu".

W tej prostej fabule (a za najlepsze uważam filmy, których treść daje się tak łatwo opowiedzieć w paru słowach) mieści się nie tylko melodramat. Właściwie nie ma tam wcale melodramatu. Jest natomiast żarliwe wyznanie wiary w istnienie dobrych, prostych ludzi, gotowych pomóc w potrzebie, w paryskich szoferów, tapicera, proste kobiety. Tę samą wiarę głosił Clair.

Jednocześnie wędrówka Teresy w poszukiwaniu oszusta jest przeglądem małych realiów, które w pojęciu widza składają się na obraz Paryża. Jest, pomimo wielu rzeczy już znanych, coś nowego w przedstawianym obrazie. Film pokazuje niezapomniany obraz redakcji wielkiego dziennika, niepokojącą wizję słynnej spelunki egzystencjalistów na St. Germain des Prés. Oprócz kilku innych, te dwa obrazy wprowadzają pierwiastek moim zdaniem nowy, którego nie było w „14 lipca". Pod mgiełką satyry widać tu symptomy rozkładu. Coś niepokojącego sączy się ze smutnej piosenki czarno ubranej, dziwnej szansonistki, nerwowość i tłumiony niepokój przebija poprzez obraz pracy redakcji, której zespół spotykamy w komplecie u egzystencjalistów. W dwadzieścia lat po „14 lipca" świadomy artysta nie może powtórzyć clairowskich wzorów. Le Chanois widzi na pewno więcej, niż to widzieli twórcy „wielkiej szkoły francuskiej" lat trzydziestych. Rozkład społeczeństwa kapitalistycznego poszedł znacznie dalej i nie można tego faktu przesłonić mgiełką stylizacji. Stąd u Le Chanois spotykamy nie tylko sceny, świadczące o większej ostrości spojrzenia, ale i zdjęcia bardziej czytelne, jasną, realistyczną fakturę filmu, którą można by raczej odnieść do szkoły Renoira niż Claira.

Nie tylko jednak rozkład musiał zanotować w swoim obrazie Le Chanois.

Nie mógł też szkicowo choćby nie pokazać i innego zjawiska. Taksówkarz jego przemawia na zebraniu związkowym, zdając sprawozdanie kasowe. Zanim wchodzi na trybunę, słyszy słowa poprzedniego mówcy. Nie znajdujemy w nich rewolucyjnej nuty, byłoby niekonsekwencją twórcy wprowadzenie tej nuty do filmu „Bez adresu". Ale już sam fakt pokazania takiego zebrania, a jeszcze ważniejsze, pokazania rzędu taksówek bez szoferów, których na próżno poszukują zdenerwowani panowie, jest znamienny. To znów odgłosy tego, co zmieniło się w mieście Paryżu.

Trudno po tych uwagach nie stwierdzić jeszcze jednego faktu bezspornego — jak dalece rozwinęły się środki sztuki filmowej. Płynne jazdy kamery, rozległe panoramy kapitalna gra świateł, to wartości warsztatu filmowego, które Le Chanois zaprezentował z ogromną swobodą i mistrzostwem. Zresztą zarówno zdjęcia jak i muzyka, oparta na różnorodnych motywach i bogatej instrumentacji, z urzekającym dźwiękiem harmonii w świetnie rozegranej nocnej scenie na przedmieściu, są również zasługą współtwórców filmu. Wśród nich — i to, gdybym nie zaczął od Paryża, napisałbym na początku — czołowe miejsce zajmują aktorzy, Delorme i Blier, w rolach Teresy i taksówkarza Emila.

Krzysztof Teodor Toeplitz

Z TYGODNIA

W KRAJU

FILMOWA NARADA TWÓRCZA zorganizowana przez Centralny Urząd Kinematografii, odbyła się w Warszawie w dn. 14 — 16 b. m. Naradę otworzył w imieniu Komitetu Centralnego PZPR Sekretarz KC PZPR Edward Ochab. Narada oceniła dorobek twórczości filmowej w okresie od narady w Wiśle w r. 1949 oraz wskazała kierunek dalszego rozwoju polskiej kinematografii. Przegląd najnowszych filmów produkcji polskiej poprzedził referat prezesa CUK, St. Albrechta. 14 b. m. odbył się inauguracyjny pokaz filmu „Młodość Chopina". Omówienie narady filmowej zamieścimy w następnym numerze „Nowej Kultury".

DO II MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU SKRZYPCOWEGO IM. H. WIENIAWSKIEGO

który odbędzie się w dniach 5 — 15 grudnia b. r. w Warszawie, od kilku miesięcy już przygotowują się pod opieką specjalnie wyłonionej komisji pedagogicznej młodzi skrzypkowie polscy. Na konkurs zostaną zaproszeni najlepsi młodzi skrzypkowie z całego świata. Laureatami I konkursu (marzec 1935 r.) byli m. in.: Ginette Neveu, Dawid Ojstrach i Grażyna Bacewiczówna.

NAGRODY NA II OGÓLNOPOLSKIEJ WYSTAWIE FOTOGRAFIKI przyznane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki otrzymali:

I — (podzielona) R. Burzyński (Warszawa) za pracę „Budowa kolejki linowej w Wałbrzychu" i K. Komorowski (Sopot) za pracę „Rybak"; II — H. Hermanowicz (Kraków) za trzy prace: „Ursusy orzą od świtu", „PGR młóci do ostatniego ziarna", „Pierwszy plon PGR-u w 1951 r."; III nagrodę — F. Stobik (Katowice) za pracę „Brzozy".

Z NRD PRZYBYŁA DO WARSZAWY

delegacja Tow. Krzewienia Pokojowych i Dobrosąsiedzkich Stosunków z Polską z sekretarzem gen. Towarzystwa Karlem Włochem i jego zastępcą Wernerem Haremanem na czele. W skład wycieczki wchodzą również przedstawiciele Niemiec Zachodnich. Delegacja przekazała w darze dla Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą rzeźbę w marmurze — popiersie Beethovena dłuta prof. A. Dracka.

PROF. JURGEN KUCZYŃSKI

znany uczony niemiecki, dziekan wydz. historii gospodarczej Uniwersytetu Berlińskiego — przebywa obecnie w Polsce. Wygłosi on kilka wykładów i odczytów.

W SKŁAD JURY LITERACKIEGO KONKURSU PRZEDOLIMPIJSKIEGO

ogłoszonego niedawno w związku z tegoroczną Olimpiadą w Helsinkach, weszli przedstawiciele: Min. Kultury i Sztuki — Jan Wilczek, Polskiego Komitetu Olimpijskiego — Jerzy Putrament, GKKF — Ryszard Siedziecki, Zw. Literatów Polskich— Anna Kamieńska, Kazimierz Korcelli, Lesław Bartelski, Jerzy Pomianowski i Jan Maria Gisges. Funkcje sekretarza konkursu pełni Tadeusz Jasiński.

ZESPÓŁ TEATRALNY KLUBU FABRYCZNEGO HUTY „ZABRZE"

wystąpił w Festiwalu Sztuk Polskich ze sztuką K. Gruszczyńskiego pt. „Pociąg do Marsylii". Wśród wykonawców sztuki jest wielu wybitnych przodowników pracy i racjonalizatorów. Dekoracje wykonano pod kierownictwem górnika Pomańskiego — plastyka amatora.

KOLEJARZE GDAŃSCY

przygotowali sztukę A. Maliszewskiego „Wczoraj i przedwczoraj". Kierownikiem zespołu jest ślusarz kolejowy H. Aleksionek. Tę samą sztukę wystawił zespół robotników portowych w Gdyni. Przedstawienie przygotowane pod kierownictwem b. elektromontera Kuleszy — transmitowane było przez gdańską rozgłośnię Polskiego Radia.

112 PLANSZ ILUSTRUJĄCYCH ŻYCIE CHOPINA

na tle jego epoki obejmuje Objazdowa Wystawa Chopinowska, otwarta 7 b. m. w gmachu Teatru Narodowego w Warszawie. Wystawa ta w najbliższym czasie wyruszy w teren.

300 TYS. DZIECI WZIĘŁO DOTĄD UDZIAŁ W KONKURSIE CZYTELNICZYM.

p. n. „Książka — twój przyjaciel". Uczestnicy konkursu po przeczytaniu trzech spośród przewidzianych w konkursie 57 książek autorów polskich i radzieckich — składają swoje opinie na temat tych książek, wykonują do nich ilustracje lub opracowują na ich podstawie scenariusze kukiełkowe. Najpoczytniejsze z 57 książek „konkursowych" okazały się: J. Broniewskiej „Ogniwo" i „Człowiek, który się kulom nie kłaniał" oraz z książek radzieckich: A. Gajdara „Timur i jego drużyna" i W. Katajewa „Samotny biały żagiel". Konkurs ten został zorganizowany dla harcerzy i uczniów klas od III do VII szkół podstawowych — przez Wydział Harcerski ZG ZMP wspólnie z Ministerstwem Oświaty, Zw. Zaw. Nauczycielstwa Polskiego, Domem Książki i Instytutem Wyd. „Nasza Księgarnia".

I OGÓLNOKRAJOWA NARADA REDAKTORÓW GROMADZKICH GAZETEK ŚCIENNYCH

połączona z wystawą gazetek — odbyła się w dn. 11 — 12 bm. Narada wytyczyła najpilniejsze w trzecim roku Planu Sześcioletniego zadania gazetek ściennych: mobilizowanie chłopów do pełnego zagospodarowania najmniejszych nawet skrawków ziemi leżącej odłogiem, sprawne przygotowanie siewów wiosennych i podniesienie wydajności z 1 ha, popularyzacja osiągnięć spółdzielni produkcyjnych, wreszcie upowszechnianie nowoczesnych metod gospodarowania, upowszechnienie oświaty i kultury.

ZA GRANICĄ

KOMITET OBCHODU 500-LECIA URODZIN LEONARDA DA VINCI został utworzony w ZSRR. Komitet ten zajmie się pracami przygotowawczymi do uroczystości jubileuszowych, które w myśl uchwały Światowej Rady Pokoju będą obchodzone we wszystkich krajach w kwietniu b. r. W skład Komitetu weszli m. in.: art.-malarz B Joganson (przewodniczący), A. Gierasimow, F. Gładkow, W. Muchina, A. Oparin, D. Szostakowicz.

„WALKA O HELGOLAND" — 7 bm. w berlińskim „Theater der Freundschaft" odbyła się premiera sztuki „Kampf um Helgoland". Autorem jej jest zach.-niemiecki pisarz Peter Martin Lampel. Treścią sztuki jest walka grupy młodzieży zachodnio-niemieckiej przeciw zamienianiu wyspy Helgoland w poligon ćwiczeń dla angielskich bombowców.

ZAKOŃCZONO REALIZACJĘ FILMU PT. „NIEZAPOMNIANY ROK 1919".

w wytwórni „Mosfilm". Scenariusz filmu wykracza poza ramy fabuły sztuki W. Wiszniewskiego pod tym samym tytułem. Autorami scenariusza są: W. Wiszniewski, M. Cziaureli i A. Filimonow. Realizował film zespół reżyserów pod kierownictwem M. Cziaurelego. Muzykę skomponował D. Szostakowicz.

SZTUKĘ O WALCE LUDU JUGOSŁOWIAŃSKIEGO

przeciwko reżimowi titowskiemu — napisał ostatnio w Czechosłowacji emigrant jugosłowiański T. Bałk i czeski dramaturg F. Rachlik. Tytuł sztuki: „Zaprzedana ziemia".

W PARYŻU WINIEN ZNOWU STANĄĆ POMNIK WIKTORA HUGO

— Komitet Obchodu 150-lecia urodzin W. Hugo ogłosił odezwę przypominającą, że wzniesiony w 1902 r. brązowy posąg wielkiego pisarza został w czasie okupacji zdjęty z postumentu i zużyty na cele wojenne.

Postument ten stoi dotychczas pusty — z wyjątkiem kilku miesięcy w roku ubiegłym, kiedy to ustawiono tam dla reklamy... samochód Forda. Komitet proponuje, aby na miejsce zdjętego posągu dłuta Barriasa — ustawić tam rzeźbę Rodin'a. Na łamach prasy francuskiej ukazuje się coraz więcej wypowiedzi popierających stanowisko Komitetu.

Nowe publikacje czeskie o Polsce Ludowej

Praga, w marcu

Z początkiem 1952 roku ukazała się na półkach księgarskich w Czechosłowacji pierwsza obszerna publikacja, informująca o wszystkich dziedzinach życia i odbudowy dzisiejszej Polski. Jest to książka Adolfa Málka pt. „LIDOVE POLSKO", wydana nakładem wydawnictwa „Orbis" (nie mylić z naszym biurem podróży!), jako 14 tom edycji „Casové otázky" („Zagadnienia współczesne"). Szereg autorów czeskich ogłosiło już poprzednio — w latach 1948 — 1951 — kilka wartościowych prac na temat powojennej Polski, posiadały one jednak inny charakter: po większej części reportażowy. Wymieńmy takie pozycje, jak: „Slovansky Památník" M. Pujmanowej (1948), „Ulice Milá" L. Askenazego (1951) — były to szkice typowo literackie, a nie informacyjne.

Książka Málka, obok części wstępnej, obejmuje 3 zasadnicze działy: I. Zagadnienia ogólno-polityczne (ustrój, historię ruchu robotniczego, powstanie PZPR, schemat polityki zagranicznej, rozdziały o bratniej współpracy Czechosłowacji i Polski, o naszej Armii Ludowej itd.); II. Zagadnienia ekonomiczne i społeczne (przemysł, rolnictwo, rozwój spółdzielczości produkcyjnej, odbudowę Warszawy, problemy czechosłowacko-polskiej współpracy gospodarczej, działalność organizacyj masowych itp.) — III. Zagadnienia kultury, sztuki i oświaty (dział ten uzupełniony jest licznymi wyjątkami ze współczesnej prozy i poezji polskiej, tekstami pieśni, reprodukcjami malarstwa, rzeźby i sztuki ludowej, fragmentami z filmów i sztuk — a nawet nutami).

Do tekstu dołączono 15 mapek i diagramów, 34 kredowych wkładek z licznymi zdjęciami oraz 12 nutowych tekstów pieśni. Gustowna okładka, przedstawiająca reprodukcję obrazu W. Dobrowolskiego „Armia Pokoju" zaprojektowana została przez znanego grafika praskiego Václava Pátka. „Zadaniem książki niniejszej — pisze Málek — jest przegląd imponującego dorobku pracy ludu polskiego, przegląd rewolucyjnych tradycyj polskich, tak nierozłącznie związanych z rewolucyjną walką klasy robotniczej w historii ZSRR i innych narodów."

Publikacja „Lidové Polsko" jest pozycją wartościową i potrzebną. Zebrano tutaj mnóstwo konkretnego materiału informacyjnego, setki porównawczych danych liczbowych, naświetlono w odpowiedni sposób kluczowe zagadnienia Planu Sześcioletniego, nasze perspektywy na przyszłość — kondensując wszystko zwięźle, przejrzyście i przekonywająco.

Z innych publikacyj o Polsce ukazał się nakładem „Wydawnictwa Przemysłowego" w Pradze („Prumyslové Nakladetelstvi") polityczno-gospodarczy przegląd statystyczny pt. „Lidová Republika Polská". Opracował go inż. Jan Ledvina.

W druku znajdują się następujące publikacje: „Cesta prez Polsko" K. Konrada (reportaż literacki), „Zemedelstvi lidove-demokratického Polska" („Rolnictwo w ludowo-demokratycznej Polsce"; książkę tę której autorami są Jan Tauber i Alois Bura, wydaje „Brazda") oraz najobszerniejsza z wszystkich „Cteni o Polsku" („Czytamy o Polsce").

Nigdy dotąd, w całej historii Czechosłowacji, nie opracowano tak szczegółowej i reprezentacyjnej książki o Polsce, jak właśnie ostatnia z wymienionych. Jest to praca zbiorowa kilkunastu wybitnych autorów, obejmująca około 600 stron druku, dziesiątki mapek statystycznych (opracowanie graficzne: Zdenka Valentová, Juraj Sucharda i Oskar Sekej), szczegółowy słownik skrótów polskich z okresu 1944—1952, wykaz czasopism ukazujących się w Polsce (wg. stanu z 1952 roku), 30 kredowych wkładek z ilustracjami, reprodukcje planów architektonicznych przyszłej Warszawy (m. in. Marszałkowska, Dworzec Główny), skorowidz nazwisk, problemów — itd., itd. „Cteni o Polsku" redaguje młody, utalentowany propagator naszej literatury Josef Jungwirth, który w latach 1948—1949 studiował w Warszawie i w Krakowie. Wśród nazwisk współautorów książki czytamy szereg bardziej znanych, jak: Frantisek Nechvátal, Josef Rummler (tłumaczy obecnie „Pana Tadeusza"), Jiri Lederer (studiował również w Polsce), prof. J. Repa, A. Málek — i inne.

Aleksander Kulisiewicz

70-LECIE URODZIN MARII MAJEROWEJ

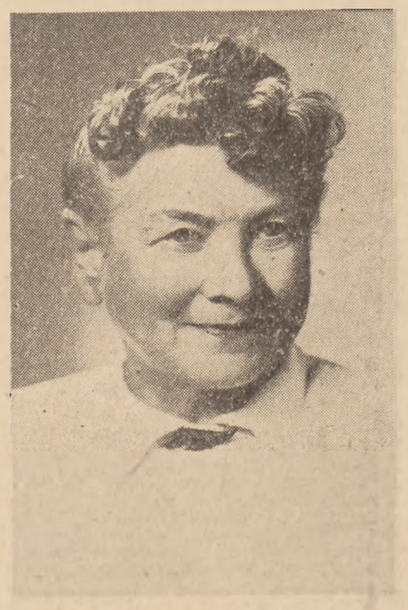

Czechosłowacki świat kulturalny obchodził ostatnio uroczyście siedemdziesiątą rocznicę urodzin Marii Majerowej. Praca twórcza Marii Majerowej ma jednoznaczną wymowę ideową. Realistyczny obraz życia ludu czeskiego łączy się w jej twórczości z internacjonalizmem, podkreśleniem tego, co łączy naród czeski z całą ludzkością.

Z książek jej należy wymienić „Panieństwo", „Na targu republiki", „Kochanie na próżno", „Córki ziemi", „Dzień po rewolucji" (impresje z pobytu w ZSRR), „Najpiękniejszy świat", „Męczennice" oraz „Zaporę" i „Syrenę". „Syrena" — to dzieło przesycone głębokim humanitaryzmem a jednocześnie wyczuciem istoty rozwoju historycznego. Powieść ta pisana przed wojną obrazuje wyraźnie, jak już w czasach kapitalistycznych dojrzewa w narodzie czeskim świadomość, że wraz z coraz większym gniciem kapitalizmu zbliża się godzina wyzwolenia społecznego.

Twórczość Marii Majerowej jest typowym przejawem rodzącej się literatury realizmu socjalistycznego. Często mówi się o niej jako o wzbogaconej nowymi elementami kontynuacji twórczości wielkiej demokratycznej powieściopisarki czeskiej, Bożeny Nemcowej. Tak jak Bożena Niemcowa w swoim czasie poświęciła całą swą twórczość życiu uciskanego ludu, przedstawiając jego ciężkie zmagania w walce o lepszą przyszłość, podobnie twórczość Marii Majerowej przenika głęboka miłość do najbardziej rewolucyjnej części tego ludu — do klasy robotniczej.

Skutki społeczne nałogowego alkoholizmu

oprac. prof. dr St. Batawia
str. 260 zł 23 —

Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich

PAWEŁ ŁUKNICKI
NISSO
Powieść tłum. z jęz. rosyjskiego
Str. 452 zł 14.—

SABIT MUKANOW
BOTAGOZ
Powieść tłum. z jęz. rosyjskiego
Str. 431 zł 13 50

RENATA VIGANO
AGNIESZKA IDZIE NA ŚMIERĆ
Powieść tłum. z języka włoskiego
Str. 196 zł 6.85

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro, tel. 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3 —, kwartalnie zł 9.—, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15220. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel. 7-38-05. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B 13586